

WALKA MŁODYCH



31

1

CIV 9047

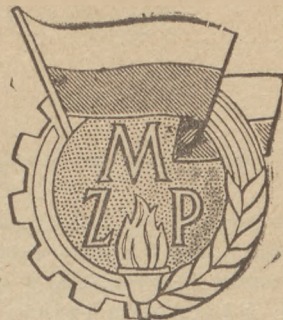
STYCZEN

1 9 5 5

ORGAN ZARZĄDU GŁÓWNEGO ZMP

Spec. 55/54

WALKA MŁODYCH



ROK VIII 1 (78) - Styczeń 1955

Organ Zarządu Głównego Z.M.P.

W numerze:

Związek Młodzieży Polskiej odpowiada za wychowanie całej
młodzieży 8

Wspomnienia

„Hanka” — Helena Balicka-Kozłowska 7
Janek Krasicki-„Kazik” — Krystyna Zielińska 12
Miroslaw Krajewski — „Pietrek” — Bożena Puchalska 13

Przed II Zjazdem

„Nuda — to kontrrewolucja” — Lenin — Irena Krzywicka 18
Proszę o głos — Jerzy Jedliński 20
Pora, by zniknął problem: ZMP a sport — Edward Strzelecki 22
Miczurinizm — nauka pasjonująca — Zygmunt Bienkowski 24
Koleżeństwo — Roman Kilarski 28
O wychowaniu w zakładzie pracy — Jan Majecki 29
Drożdże w PGR-ach — Józef Rodak 37
O niektórych problemach pracy ZP z kołami w spółdzielniach
produkcyjnych — Henryka Czech, Tadeusz Piotrowski 42

Nauka Miczurina i Lysenki i jej zastosowanie w praktyce —
Wojciech Strzeszkowski, Henryk Podedworny 44
Neomaltuzjanizm — ludobójcza teoria amerykańskiego imperia-
lizmu — Michał Pirko 51

Na tematy międzynarodowe

Remilitaryzacja Niemiec zachodnich stwarza nową sytuację
w Europie — Bolesław Rayzacher 55

Krytyka i bibliografia

I Zjazd młodych historyków — Jerzy Holzer 59
M. Jarochońskiej „Dziadowska miłość” — Sławomir Krzemiński 62

W 10 rocznicę wyzwolenia Warszawy (fotoreportaż) 32

0206

CIV 90 u7

„WALKA MŁODYCH” — Organ Zarządu Głównego ZMP. Wydaje Zarząd Główny Związku Młodzieży Polskiej. — Redaguje Kolegium. — Nakładem RSW „Prasa”. Adres Redakcji: Warszawa, ul. Mokotowska 24 — telefony. 85618 80201 — wewn 201 i 250. Adres Administracji: Warszawa, ul. Marszałkowska 8 telefon 80711 Zakłady Druk i Wkleślodrukowe RSW „Prasa” — Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5. Zam. nr 3015. Papier rotogr. mat. rot. 75 cm. Nakł. 22607. B-6-218.

ZMP odpowiada za wychowanie całej młodzieży

WIEŻ Związku Młodzieży Polskiej z całą młodzieżą naszego kraju, odpowiedzialność Związku za wychowanie młodzieży — dokonujące się najskuteczniej w szeregach zempowskiej organizacji — oto zagadnienia, które są żywo dyskutowane w przededniu II Zjazdu ZMP. Stosunkowo dużo komentarzy wywołuje pierwszy punkt projektu Statutu ZMP określający rolę i miejsce Związku w naszym społeczeństwie. Punkt ten w sposób jasny wskazuje różnicę pomiędzy partią, będącą awangardą klasy robotniczej, grupującą w swych szeregach najlepszych synów i córki ludu pracującego, — a Związkiem Młodzieży Polskiej, masową organizacją młodego pokolenia Polski, „jednoczącą w swych szeregach coraz szersze rzesze patriotycznej młodzieży miast i wsi“. Ogół towarzyszy słusznie rozumie, że takie określenie istoty i treści ZMP jest zgodne z historycznymi zadaniami, które organizacja nasza ma do spełnienia, że winno ono przyczynić się do dokonania poważnego zwrotu Związku w stosunku do mas młodzieży, do spotęgowania stopnia jego oddziaływania na młodzież.

Niektórzy towarzysze nie godząc się z takim określeniem zadań i istoty ZMP krytykują projekt Statutu, twierdząc, że nie dość jasno określiła on istotę Związku, co może przyczynić się do tego, że rozplynie się on w masie młodzieży i utraci swą kierowniczą rolę. Jedni odrzucają sformułowanie zawarte w pierwszym punkcie projektu, gdyż uważają, że ZMP to organizacja przodująca młodzieży, że nie każdy jest godny należenia do organizacji będącej „najbliższym i pierwszym pomocnikiem partii“. Drudzy znow, uważając za słuszne to twierdzenie zawarte w projekcie statutu, wyciągają jednak wniosek, iż organizacja powinna wobec tego jednocześnie także przodująca część młodzieży, wkładając w pojęcie „patriotyczna młodzież“ niesłuszną treść. W pierwszym i w drugim wypadku towarzysze nadal kurczowo trzymają się nieraz już obalanej, ale, jak widać, jeszcze pokutującej tezy, że ZMP to „młodzieżowa partia“ mająca powtarzać młodemu pokoleniu hasła „partii starzych“. Wspólna dla obu tych wypadków jest fałszywa zasada, według której jedynie wybrani zasłu-

gują na wychowanie w szeregach Związku Młodzieży Polskiej.

Warto tym towarzyszom przypomnieć słowa Lenina, który główne zadania Związku Młodzieży widział właśnie w organizowaniu, jednoczeniu i wychowywaniu całej młodzieży, który nieraz przypominał, iż bez przyciągnięcia całej młodzieży robotniczej i chłopskiej do budownictwa komunistycznego, społeczeństwo komunistyczne nie zostanie zbudowane.

Odbieganie od tych leninowskich nakazów, głoszenie zarówno słowem jak i czynem różnych teorii awangardyzmu — w decydującym stopniu powodowało to, że wpływy ZMP na młodzież są niewystarczające, że więź organizacji z młodzieżą jest daleko niezadowolająca.

Organizacja nasza zrzesza około 2 milionów chłopców i dziewcząt. Poza nią znajdują się jeszcze ponad 3 miliony młodych ludzi. Przeważająca część z tzw. młodzieży niezorganizowanej to oddani i ofiarni budowniczości naszej ojczyzny. W tym, że ci ofiarni i oddani nie należą do ZMP, należy widzieć fakt wyraźnej krytyki naszej organizacji, krytyki jej działalności, w której — i w treści i w metodach — próbowaliśmy nieraz kopiować partię, krytyki popełnianych przez organizację błędów. Warto, żebyśmy sobie szczerze te błędy wytknęli.

Na wstępie kilka starych prawd dotyczących młodzieży i pracy z nią. Warto je powtórzyć, gdyż — jak pokazuje doświadczenie — prawda z tego powodu bynajmniej nie traci na wartości, a ludziom o słabej pamięci powtarzanie skutecznie nieraz pomaga.

Nigdy jeszcze życie nie było tak pouczające, a młodzież tak ciekawa, o tak skomplikowanym życiu wewnętrznym, jak teraz. Jest to zjawisko naturalne, jeśli uwzględnimy, że żyjemy na pograniczu dwóch światów: świata nie dających się pogodzić sprzeczności, brutalnego wyzysku i ucisku — w tym świecie urodziliśmy się i z niego wynieśliśmy niemalą bagaż nawyków, przyzwyczajeń i przesądów — oraz świata, który sami budujemy w walce ze starym. Stąd u wielu młodych ludzi tyle „nieoczekiwanych“ konfliktów, stąd w duszy młodzieży tyle sprzeczności,

będących przede wszystkim odzwierciedleniem walki nowego ze starym.

Młodość — to nieustanne działanie, nieustanny, entuzjastyczny wysiłek fizyczny i umysłowy. Młodość — to trudne do zaspokojenia pragnienie nowego, do marzenia, stała chęć „szturmowania nieba”. Młodość — to pragnienie wiedzy. Młodość — to szlachetność. Młodość — to poświęcenie, radość, śmiech i zabawa. Wiele jest jeszcze synonimów młodości, nie wolno o nich zapominać, jeżeli się chce młodzież wychowywać w duchu socjalizmu.

Nigdy jeszcze młodzież nie była współgospodarzem kraju. Ojczyzna, której jest współgospodarzem, codziennie odkrywa przed nią coraz to nowe, potężne bogactwa materialne i — co najważniejsze — niezgłębione bogactwo duchowe człowieka pracy. Nigdy jeszcze ojczyzna nie poświęcała tyle uwagi i trudu odkrywaniu i wzbogacaniu skarbów talentu i uzdolnień młodzieży.

Wychowanie to trudna i odpowiedzialna działalność rewolucjonizująca młodzież, wyrwająca ją spod wpływów starego świata i kształtująca ją na skalę naszych bohaterskich czasów. Wychowanie to wielostronny i skomplikowany proces nie znośzący formalizmu i szablonu w podejściu do ludzi, wymagający dużej wiedzy o człowieku i głębokiej znajomości życia.

O tym wszystkim — o specyfice młodości i procesie wychowania, o historycznych warunkach okresu przejściowego i warunkach, jakie stwarza młodzieży państwo, nie wolno nam zapominać, jeżeli chcemy wzmocnić i rozszerzyć naszą więź z młodzieżą, jeżeli chcemy całą młodzież włączyć do budownictwa socjalizmu.

Niestety, nie zawsze o tym pamiętaliśmy. W praktycznej działalności, w gorączce pracy organizacyjnej słabo uwzględnialiśmy te sprawy. Stąd między innymi długi rejestr braków i niedociągnięć w pracy wychowawczej ZMP, w którym czerwonym ołówkiem warto podkreślić jeszcze kilka innych grzechów głównych, bezpośrednio związanych z omawianym problemem.

W działalności naszego Związku występował tzw. „produkcyjizm”. To znaczy, że często w karykaturalny sposób wypaczaliśmy wysoce słuszną zasadę mówiącą o wychowaniu socjalistycznym młodzieży poprzez pracę, mówiącą, że praca jest jednym z podstawowych elementów tego wychowania, bo w naszych warunkach stała się źródłem poczucia godności ludzkiej. Słusznie mobilizując młodzież do wykonania zadań pro-

dukcyjnych, do udziału we współzawodnictwie zapominaliśmy o istotnej treści współzawodnictwa — o tym, że jest ono szkołą socjalistycznego wychowania. Walczyliśmy często o cyfrowe wyniki, a nie o to, by we współzawodnictwie podnosić poziom politycznej i społecznej świadomości młodzieży, o to, by każdy chłopiec, każda dziewczyna odczuwali walkę o wysokie wykonanie norm produkcyjnych jako moralny obowiązek — tak wobec siebie jak i wobec społeczeństwa. Mobilizując młodzież do wykonywania planów produkcyjnych nie uwzględnialiśmy również, że zależy ono od stosunku człowieka do pracy. Niedostatecznie kształtowaliśmy u młodzieży twórczy stosunek do różnego rodzaju pracy. Wskaźniki wykonania planu i współzawodnictwa zasłaniały nam człowieka z jego potrzebami i wymaganiami, z jego zaletami i wadami, z jego marzeniami, zamiłowaniem i kłopotami. Za tablicą współzawodnictwa nie umieliśmy dojrzeć poszczególnych młodych pracowników o odrębnych charakterach. Zapominaliśmy często o tym, że Janek w brygadzie Iksińskiego jest kinomanem i sportowcem, a Jurek szachistą. Nie wyciągaliśmy praktycznych wniosków z tego, że Franek ma silną wolę, zdecydowanie zdąża do celu, a Roman posiada o wiele słabszą wolę, lekko ulega każdemu.

Traktując brygadę jedynie jako jednostkę produkcyjną a nie jako kolektyw młodych ludzi nie rozumiano konieczności znalezienia „specjalnego klucza” do serca każdej młodej dziewczyny, każdego młodego chłopca, nie zastanawiano się nad tym, jakie cechy u danego chłopca czy dziewczyny należy rozwinąć, a jakie w nich zwalczać, by stali się lepsi, doskonalsi.

W gorączce walki o plan rzadko kto zwracał uwagę na to, że o pracy, o jej ilości i jakości decyduje przede wszystkim człowiek — robotnik, rzemieślnik, chłop — a nie maszyna, nie surowiec. Z żelaza można zrobić topór i ozdobne drzwi dla kamieniczek na Starym Mieście w Warszawie — zależy to od człowieka. Z drzewa można zrobić stylisko toporu, można również wykonać piękny drzeworyt — i to zależy od człowieka.

W gorączce walki o plan, o współzawodnictwo rzadko kto zwracał również uwagę i na to, że u nas nie człowiek służy produkcji, a produkcja służy człowiekowi. Wszystko dla człowieka! Wszystko dla jego wszechstronnego rozwoju, dla jego doskonalenia się. A więc człowiek, z jego

umiejętnościami i narzędziami, które on przecież stworzył, jest głównym ogniwem w produkcji — a naszym zaszczytnym zadaniem jest doskonalenie człowieka. I dlatego kardynalnym błędem było ograniczanie naszej działalności tylko do różnorodnych form mobilizacji młodzieży do produkcji. Nic więc dziwnego, że młodzież w niektórych zakładach widziała w aktywistach „naganiaczy do współzawodnictwa”, a nie przyjaciół dbających o wszechstronny rozwój młodzieży, o jej byt materialny i kulturalny, właśnie w powiązaniu z walką o realizację zadań produkcyjnych. „Produkcjonizm” musiał więc ujemnie wpłynąć na zacieśnienie się więzi Związku z młodzieżą.

Ujemnie wpłynęło na tę więź również tzw. lakiernictwo występujące zawsze w parze z fanfaronadą, z kłajstrowaniem drażliwych spraw.

W naszym życiu wiele jest jeszcze braków i niedociągnięć, w drodze do socjalizmu musimy jeszcze przezwyciężyć wiele trudności. Dużo jest jeszcze obłudy i kłamstwa, zazdrości i chciwości. Słowa — „towarzysz”, „przyjaciół” — nie wszędzie i nie u wszystkich zyskały właściwą treść, tu i ówdzie są one jeszcze pustym frazesem.

Nie wszystkim jeszcze dobrze się powodzi. Obok wielu robotników mieszkających w nowych domach są i tacy, którzy mieszkają w suterrenach, obok zarabiających dobrze i bardzo dobrze, są i tacy, którzy zarabiają mało. Obok czystych Domów Młodego Robotnika, w których młodzież otoczona jest czułą opieką, są Domy odpychające młodzież zarówno swym wyglądem zewnętrznym jak i panującą tam atmosferą. Obok właściwego stosunku do człowieka jest jeszcze wiele biurokracji i nie w każdym urzędzie czy instytucji umiemy dojrzeć za papierkami żywe, ludzkie serce.

Wszystkie te i inne ujemne objawy w naszym życiu nie są jednak produktem budownictwa socjalistycznego, nie są organicznie związane z jakąś wadą istniejącą w naszych stosunkach społecznych — a są skutkiem kapitalistycznej spuścizny, działalności wroga i dość często — niedojrzałości ludzi: tych na stanowiskach, jak i tych bez stanowisk. O rozwiązaniu powyższych problemów ostatecznie zadecyduje budownictwo nowego życia, które stwarza wszelkie dane dla likwidacji i obumierania tego wszystkiego, co człowiekowi niepotrzebnie utrudnia i zatrzuwa życie. I dlatego słuszna jest nienawiść młodego

człowieka do otaczającego go zła, słuszne jest jego dążenie do likwidacji chciwości, zazdrości, wszelkiej wrogości między ludźmi pracy. Dlatego trzeba nie ukrywać, lecz należyte wyjaśniać młodzieży istotę występujących w naszym życiu trudności, z których pokonywania wynika bohaterstwo naszych czasów, bohaterstwo sytuacji, w której młodzież nieraz się znajduje. Wtedy skuteczność walki z trudnościami byłaby większa, sama walka stałaby się bardziej aktywna, no i zaufanie młodzieży do nas wzrosłoby poważnie.

Nie oddali przysługi naszej sprawie tacy „z bożej łaski” aktywiści, którzy uważali, że o różnych niedomaganiach naszego życia nie wypada z młodzieżą rozmawiać, gdyż miałoby to rzekomo szkodliwy wydźwięk polityczny. Na trudne warunki życiowe części młodzieży, na jej troski i kłopoty odpowiadano więc gromko brzmiącymi frazesami o poświęceniu i konieczności historycznej. Słuszne pretensje młodzieży zbywano ogólnikami o krytyce i samokrytyce i ich znaczeniu w rozwoju społeczeństwa socjalistycznego. Wszystko to świadczyło — z jednej strony — o braku zaufania do młodzieży oraz — z drugiej strony — o braku wiary w naszą sprawę, w naszą walkę.

Nie oddali przysługi naszej sprawie również i tacy aktywiści, którzy uważali za rzecz poniżej swej godności — godności „kierowników od spraw młodzieży” — zajmowanie się takimi „błahostkami” jak warunki życia młodzieży w internacie, jak opieka nad chorym chłopcem czy dziewczyną, jak warunki pracy młodzieży w zakładzie itp., albowiem... „to przecież nie ma nic wspólnego z wielką polityką”.

Lekceważący stosunek do potrzeb młodzieży jaskrawo wystąpił w kampanii wyborczej do rad narodowych. Z winy wielu organizacji zetempowskich w programach wyborczych komitetów Frontu Narodowego bardzo mało było mowy o młodzieży i jej potrzebach. Lekceważący stosunek do potrzeb młodzieży wystąpił również podczas zaciągu pionierskiego do PGR-ów, gdy na skargi ochotników, że nie stworzono im frontu pracy, przez co zarobki ich są niskie, lub że w mieszkaniach jest zimno — niektórzy „etatowi rewolucjonisi” wyniosłe odpowiadali... „zaorywujemy **przecież** odłogi... budujemy socjalizm...”

Prawda, na wszelką „małą sprawę” należy patrzeć z wysokości naszego celu, ale po to jednak, by ją rozwiązać w interesach tego celu, a nie

lekceważyć. W trosce o człowieka, w otaczaniu go opieką nie ma bowiem drobiazgów, wszystko jest ważne i potrzebne. I od tego, jak będziemy bronili interesów młodzieży, od naszego zaufania do niej, zależeć będzie siła i trwałość więzi ZMP z młodzieżą.

W społeczeństwie trudno nieraz zorientować się, które z nich jest pierwotne, a które wtórne. Lakiernictwo, fanfaronada i omijanie drażliwych spraw tak często występują razem z kancelaryjno - biurokratycznymi metodami pracy wśród młodzieży, że nie łatwo nieraz określić, które z tych zjawisk jest przyczyną — a które skutkiem. Jak by tam nie było, fakt pozostaje faktem, iż niesłuszne metody pracy z młodzieżą — mentorstwo, moralizatorstwo itp. — również ujemnie wpłynęły na umocnienie więzi naszego Związku z młodzieżą.

Wiele atramentu wylano już by udowodnić, że podstawową metodą działalności naszego Związku powinno być cierpliwe przekonywanie chłopców i dziewcząt, że tą metodą można się posługiwać jedynie wówczas, gdy wyruguje się wszelkie administracyjne sposoby kierowania młodzieżą. Wychowanie jest bowiem możliwe tylko przy żywej, bezpośredniej pracy z ludźmi, tylko wówczas, gdy się ludzi zna, wśród ludzi zawsze przebywa, gdy żyje się ich życiem, ich radościami i ich smutkami.

Trzeba przyznać, że obecnie częściej aniżeli przedtem aktywiści przebywają wśród młodzieży, lepiej starają się wnikać w ich sprawy. Tym niemniej warto sobie uprzytomnić, że zwiększona ilość wyjazdów w „teren“ nie oznacza jeszcze przełomu w metodach pracy z ludźmi. Zmienił się, co prawda, sposób „kontaktowania“, ale nie zmienił się jeszcze sposób „rozmawiania“ z młodzieżą. Nadal nie zawsze z szacunkiem odnosimy się do niej. Jeżeli w propagandzie posługujemy się taką „bronią“, jak lakiernictwo i fanfaronada, jeżeli często bywa jeszcze tak, że aktywista „z brodą“ występuje przed młodzieżą w roli moralizatora i mentorskim tonem prawi jej o tym, czego jej nie wolno, a co wolno, — a tak się często zdarza — to znaczy, że w swojej pracy za mało myślimy o młodzieży, lub — co gorsza — uważamy ją za mniej rozwiniętą od nas. W tym należy również szukać źródła tego, że nasze instancje często skazywały młodzież na bierność, chciały ją „prowadzić za rączkę“ i wyrećzały ją w wielu akcjach, zamiast kierować, pomagać, kontrolować.

Czy aktywista powinien radzić młodzieży? Owszem. Ale pamiętać musi, że nie pojadł wszystkich rozumów, że jak długo będzie żył, nie dokona takiej sztuki, żeby wszystko znał najlepiej.

Czy aktywista powinien uczyć młodzież? Oczywiście. Ale jedynie wówczas, gdy sam będzie chciwie przyswajał sobie nauki wykładane mu przez młodzież, gdy będzie wytrwale pogłębiał swą wiedzę marksistowską i ogólną. Bez tego nie może być mowy o więzi między ZMP a szerokimi masami młodzieży.



Nigdy jeszcze tak głęboko młodzież nie przeżywała charakterystycznych dla młodości procesów burzenia i tworzenia, jak obecnie. Jest to zrozumiałe, bo głęboko dramatyczna jest treść epoki, w której żyjemy, epoki pełnej takich właśnie procesów burzenia i tworzenia. Z tego wynika powaga problemu walki o duszę młodzieży, długotrwałość tej walki oraz ogromne trudności związane z nią. I niech nikt się nie łudzi, że Związek Młodzieży Polskiej podolał tej walce sam, że bez niczyjej pomocy ją wygra. Potrzebne tu jest współdziałanie wszystkich instytucji i organizacji bezpośrednio lub pośrednio odpowiedzialnych za wychowanie młodzieży. Dla ZMP sprawa współpracy z innymi instytucjami i organizacjami ma jeszcze i to znaczenie, że ZMP zyska przez to szersze możliwości wpływania na młodzież, zyska możliwość umocnienia i rozszerzenia swych więzów z młodzieżą.

Trzeba stwierdzić, że nie docenialiśmy tej sprawy, że w naszej organizacji występowała niesłuszna i niczym nieusprawiedliwiona tendencja zmonopolizowania całokształtu pracy wśród młodzieży, pewna bojaźń przed „konkurentami“, Z drugiej zaś strony, wiele instytucji i organizacji, które powinny były współpracować ze Związkiem — rady narodowe, związki zawodowe, Liga Kobiet, ZSCh, Ministerstwo Oświaty, Ministerstwo Kultury i Sztuki, odpowiednie resorty innych ministerstw itd. oraz poważna część działaczy kulturalnych — wołały zająć pozycje obserwatorów przyglądających się działalności ZMP, by następnie krytyką jego pomyłek usprawiedliwiać swoją beczynność.

Chodzi o to, aby sobie uprzytomnić, że wszyscy jesteśmy zainteresowani rozwojem młodzieży, jej wychowaniem, gdyż jest to sprawa naszej przyszłości. Pamiętajmy — walka o duszę młodzieży trwa!

...Zetempowiec w całym swym życiu i postępowaniu powinien czerpać wzór z życia Stefana Okrzeji, Władysława Kniewskiego, Henryka Rutkowskiego, Janka Krasickiego, Hanki Sawickiej i wielu innych młodych bojowników, poległych w walce o Polskę Ludową.

(Z punktu 3 projektu Statutu ZMP)

„H a n k a”

Helena Balicka-Kozłowska

W dniach powstania Krakowskiego w 1923 r. zdarzyło się, że rodziców z Hanką zaskoczyła na mieście strzelanina. Wzięli dziecko między siebie i spiesząc odprowadzić je do domu. A Hanka w ryk. Uspokajają ją jak mogą.

— Haneczko, nie bój się, zaraz będziemy w domu — a Hanka nic, tylko ryczy i ryczy. W końcu ojciec pyta:

— A właściwie dlaczego ty tak płaczesz?

A ona na to:

— A bo jak was zabiją, to kto mnie wtedy odprowadzi do domu?

Niepokój Hanki był uzasadniony — miała wtedy pięć lat.

Haneczka miała wyjątkowo jasne, szczęśliwe dzieciństwo, miała niezwykle mądrych i dobrych rodziców.

Rodzice jej brali aktywny udział w rewolucji 1905/7 roku na terenie Warszawy i Łodzi, siedzieli w carskim więzieniu i oboje byli członkami Centralnego Komitetu Robotniczego PPS-lewicy. Do końca życia pozostali czynnymi sympatykami KPP.

Wieczorami często przychodzili do nich starzy towarzysze i wtedy toczyły się długie dyskusje na tematy polityczne. Wspominano czasem walki z caratem, opowiadano o tym, co się dzieje w kraju. Hanka od dzieciństwa była z początku milczącym, potem coraz bardziej aktywnym uczestnikiem tych rozmów.

Rodzice dużą wagę przywiązywali do nauki Hanki. Ojciec, inżynier, miał wielkie wymagania w stosunku do jej postępów w nauce. Pomagał jej w matematyce i fizyce, które jej szły opornie. Matka rozwijała w niej zdolności humanistyczne. Przez cały okres do matury Hanka utrzymała się jako solidna czwórkowa uczennica.

Haneczka bardzo lubiła się ślizgać i pływać. Dużo trenowała, zajadła gimnastykowała się.

Rodzice najczęściej wyjeżdżali z nią latem do Zakopanego. Hanka wiele miejscowości zwiedziła, dużo widziała, nieodmiennie jednak najbardziej się rwała do gór.

W 1931 roku przenieśli się rodzice do Warszawy. Hanka z żalem żegnała się z rodzinnym Krakowem — wyjeżdżając płakała. Wkrótce jednak zżyła się z Warszawą. Polubiła szkołę (Gimnazjum im. J. Słowackiego), zaprzyjaźniła się z koleżankami, którym stale pomagała w opanowaniu przedmiotów humanistycznych. Na lekcjach

wiele dyskutowała powodowana oburzeniem na niesprawiedliwość społeczną, na krzywdę ludzką, na opaczne tłumaczenie faktów historycznych.

W ciągu całego pobytu w gimnazjum Hanka pracuje w samorządzie klasowym, aktywnie uczestniczy we wszystkich zebraniach klasy. W oparciu o samorząd szkolny organizuje świetlicę niedzielną dla dzieci jednej ze szkół powszechnych na Ochocie. Do pracy w świetlicy przyciąga wszystkie klasy i sama do matury aktywnie tam pracuje.

W gimnazjum Hanka bardzo wiele i celowo czyta. Interesuje ją przede wszystkim położenie klasy robotniczej i historia socjalizmu i ruchów społecznych na całym świecie. Czyta też dużo z polskiej historii ruchu robotniczego, konfrontując wiadomości przeczytane w opracowaniach pepesowskich i piłsudczykowskiach z opowiadaniaми rodziców i ich przyjaciół.

W okresie szkolnym „szaleje” za Słowackim, lubi i ceni Żeromskiego. Bardzo interesuje się nielicznymi wówczas tłumaczeniami z radzieckiej literatury pięknej jak „Republika Szkid”, „Pamiętniki Kostji Riabcewa”, „Zorany ugor” itd. Jej ukochaną książką przez długie lata jest „Matka” Gorkiego. Bardzo lubi wiersze Majakowskiego, Szymańskiego — szczególnie zaś Broniewskiego. Wiele jego wierszy uczy się na pamięć i wykorzystuje w pracy świetlicowej.

*

Hanka rozpoczyna wyższe studia prawnicze w roku „uchwalenia” pamiętnej konstytucji kwietniowej (1935), w okresie ofensywy faszystów.

Jedną z pozycji, które faszyzm starał się od kilku lat zdobyć, były wyższe uczelnie. Ekscesy antyżydowskie, prowadzone pod hasłami utworzenia ghetta ławkowego dla Żydów lub niedopuszczania ich na studia wyższe, rozpoczynały się zazwyczaj zaraz po rozpoczęciu zajęć na uczelniach. Uzbrojone bojówki faszystowskie napadały na studentów Żydów oraz broniących ich Polaków, bijąc, raniąc, oblewając kwasem solnym czy ługiem i zrzucając ze schodów. Demolowano przy tym urzędnika pracowni i sal wykładowych. W wyniku tych napadów zdarzały się wśród pobitych wypadki wstrząsu mózgu, łamania kości, a nawet śmierci. Władze uniwersyteckie i państwowe odnosiły się do tych burd z zyczliwością.

Pierwsze zetknięcie z rozszalałym faszyzmem Hanka przeżywa mocno. W krótkim czasie jednak organizuje na Wydziale Prawa komitet do walki z faszyzmem. Hanka, która już wtedy należy do nielegalnej Organizacji Młodzieży Socjalistycznej „Życie“, oddziału akademickiego KZMP, na zebraniach dyskusyjnych, które odbywają się u niej w domu, przekonuje koleżanki i kolegów o konieczności nieustępliwej walki z faszyzmem również na innych odcinkach.

Podstawową akcją „Życiowców“ na terenie wyższych uczelni była w tym czasie obok bezpośredniej walki z zakłócaniem spokoju i biciem kolegów przez bojówki faszystowskie — walka o obniżkę opłat za naukę, o powiększenie ilości stypendiów, o bezpłatny dom akademicki.

Największe nasilenie osiągnęła akcja antyopłatowa w marcu 1936 r. Wtedy to wybuchł strajk okupacyjny na Politechnice Warszawskiej i strajki solidarnościowe we wszystkich innych uczelniach warszawskich. Hanka bierze czynny udział w organizowaniu „Frontu Niezamożnych“, organizuje masówki, kolportuje ulotki, bierze udział w demonstracjach ulicznych.

Z polecenia organizacji „Życie“ Hanka prowadzi pracę oświatową i polityczną w kole młodzieży przy klasowym związku zawodowym szewców. Jest to jej pierwsze istotne zbliżenie z robotnikami. Hanka oddaje im całą swą wiedzę i entuzjazm. Sama zaś uczy się od nich patrzeć na życie nie oczami pełnej zapału inteligentki, której życie układało się od dzieciństwa łatwo, lecz oczami ludzi, którzy na własnej skórze odczuwali niesprawiedliwość społeczną.

W okresie studiów w 1936 r. dotknął Hankę cios — śmierć matki, która była jej najbliższą przyjaciółką. Przez parę miesięcy Hanka żyje w bolesnym odrętwieniu, nie zaprzestaje jednak ani na chwilę nauki i pracy społecznej. Od tego czasu całe swe uczucie skupia na starym ojcu; tkliwie się nim opiekuje i zwraca z troską i żmartwień, zwycięstw i sukcesów. Radzi się go we wszystkich sprawach.

Hanka od najwcześniejszych lat wychowywana w słusznym kierunku przez rodziców, obracająca się w kole licznych przyjaciół — rewolucjonistów — nie znała niepewności i wahań w wyborze drogi życiowej. Nie miała nigdy wąt-

pliwości czy akceptować to, co głoszone w sanacyjnej szkole, czy to, o czym od dzieciństwa słyszała od rodziców. Problem „rozdartej sosny“ Żeromskiego — będącej uosobieniem wahających się samotników — inteligentów zbawiających świat na własną rękę i na własną modłę — był jej obcy.

Hanka w latach przedwojennych była żywą, inteligentną, zdolną dziewczyną, aktywistką w pracy społecznej, miała wielkie wyczucie polityczne. Nie wyrastała jeszcze ponad swoje otoczenie — jeszcze, do pewnego stopnia, była dzieckiem, które czuje oparcie w rodzicach, które nie próbowało własnych sił.

*

Od pierwszych dni września 1939 r. Hanka zgłasza się do pracy w Robotniczym Komitecie Pomocy Społecznej — organizacji stworzonej przez ugrupowania lewicowe i opiekującej się uchodźcami i pogorzelcami. Trzeba było organizować kuchnie, punkty noclegowe, punkty informacyjne.

Były trudności z uzyskaniem zbędnych lokali, było mało naprawdę energicznych ludzi, którzyby się tym zajęli.

Hanka z grupą przyjaciół chodzi po mieście wyszukując opuszczone lokale biur i sklepów — możliwie na parterze. Dozory domów wzdragała się otworzyć, twierdząc, że nie ma kluczy, że oberwą później od

właścicieli tych lokali. Hanka nie ustępuje: tłumaczy, przekonywuje, że jest to ich obowiązek społeczny i narodowy. Grozi wyłamaniem drzwi lokalu i w końcu lokal — po dobroci, czy siłą — zostaje odstąpiony. Jednocześnie Hanka organizuje pomoc dla mieszkańców danego domu w wyposażeniu takiego punktu, zapewnia sobie ich udział w opiece nad dziećmi.

Ale praca w Robotniczym Komitecie Pomocy nie wyczerpuje działalności Hanki. W lokalu „Robotnika“ przy ul. Wareckiej 7 tworzą się ochotnicze bataliony obrony Warszawy. Hanka pracuje przy werbowaniu i rejestracji, wyekwi-powaniu i zaopatrzeniu ochotników.

Pracując w budynku drukarni — nie można nie wykorzystać nadarzającej się sposobności. Hanka wraz z grupą młodzieży lewicowej redaguje i drukuje ulotki mówiące o charakterze toczącej się wojny.



25 września to najcięższy dzień oblężenia. Rano na Złotej zjawia się czarny, osmolony Kazik Dębiak*) i powiada:

— „Robotnik“ zburzony — nie macie już tam po co chodzić.

Tego dnia siedzieliśmy na schodach z Hanką, Kazikiem i Zosią Jaroszewicz**) śpiewając „Świat cały śpi spokojnie...“ Na niebie huczały niemieckie samoloty, wybuchy bomb zlewały się niemal ze sobą. Hanka nagle powiedziała:

— Czyście zauważyli, że już od paru godzin nie strzelają zenitówki? Nie mają amunicji... obrona słabnie, nadchodzi śmierć. Tak jak w Komunie Paryskiej — dodała cichutko. Wkrótce potem przyszedł dzień kapitulacji.

Kapitulacji — ale nie dla Hanki. Parodniowy rozejm dla omówienia warunków poddania miasta wykorzystuje Hanka dla omawiania z młodzieżą gazetemową, lewicowymi omturowcami i ludowcami form przyszłej walki; dla gromadzenia aparatów radiowych, maszyn do pisania, papieru.

Już w początku października Hanka wspólnie z towarzyszami wydaje pierwszy numer „Wolności“ — pierwszego bodajże pisma podziemnego w okupowanej Warszawie. „Wolność“ zachęca społeczeństwo polskie do wytrwania, wyjaśnia sytuację wojskowo-polityczną w świecie i tłumaczy przyczyny klęski wrześniowej.

Pismo jest kolportowane z rąk do rąk nie tylko między znajomymi. Młodzież stara się, aby jak najwięcej egzemplarzy wzięli ze sobą powracający na wieś żołnierze. We „Wszystkich Świętych“ i w „Zaduszkach“ Hanka wraz z towarzyszami rozrzuca pismo na cmentarzach, licząc w tych dniach uczęszczanych przez ludność stolicy.

Podczas pierwszej wojennej zimy — tej najbardziej lodowatej ze wszystkich zim — powstaje w Warszawie zatrzesienie kółek samokształceniowych młodzieży inteligenckiej i robotniczej, szczególnie lewicowej. W okresie tym powstaje również koło dyskusyjne złożone z kilkunastu studentów — byłych członków OMS „Życie“. Hanka jest współzałożycielką i czynnym członkiem tego koła.

Na wielogodzinnych zebraniach byli „Życiowcy“ pogłębiają znajomość marksizmu-leninizmu, dyskutują z ożywieniem o najbardziej palących sprawach. Do dyskusji na kole wszyscy członkowie przygotowują się bardzo starannie. Poziom oraz wybór tematów opracowywanych przez tę grupę młodzieży góruje zdecydowanie nad poziomem innych kół. Wobec tego wielkie znaczenie mają dla innych grup młodzieży referaty „Grupy Studenckiej“, które przepisywa-

ne wielokrotnie na maszynie są szeroko kolportowane przez członków tego koła.

Ten okres samokształceniowy w działalności młodzieży lewicowej miał doniosłe znaczenie przygotowawcze do przyszłej walki. „Niech myśl toruje drogę czynowi“ — píše wówczas Hanka w referacie o Karolu Marksie.

Naokoło szalała wojna. — Niemcy odnosili jedno zwycięstwo po drugim. Po klęsce Francji wielu ludzi straciło nadzieję na wyzwolenie kraju spod faszystowskiego jarzma. Zamiast realnie patrzeć i rozmawiać ludzie zaczęli wierzyć w przepowiednie, czekać jakichś cudów. A terror niemiecki wzrastał się. Zaczynają się łapanie uliczne, wywożenie na roboty do Rzeszy, powstaje obóz zagłady w Oświęcimiu.

Ludziom spragnionym wiadomości o tym, co się dzieje na świecie trzeba było dać rzetelne wiadomości o sytuacji w świecie i w kraju, trzeba było wytłumaczyć przyczyny niedawnej klęski. Trzeba było przeciwdziałać propagandzie Delegatury Rządu Londyńskiego „Grupa studencka“ organizuje nasłuch radiowy i wydaje — początkowo pisany na maszynie a potem powielany — Biuletyn Radiowy. W tymże czasie byli „Życiowcy“ powielają „O podstawach leninizmu“ Stalina, dyrektywy Kominternu itp. materiały. Kolportażem tych materiałów i Biuletynu zajmuje się Hanka.

W r. 1940 i pierwszej połowie 1941 r. Hanka pracuje zarobkowo jako świetliczanka w robotniczym Osiedlu WSM na Rakowcu. Hanka jest urodzonym pedagogiem. Zna świetnie młodzież, jej zainteresowania, bolączki, dążenia i wie, jak do niej dotrzeć, jak ją zainteresować. W ramach samokształcenia w świetlicy omawia się najczęściej tematy opracowywane przez grupę byłych „Życiowców“. Zagadnienie reformy rolnej i sprawa odszkodowania, wzajemne stosunki Polski i ZSRR i podobne aktualne tematy wywołują zażarte dyskusje.

Dyskusje ciągną się często długo, są żywe. Pod koniec wszyscy mają jednakowe zdanie. Są przekonani, że sami doszli do wszystkiego. Wydaje im się, że chyba od dawna tak twierdzili. A Hanka uśmiecha się — cel został osiągnięty.

Praca na świetlicy jest bardzo urozmaicona: wieczory pieśni i poezji, zabawy taneczne, wieczory regionalne, na które składają się piosenki, tańce.

Hanka każdego dnia niezmiennie sumiennie przygotowuje się do wieczornych zajęć z młodzieżą, przyciąga do współpracy wielu swoich znajomych.

Zimą 1940/41 r. spotyka ją koleżanka w Alejach Jerozolimskich. Hanka dźwiga ogromną choinkę.

— Dokąd Haniu?

— Nie chcieli mnie wpuścić do tramwaju, bo za duże drzewko... Kupiłam, żeby swoim z Rakowca zrobić niespodziankę.

*) Kazik Dębiak — przedwojenny działacz młodzieżowy. W 1940 r. organizuje w okolicach Białej Podlaskiej oddział partyzancki. Glinie w styczniu 1943 r. podczas akcji na kino „Apollo“.

**) Zofia Jaroszewicz — aktywistka ZWM, przewodnicząca Zarządu Warszawskiego ZWM, członek redakcji „Walki Młodych“ — zginęła we wrześniu 1944 r. w czasie przechodzenia przez linię frontu.

— Jak ty to zanieśiesz, przecież stąd na Rakowiec jest kilka kilometrów.

— Ale oni muszą mieć choinkę. Taka przecież teraz smutna zima...

Z uczestników świetlicy na Rakowcu powstaje w połowie 1942 r. pierwsze koło młodzieży przy PPR — dające wraz z paru innymi załazek przyszlęmu Związłkowi Walki Młodych. Z Rakowca idzie potem do lasu spora garść gwardzistów.

•

Z chwilą wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej nastąpiło znaczne ożywienie działalności wielu grup skupiających dawnych członków Komunistycznej Partii Polski i KZM. Z drobnych „prywatnych” grup i grupiek powstają organizacje.

W sublokatorskim pokółku przy ul. Mokotowskiej Hanka coraz większą ilość nocy poświęca powielaniu „Biuletynu Radiowego” i nowego pisma „Zwycięzimy”. W dzień pracuje w Spółdzielczym Przedsiębiorstwie Budowlanym jako magazynierka w kuchni robotniczej na budowie gmachu PZUW (obecny gmach CRZZ).

Hanka wykorzystuje bardzo ruchliwe miejsce budowy na spotkania z towarzyszymi. W skrytkach i zakamarkach gmachu urząda składy nielegalnej prasy, części drukarni, a później również broni. Z kuchni budowy wynosi garnki z jedzeniem, które zanosí towarzyszym — najczęściej ukrywającym się Żydom i zbiegłym jeńcom radzieckim.

Podczas zimy 1941/42 r. Niemcy tworzą w Generalnej Guberni szereg obozów koncentracyjnych dla jeńców radzieckich. Część „krasnoarmiejców” zbiegłych z tych obozów ukrywa się w Warszawie u różnych towarzyszy. Hanka jest z ramienia Komitetu Pomocy Ofiarom Faszyzmu organizatorem opieki nad „krasnoarmiejcami”. Wyszukuje mieszkaniá, w których oni mogą się ukrywać (konieczność zmiany mieszkań zachodzi bardzo często), przeprowadza ich z lokalu do lokalu, wyrabia im fałszywe dokumenty, organizuje dostarczanie żywności. Mimo wielokrotnej w ciągu jednej zimy zmiany mieszkań żaden z żołnierzy radzieckich nie wpadł. Wszyscy na wiosnę idą razem z gwardzistami do partyzantki.

Pewnego dnia trzeciej wojennej zimy wpada do nas Hanka; takiej szczęśliwej, rozpromienionej, przejętej dawnosmy nie pamiętali.

— Haneczka, co się stało, mów!

Nie trzeba było jej długo prosić. Przycupnęła na tapczanie i pełnym przejęcia głosem zaczęła opowiadać, że przybyli towarzysze „z tamtej strony” i że tworzą już, organizują partię, partię robotniczą, rewolucyjną. Że teraz już walka z Niemcami pójdzie pełną parą, że z wielu grup i grupiek, działających na własną rękę i po omacku, powstanie silna, bojowa organizacja, partia polskich mas pracujących.

•

Z polecenia partii Hanka staje na czele kolportażu prasy partyjnej na Warszawę i okolice podmiejskie. Bierze też udział w rozmowach przeprowadzanych z przedstawicielami innych partii i organizacji podziemnych. W dalszym ciągu opiekuje się jeńcami radzieckimi. Stara się też o części do zmontowania radiostacji nadawczej. W tym celu wykorzystuje swych przyjaciół i ich znajomych i w końcu lampy i inne części sprowadza — wprost z Berlina.

Hanka rzadko nocuje w domu. Na Dobrej, na Krużańskiej, na Kieleckiej, Radałwickiej, na Saskiej Kępie drukuje się „Trybuna Wolności”, „Gwardzista”, „Wola Ludu”, powiela się „Biuletyn Radiowy”. Coraz więcej egzemplarzy idzie w świat. Drukowanie jednego nakładu trwa noc, potem dwie noce i dłużej.

Hanka przychodzi do lokalu drukarni przed samą godziną policyjną, porządnie już zmachana, gdyż po wyjściu z pracy od godz. 16 była już w wielu miejscach, na zebraniach i podpunktach. Zaczyna się robota. Dziesiątki, setki egzemplarzy pism rosną na stole. Hanka prosi:

— Pośpiewajmy sobie trochę, zaraz nam robota lepiej pójdzie. Sama ma głos słaby, ale przepada za śpiewem.

Cicho i zgodnie, nie zaniebując roboty, dziewczęta nucą piosenki góralskie, radzieckie.

Rano, gdy wolno już wychodzić na ulicę, Hanka bierze paczki i idzie na podpunkty. Przed rozpoczęciem pracy na budowie chce jak najwięcej prasy dostarczyć na miejsce rozdziału.

Tylko parę godzin w tygodniu rezerwuje Hanka dla siebie — ściślej mówiąc — dla ojca. Staruszek ze względów konspiracyjnych mieszka sam jeden pod Warszawą. Dawniej Hanka częściej do niego jeździła. Teraz już nie ma czasu. Tylko we środy, w południe, w domu przyjaciół Hanka jest znowu małą Haneczką, która może pogadać z tatusiem, wysłuchać jego bur i rad — i tak jej jest wtedy dobrze... Ojciec wie, że jest w partii, że aktywnie pracuje, nie domyśla się jednak jak bardzo jest zaangażowana.

Którejś nocy w sierpniu ojciec przyjeżdża do Warszawy chory i już tu zostaje. Okazuje się, że ma tyfus. Po dwóch tygodniach choroby umiera na rękach Hanki.

Wkrótce po śmierci ojca Hanka rzuca pracę na budowie i odda całe dnie poświęca wyłącznie pracy partyjnej.

Jesienią 1942 r. partia powołuje Hanę na członka Komitetu Warszawskiego. W ciągu października — listopada Hanka montuje redakcję i drukarnię „Głosu Warszawy”. Wyszukuje lokal, ludzi do pracy, zdobywa maszynę drukarską, czcionki, papier, farbę. Bierze udział w redagowaniu pisma.

•

W „technice” i kolportażu prasy partyjnej pracuje prawie sama młodzież. W niektórych dzielnicach pod nadzorem komitetów dzielnicowych partii powołują koła młodzieży. Wielu z członków tych kół należy do Gwardii Ludo-

wej. Młodzieżą tą opiekują się byli „Życiowcy”. Hanka organizuje koła i utrzymuje łączność między kierownikami poszczególnych komórek.

Już oddawna nosi się z zamiarem powiązania tych wszystkich grup młodzieży w jedną organizację, która by była ściśle związana z partią. Inicjatywa Hanki spotyka się z poparciem partii i Hanka zostaje w grudniu 1942 r. oddelegowana do roboty młodzieżowej.

W początku grudnia w mieszkaniu Hanki odbywa się pierwsze zebranie nowej organizacji. Na zebraniu tym ustala się liczbę istniejących kół i liczbę młodzieży przez nie objętej, przeprowadza się podział na dzielnice.

Najważniejszą sprawą jest ustalenie programu działalności młodzieży. Hanka wielki nacisk kładzie na pracę wychowawczą i na wydawanie odrębnego pisma młodzieżowego. Na zebraniu tym postanowiono zwrócić się do partii i do Gwardii Ludowej z prośbą o autonomię oddziałów bojowych młodzieży.

Z chwilą utworzenia Związku Walki Młodych — praca wśród młodzieży rozwija się szybko. W ciągu kilku tygodni powstaje szereg nowych kół. W lutym ukazuje się pierwszy numer „Walki Młodych”. Zetwuemowcy organizują coraz więcej akcji propagandowych, odwetowych i zaopatrzeniowych (w celu zdobycia pieniędzy i broni przeprowadzają się „eksy”*) oraz rozbijanie Niemców i granatowych policjantów).

*

1943 — to rok klęski wojsk niemieckich pod Stalingradem i jednocześnie rok wznagającego się terroru niemieckiego. Hanka bardzo mocno przeżywa wszelkie wiadomości. Od dobrych promienieje cała i z jeszcze większym zapalem pracuje. Złe wieści o wyspach, łapanekach, obczach zagłady przynębiają ją ogromnie — cierpi nie mogąc zapobiec, przeciwdziałać zbrodniom. Tak było w okresie likwidacji ghetta warszawskiego, tak również było w okresie wysiedlania Polaków z Zamojszczyzny.

Najgorsze nawet wieści nie załamują jednak Hanki. Długo rozpaczać nie umie. „W walce ratunek — w bierności zagłada” pisali zetwuemowcy na murach Warszawy. Jedyne, co może powstrzymać bestialstwa faszystów niemieckich to walka zbrojna. W ciągu paru dni przy współudziale Hanki zetwuemowcy dokonują kilku akcji odwetowych jak podłożenie bomby w kinie „Apollo”, obrzucenie granatami „budy” z żandarmami jadącymi na akcję i in.

Hanka bardzo mocno chce żyć, umie cieszyć się życiem i młodością, chce dożyć dni pokoju i wolności, chce budować socjalizm. I dla siebie pragnie osobistego szczęścia.

— Zobaczycie, jeszcze będę miała dzieci — mówi towarzyszącej.

Ale ważniejszą sprawą teraz jest walka, której poświęca wszystko.

— D o k a d s i ę ż y j e , t r z e b a w a l c z y ć — a b y p r o w a d z i ć

w a l k ę t r z e b a s t a r a ć s i ę t y c j a k n a j d ł u ż e j .

Dlatego też nie znosi niepotrzebnej brawury i lekkomyślności. Uczy panowania nad sobą, robienia zawsze rzeczy przemyślanych:

— Nasza walka, to nie tylko walka z okupantem — mówi — to walka także z samym sobą. Nie jest sztuką umierać. To każdy nerwus potrafi. Sztuką jest walczyć i żyć tak długo jak trzeba.

*

Hanka jest duszą całej roboty. Kierując całością potrafi wnikać jednocześnie w najdrobniejsze jej szczegóły. Jest przewodniczącą Zarządu Głównego ZWM, redaktorem „Walki Młodych”, prowadzi samokształcenie instruktorów oświatowych, sama zajmuje się kołem na Powiśle, pisze referaty, artykuły, bierze udział w drukowaniu i kolportażu „Walki Młodych”, pracuje przy wyrobie butelek zapalających. Przed każdą akcją starannie bada teren, przewiduje wszystkie możliwości, sama instruuje wykonawców.

Hanka dwoi się i troi. W najbardziej oddalonych punktach Warszawy zobaczyć można jej niewysoką postać. Wiele zebrań poprzedza wyszukiwanie lokalu, zawiadomienie ludzi. Spotkania z towarzyszami odbywają się w najdalszych dzielnicach miasta, a tramwaje chodzą okropnie: co 20, 40 minut tramwaj obwieszony ludźmi dosłownie ze wszystkich stron, a jednak Hanka nigdy prawie nie spóźnia się.

Hanka co parę dni jada obiad, rzadko już nocuje w domu. Większość nocy poświęca na zebrania, odprawy, drukowanie. Jej żelazny organizm jest już wyczerpany — choć zawsze wygląda ładnie i świeżo i stale twierdzi: „Zmęczenie się mnie nie ima”.

Ostatnie miesiące Hanka pracuje już nadludzkim wysiłkiem woli. Wszystkie myśli jej są skupione na tym, co trzeba zrobić. Idąc ulicą stara się zapamiętać jej wygląd, posterunki niemieckie, przechodnie domy, obiekty, które należy zniszczyć. Organizuje w tym czasie podpalenie garaży na ul. Podchorążych i Karolkowej, warsztatów samochodowych na Mokotowskiej.

Nic nie wolno zapisywać, a Hanka musi zapamiętać setki adresów, terminów, poleceń, rozkazów i przekazać je właściwym osobom.

Wielką troską Hanki staje się w tym okresie brak czasu na staranne przygotowywanie się do wygłaszanych referatów i pogadań.

— Jadę zaosobem starych wiadomości, nie mam czasu czytać — skarży się nieraz.

Pracuje w dzień i w nocy, nie zważając na niebezpieczeństwa. Nie słucha prośb przyjaciół i rad towarzyszy, że ze względów zdrowotnych i konspiracyjnych wyjazd jej byłby bardzo pożądanym.

— Potem będziemy odpoczywali, teraz trzeba pracować. Czy chcecie żeby Czerwona Armia wszystko za nas zrobiła? — odpowiedziała na to.

*) „Eksy” — skrót słowa ekspropriacja tj. wywłaszczenie.

Któregoś dnia Hanka przyszła do nas jak zwykle opruć się, zjeść i pocerować. Robiła wrażenie bardzo zmęczonej. Wychodząc powiedziała, że jedzie na Stare Miasto.

Dowiedziałam się potem, że na rogu Mostowej, Rybaków i Bugaju umówiła się z paru towarzyszami. Podpunkt był obstawiony. Hanka zorientowawszy się usiłowała ostrzec nadchodzącego towarzysza. Nie udało jej się już wycofać. Ostrzeliwała się, ale sama dostała dwie kule w brzuch. Ciężko ranną zabrali ją na Szucha do gestapo. Potem odwieźli na Pawiak. W szpitalu więziennym Hanka błaga lekarzy —

Polaków, aby jej nie ratowali: „Więc przecież, co mnie czeka — taka jestem szczęśliwa, że umieram...”

Któregoś z następnych dni zebraliśmy się razem w gronie towarzyszy — mówiliśmy o Hance. Przypominając jej ostatnie czyny i słowa, ktoś powiedział:

Parę dni temu Hanka, widząc strach w oczach pojmanego przez Niemców człowieka, powiedziała:

„My się nie będziemy bać. Tworzymy nowe życie — to nie ważne, że można swoje stracić”.

Janek Krasicki — „Kazik”

Bohaterski przywódca ZWM

Krystyna Zielińska

KIEDY tęsknota za krajem, za partią, za walką — wypełnia każdą myśl, kiedy oczekiwanie na wiadomość od przyjaciół ciąży nieznośnie — przychodzi wiosna 1943 roku i do małego mieszkania w Mińsku przyjeżdża z dalekiej Warszawy 23-letni chłopiec.

Patrzy na siebie w milczeniu: 50-letni wychudły poważny mężczyzna, z oczyma w których jest światło i ciepło i jasnowłosy chłopak, przejęty ważnością swojej misji...

Kierownictwo partyjne przysłało dokumenty — młodzieniec wręcza je z powagą.

Droga otwarta — choć niełatwa... Nie zwlekając, razem udają się w podróż...

Nielatwo przedrzeć się z Mińska — z hitlerowskiego Ostlandu do Warszawy. W czasie trudnej, najeżonej niebezpieczeństwami drogi poznają się lepiej. Ciche rozmowy, odwaga i rozważa czynów — zbliża ich. W ciemnych oczach starszego, gdy patrzy na jasną, pochyloną głowę chłopca, jest ojcowskie ciepło, dumna i troska jednocześnie. W niebieskich — tylko radość: przyjechaliśmy, udało się...

Bolesław Bierut i Janek Krasicki przedostali się do Warszawy.

*

Spokojnie, powoli wypowiadane słowa zabrzmiały na wartowni fabryki metalowej „Steinhagen” — patrzac prosto w oczy Werkschutz — Janek Krasicki powiedział: „Za znęcanie nad robotnikami — Polakami, skazany na karę śmierci”.

Szybkim ruchem podniósł pistolet i dwukrotnie wystrzelił w pierś hitlerowca.

„Jak on był wtedy opanowany, jaki poważny i surowy, każdy ruch i słowo było u niego przemyślane, nieprzypadkowe” — opowiadali później w swoich kołach ZWM-owskich chłopcy z Żoliborza i Woli, którzy wraz z Jankiem brali udział w akcji. — Od chwili kiedy jedną

ręką „Kazik” otworzył drzwi wartowni, drugą wyciągnął zza paska pistolet i błyskawicznie skierował go w stronę Werkschutz, poczuliśmy, że panuje on całkowicie nad sytuacją... Stojący w kącie faszysta zrozumiał to także...

Zadrżały pod nim nogi a ręce nawykłe do rozdzielania kulaków, uderzeń kolbą — posłusznie podniosły się do góry.

„Kazik” podszedł do stolika i z szuflady wyciągnął pistolet. W kącie malej izby, naprzeciw Werkschutz ciasno stłoczyli się robotnicy. — Spojrzał na nich — w niebieskich, rozumnych oczach było pytanie: No jak? Wypowiedzcie się...

Odpowiedziały mu smutne, surowe spojrzenia i słowa skąpe, a ciężkie jak zbrodnia — „drań — jak rzadko”.

Nie mówili więcej. Nie podawali nazwisk tych, co z rekomendacji Werkschutz skonali w obozie, nie mówili o codziennym katowaniu. Krótka była ich odpowiedź — na błagalne, rozbiegane spojrzenia hitlerowca i na pytający wzrok Janka. To był ich wyrok — wyrok śmierci...

Antek opowiadał później: Nie widziałem dotąd, że niebieskie oczy „Kazika” umieją patrzeć z taką nienawiścią, że takie mogą być surowe...

Oczy — które z niebieskich stawiały się stłow, gdy patrzyły w twarz wroga, były przecież naprawdę błękitne i promienne, a ręce, które nie drżały nigdy w akcjach, których każdy ruch był opanowany, spokojny — gestykowały żywo i z przejęciem, gdy na zebraniach ZWM-owskich kół na Woli, Powązkach i Targówku — Janek Krasicki mówił do młodzieży... Jak on mówił, jaki żar i wiara były w każdym wypowiedzianym przez niego słowie.

Prosty i bezpośredni, surowy i skromny, ogromnie szybko zjednywał sobie młodzież. Był jednym z nich — chłopcem pełnym brawury

i młodzieńczego zapału, a jednocześnie przera-
stał ich rozumą, dojrzałością, przemyślaną
decyzją, głębokim, poważnym stosunkiem do
każdej sprawy. Był taki jak oni, wesół, pełen
humoru, gotowy do żartów i kpin. W mieszkaniach robotniczej Woli i Targówka prowa-
dził robotę polityczną w kołach... Nie było to
zadanie wdzienne ani łatwe. Chłopcy, dla
których poezją i muzyką były słowa „Vis”,
„automat”, „granat”, którzy niemal z naboż-
ństwem składali, czyścili, przenosili broń i jak
o szczęściu marzyli o walce — chłopcy, którzy
uważali, że zaszczytem i wyróżnieniem jest
brać udział w akcjach, traktowali często nau-
kę, pracę polityczną, samokształcenie — jako
coś pośredniego między
złem koniecznym a „do-
pustem bożym”.

Uważali, że na to, by
się uczyć, znajdują czas
później — po zwycię-
stwie.

Byli tacy, co przycho-
dzili na „referat zasad-
niczy”, słuchali niby to
uważnie prelegenta, ba,
nawet kiwali ze zrozumi-
eniem głowami, ale
naprawdę przedstawiali
uważać zaraz po pierw-
szych słowach, czekając
tylko kiedy skończy się
prelekcja i kiedy moż-
na będzie pomówić o
„rozsądnych rzeczach”
— tzn. o walce.

Janek przyszedł pun-
ktualnie. Wyglądał jak
inni prelegenci — przy-
brudzona jesionka, brą-
zowy kapelusz nad po-
ciąglą, chłopięcą twarzą.

Położył notes i ołówek na stole... — „był ty-
lko niedługo” — pomyśleli z obawą chłopcy...
Zaczął mówić: ze słów spokojnych i cichych,
ze zdań prostych i krótkich wyrastały ogrom-
ne rzeczy... na chłopców z Targówka spojrzał
uważnie i ciepło Waryński.

...Zza barykad październikowych usnędnął
się Lenin. Dalekie lata i zdarzenia stawały się
bliskie i zrozumiałe... Powstanie Styczniowe,
Listopadowe, Powstanie Krakowskie, bunt de-
kabrystów i Komuna Paryska. Historia boha-
terskich walk za wolność naszą i waszą i ta
druga historia, która wyrosła ze zdrady i pod-
łości — historia reakcji polskiej i obcej..

Już nie czekali, kiedy się skończy prelekcja
Zapał Janka, jego wiara żarłwa i mocna sta-
wała się ich wiara. Kiedy mówił o braterstwie
walki, kiedy tłumaczył, co to znaczy proletar-
iatki międzynarodowe, kiedy mówił o Kraju
Rad i marzył głośno o dniu zwycięstwa — byli
wszyscy razem z nim, patrzyli i czuli tak jak

on: mądrze, daleko. Kiedy mówił o importowa-
nej z Londynu polityce „stania z bronią u no-
gi”, o jej źródłach i przyczynach, o „teorii
dwóch wrogów” — rozumowali jak on, nien-
widzili mocno, szczerze, bezwzględnie — tak
jak „Kazik”.

„Zrośliśmy się z „Kazikiem”. Stał się konie-
czny, nieodzowny w robocie politycznej. Umiał
do nas mówić, zaciekawiał i rozpalał wyobraź-
nię” — wspomina jeden z jego towarzyszy.

O pierwszej niedzielnej prelekcji „Kazika”
na Woli piszą tak: „Wtedy po raz pierwszy
chłopcy nie ziewali na części politycznej zebra-
nia”. Chłopcom z Woli, spragnionym słów o

walce, o planach akcji,
o broni, o partyzantce
— zaczął mówić o ja-
kieś zapadłej, pustyn-
nej dolinie między gó-
rami w Kazachstanie.
Mówił z zapałem, obra-
zowo: widzieli tę dolinę
i ludzi, którzy przez
umiejętne nawadnianie
przekształcał ją w kwit-
nącą, urodzajną szmat
ziemi — to byli ra-
dzieccy ludzie, to była
ich praca.

„Janek zaczął od gór
w Kazachstanie, od do-
liny, od walki z przyro-
dą, wyjaśnił nam, na
czym Związek Radziec-
ki opiera swoją militarną
potęgę” — wspomina
uczestnik niedzielne-
go zebrania na Woli, —
a potem mówił nam,
jak u nas na Podkar-
paci dewastowano lasy.
Zabolała nas sprawa
tych lasów i fakt, że nie

będą już zatrzymywać wiosną wilgotnego, ży-
ciodajnego śniegu. Słuchaliśmy z myślą, że to
przecież my w przyszłości potrafimy wyrwać
zło z korzeniami — usunąć krzywdę i zmie-
nić nędzny, chłopski zagon w kwitnące łąny wol-
nej i szczęśliwej Polski”.

Ile było siły w Janku, jaka moc przekony-
wania, słuszność argumentacji, jaka umiejęt-
ność w wiązaniu i ukazywaniu spraw i prob-
lemów, że poprzez „visy” i „kolejówki”, ma-
rzenia o broni i o walce — chłopcy potrafili
czuć tak, że „bolała ich sprawa lasu na Pod-
karpaciu, a cieszyła wyrwana z pustyni ka-
zachstańskiej dolina”..

Zaczął od akcji, od tego jakim był Janek
w starciu z wrogiem, przeszedł do jego wykła-
dów na kołach ZWM-owskich..

„Kazik” — żołnierz i dowódca, „Kazik” —
nauczyciel i wychowawca — młodzieńki, szczu-
ply Janek Krasicki,



Jakie było jego życie, jak rósł i krystalizował się jego światopogląd...

Urodził się w roku 1919 w Limanowej. Dzieciństwo i pierwsze lata młodości spędził na Wileńszczyźnie w Święcianach. Dlatego może wcześniej dojrzał i ukształtował się jego światopogląd. Jeździł często z ojcem po okolicznych wsiach, poznawał ludzi, przyglądał się ich życiu... Smutne były białoruskie wsie i ludzie błędni, przybici podwójnym uciskiem: społecznym i narodowym.

Dla Janka te pierwsze zetknięcia się z białoruską i litewską biedotą — to była głęboko odczuta, pierwsza szkoła życia, pierwsza lekcja internacjonalizmu. Głodny i bity chłop białoruski, który za każdy najbliższy odruch gniewu czy buntu płacił życiem albo więzieniem, ogień pożaru, który wsie całe zamieniał w pogorzeliska, a ludziom odbierał dom i dobytek, a dla sanacji był tylko „pacyfikacja” — to były pierwsze lekcje Janka. Wtedy to właśnie drobnym szkolnym pismem zanotował na kartce wyrwanej z zeszytu: „Rozpadły się wszystkie złudzenia, otworzyła się otchłań buntu i protestu przeciw temu, co jest — w imię tego, co być winno. Więc teraz trzeba pracować by móc tworzyć, jak być winno”.

To nie tylko słowa, które zachowały się na skrawku papieru. Szły za nim konkretne czyny, stała walka...

Od razu po maturze zostaje JANEK aresztowany. Krótka opinia Kuratorium i Starostwa podąża za nim: komunista... Zwalniają go, bo młody, bo brak dowodów...

Jesienią 1937 roku JANEK jedzie do Warszawy i rozpoczyna studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu Warszawskiego.

Przez dwa następne lata pochłania go bez reszty nauka i praca partyjna.

Przygotowuje się do egzaminów, a prócz tego studiuje gruntownie dzieła Marksa, Engelsa, Lenina i Stalina. Plany na przyszłość ma duże — projektuje napisanie pracy o Lassalu i źródłach jego walk z Marksem.

Studia, praca nad sobą ugruntowują, umacniają jego światopogląd. Chłopiec, którego przed laty bolała krzywda białoruskiej wsi, wyzysk i nędza chłopca — który wtedy mocniej czuł ją sercem niż ogarniał umysłem — wyrasta teraz na rewolucjonistę dojrzałego, uzbrojonego w oręż marksistowskiej gruntownej wiedzy.

JANEK staje się jednym z najaktywniejszych działaczy Komunistycznego Związku Młodzieży Polskiej na Uniwersytecie.

Kiedy pieczętowanie hodowana przez rodzimym faszystom, wzorowana na hitlerowskich übermenschach nagonka antysemicka tworzy ghetto ławkowe w aulach uniwersyteckich — JANEK staje obok kolegów Żydów, którzy nie zajmują miejsc i przez długie godziny wykładów stoją.

W gorączkowych, młodzieńczych dysputach, w walce o jednolity front młodzieży, o wyrwanie spod wpływów prawniczych przywódców

ZNMS-owców i WICI-arzy — osiąga JANEK duże sukcesy. Oprócz szerokiej wiedzy marksistowskiej, oprócz serdecznego stosunku do kolegów, jest w nim coś, co nieodparcie działa i zjednuje ludzi: czują w nim prawdziwego rewolucjonistę — mocnego, czystego.

Zwracają się do niego o pomoc i radę, JANEK ma wtedy 20 lat, jest rok 1939.

Wybuch wojny zastaje go na ziemiach wschodnich. Po wyzwoleniu Zachodniej Ukrainy przez Armię Radziecką jedzie JANEK do Lwowa — tu na radzieckim uniwersytecie kontynuuje przerwane studia. I tutaj, w najpiękniejszej młodzieńczej szkole życia i pracy partyjnej — w Komsomole — wyrasta na działacza. Zostaje sekretarzem komitetu WLKZM we Lwowie. W roku 1941, gdy faszyci napadają na Kraj Rad, JANEK wraz z innymi wyjeżdża w głąb Związku Radzieckiego. Marzy o walce, o powrocie do kraju — partyzantka, akcje dywersyjne...

Marzenie przybiera konkretne kształty walki. W spokojną majową noc z 21 na 22 maja 1942 roku, zrzucony spadochronem, JANEK KRAŚSKI ląduje w kraju.

Na skrzydłach tęsknoty i miłości wraca do walki, do Warszawy. Staje w szeregach bojowników Polskiej Partii Robotniczej.

Akcje bojowe i plany, praca z młodzieżą, walka o młodzież, o jej czystość i hart, o poziom moralny i bojowy — pochłaniają JANKA bez reszty.

A w Warszawie wzrasta terror wroga, godzina policyjna, masowe egzekucje, i wciąż nowe, znaczone ciężkim ponurym orłem Rzeszy obwieszczenia — zaczynające się różnie, a kończące niezmiennie jednym — kara śmierci, strzelić się — karzemy śmiercią.

W zielonym warszawskim parku — JANEK miał zebranie z młodzieżą. Mówił o reformie rolnej, o tym jaka ona będzie, mówił o wyrwaniu z rąk karteli fabryk — mówił o władzy ludowej.

I długo z troską mówił o młodzieży, o tym, że teraz nie chodzi o szkół, że po wyzwoleniu dużo będzie roboty w organizacji, że trzeba będzie młodym — solidnie się uczyć, dużo pracować. Mówił dośrodo, dojrzałe... Potem, gdy odszedł i wskoczył do nadjeżdżającego tramwaju, patrzyli za nim z podziwem...

Tramwaj jechał właśnie Nowym Światem, gdy dwóch umundurowanych hitlerowców zainteresowało się JANKIEM.

Wysiedli, zabrali go ze sobą. Żandarmi na rogach ulic, żołnierze spacerujący Nowym Światem, trudno myśleć o ucieczce. A tu paczka „Przełomów“ w jednej kieszeni palta, w drugiej „ślódekma“ i magazynek. „Space“ trwa aż do Królewskiej, do placu. Tuż hitlerowiec przypomina sobie, że jeszcze nie rewidował JANKA... — Co tu masz? — ręka trafia na magazynek, oczy hitlerowca okrągają, twarz czerwieni się apoplektycznie. — Task... błyskawicznym ruchem JANEK kopie napastnika w brzuch

i ucieka w stronę Placu Teatralnego. Zza rogu wybiega dwóch żołnierzy — Janek strzela i trafia. Krzycząc z daleka pędzi granatowy policjant...

Młode nogi biegą szybko, głowa pracuje sprawnie: „Panowie, łapanka” — woła Janek, a wykształcona warszawska ulica w lot chwytła sytuację. Wszyscy rzucają się do ucieczki. W tłumie zaciera się Janek. Wskakuje do nadjeżdżającej trójki i z daleka już tylko słyszy krzyk granatowego: „Stój, stójcie”.

Młodzieńczy wybieg i przytomność umysłu wyratowały Janka.

Te właśnie cechy, fantazja i siła młodości połączone z przemyślaną mądrą decyzją i odwagą sprawiły, że nawet najśmielsze akcje bojowe udawały się.

O akcji na KKO, dokonanej w jesienią chłodny ranek 1942 roku cicho i gorąco rozprawiano w całym kraju: „Słyszeliście — podobno było ich dwustu, przebranych w mundury niemieckie, uzbrojonych od stóp do głów”. Rosła legenda powtarzana z ust do ust najciszej, ale z radością i nadzieją...

Niewielu tylko wiedziało, że nie było ich ani dwustu, ani nawet stu, że całą ogromną akcję na KKO przeprowadził Janek Krasicki wraz z 30-ma gwardziastami...

On to głównemu kasjerowi banku odebrał klucze, jemu zielony na twarzy dyrektor banku i struchlały kasjer wydawali paczki banknotów — wynosił je sam, patrzył na chłopców, na dziewczęta — obliczał każdą sekundę, każdy ruch — całkowicie panował nad sytuacją. Byli już wszyscy daleko, gdy do KKO wpadli żandarmi.

✱

Przyszli po niego w nocy — kilku drabów z gestapo zastawiło drzwi. Nie mieli trudności

w rozpoznaniu go. Zbrodniarze z sanacyjnej dwójki nie na darmo wcisnęli się do wydziału informacji Gwardii Ludowej. Obfite krwawe hitlerowskie żniwo, to w dużej mierze ich zasługa. O Janku wiedzieli już wszystko. Nie dał się wziąć żywcem, próbował uciekać — dosięgała go kula żandarma...

„Straciłszy w nim kierownika, dziś czcimy jego pamięć. Czczymy ją czynem zbrojnym. Uczyl nas męstwa — walczyliśmy twardo, uczyl nas wytrwałości — wytrwamy. Zginął on, padnie jeszcze wielu, ale nikt nas nie zatrzyma w połowie drogi, nie nam nie zasłoni celu, do którego dążymy — życie jego jest dla nas drogowskazem.

Idziemy dalej kamienistym szlakiem, którym on nas prowadził do wolnej Polski”.

Okolone żałobną obwódką na szpaltach „Walki Młodych”, napisane z bólem słowa o Janku, to nie był nekrolog — to był apel — to było wezwanie do dalszej walki...

„Szli dalej kamienistym szlakiem”: We wrześniu zginął Janek, we wrześniu grupy bojowe ZWM przeprowadziły następujące akcje bojowe: wysadziły w powietrze tory kolejowe linii obwodowej na Powązkach, zastrzeliły na Starym Mieście agenta gestapo, który wydał w ręce żandarmerii hitlerowskiej szereg poszukiwanych przez gestapo Polaków, opanowali warsztaty samochodowe w centrum Warszawy — rozbili i spalili 9 silników, wysadziły w powietrze pociąg towarowy w Zalesiu. — Za Janka, za pamięć o nim, za ból dojmujący, że zginął — nie wolno, nie można było żyć inaczej, jak tylko walcząc.

(Przedruk z broszury: „W X rocznicę powstania ZWM”).

Mirosław Krajewski — „Pietrek“

Bożena Puchalska

PIETREK to dziecko Warszawy, dziecko warszawskiego proletariatu. Matka Pietrka przyjmowała bieliznę do prania, ojciec był prawie zawsze bez pracy. W domu troje dzieci pragnęło chleba i wiedzy. Głównym zajęciem Pietrka w okresie tak zwanego „szczęśliwego” dzieciństwa było roznoszenie upranej przez matkę bielizny. Ileż to upokorzeń, ile wstydu łączyło się z tym zajęciem. Dzieci zamóżnej klienteli odnosiły się z lekceważeniem do syna praczki i wyśmiewały się z podartych porciąt i łatanej koszuli małego Mirka Krajewskiego; a litościwe panie domu częstowały nieraz w kuchni syna praczki resztkami jedzenia...

W tych warunkach szybko dojrzewała świadomość, rosło pragnienie buntu i walki.

Chciał się uczyć — wziął dodatkowe zajęcia: zimą — korepetycje, a w czasie wakacji — pracę na statku. W ten sposób utrzymywał się w okresie gimnazjalnym. Ciulał sobie Pietrek groz do grosza — marzył o studiach — chciał zostać lekarzem. Jako student pracował aktywnie w KZM i w OMS „Życie”. W tym okresie krążyły o nim przeróżne historie na wydziale lekarskim. Szczególnie jedna z nich przetrwała w pamięci ówczesnych medyków do dnia dzisiejszego. W czasie ćwiczeń w prosektorium na salę wkroczyła bojówka endecka z zamiarem zrobienia masakry Żydów, odrabiających w tym czasie ćwiczenia. Na sali trzech studentów: Pietrek i dwaj koleżki — Żydzi. Pietrek momentalnie zorientował się w sytuacji i zażądał wycofania się bojówki. Słowa nie pomagały —

należało działać. Złapał oburącz blat stołu prosektoryjnego i zaczął nim okładać endeckich koleżków. Zrobiło się zamieszanie — ten krzyknął, inny upadł — w efekcie bojówkarze uciekli w panicznym popłochu. Owa historia przysporzyła Pietrkowi sławy niebywałego siłacza i opinię „krwawego komunisty”.

W roku 1942, kiedy tworzyła się PPR, a Gwardia Ludowa czynem zbrojnym dawała znać o swym istnieniu, porzucił Pietrek anatomię i patologię i wziął do ręki pistolet. Został członkiem bojowej spec-grupy warszawskiej. Ten okres wielkich sukcesów bojowych, to jednocześnie okres ciężkich przeżyć osobistych. Gestapo wpada na ślad Pietrka. Trzeba likwidować dom z takim trudem stworzony, zmieścić nazwisko i rozstać się z ukochaną żoną Janką — młodą lekarką — towarzyszką życia i idei, trzeba rozstać się z małą córeczką Grażyną. Z ciężkim sercem żegna się Pietrek z Janką i Grażyną. Wysyła je na wieś i zostaje w Warszawie, sam bez żony, bez córeczki i bez dachu nad głową. Dopiero w kilka miesięcy później, po okresie tułaczki znalazł sobie Pietrek „lokal” na ulicy Pańskiej. Przedziwne to było mieszkanie. Trzeba było sprytu i fantazji Pietrka, ażeby stworzyć tego rodzaju konspiracyjne pomieszczenie. Znajdowało się ono na poddaszu, w mansardzie. Na drzwiach obitych blachą wisiała przeważnie wielka kłódka, mimo iż mieszkańcy znajdowali się wewnątrz. Bo trzeba wiedzieć, że wtajemniczeni wchodzili na „stryszek” — tak nazywaliśmy Pietrkowy „lokal” — przez tajne przejście znajdujące się w śpiżarni. Prawie wszystkie deski w podłodze były ruchome, a pod każdą z nich znajdowały się różne zdobycze: mundury gestapowców, broń, granaty, prasa nielegalna, materiały wybuchowe. Wystarczyło wyciągnąć gwóźdź z jakiejś deseczki w ścianie, a przed oczyma ukazywała się skrytka, w której od biedy mógłby się nawet człowiek zmieścić. Tak więc w spokojnym rzekomo i mało uczęszczanym mieszkaniu buchaltera „Bolesława Malarczuka” — takie dane widniały w nowych dokumentach Pietrka — tętniło życie konspiracyjne, rodziły się plany i pomysły. Tam opracowywało się szczegóły akcji bojowych, tam czytało się „Głos Warszawy” i „Trybunę Wolności”, tam „watkowało się” materializm dialektyczny i wreszcie tam słuchało się wierszy Broniewskiego i Majakowskiego, które tak pięknie i z takim wielkim uczuciem recytował Pietrek.

Przyszedł kiedyś Pietrek na „stryszek”, do słownie obładowany bronią. Ku naszemu zdziwieniu i nie dającemu się opisać zachwytowi, zaczął wyciągać pistolety jeden po drugim to zza paski, to z kieszeni, to znów spod podszewki marynarki. Jeden z tych pistoletów to dobrze znana piętnastostrzałowa „efenka” — obiekt zazdrości wszystkich warszawskich ZWM-owców. Z zachwytem oglądaliśmy te pistolety, w wielkim skupieniu rozbieraliśmy je i sprawdzaliśmy, czy wszystko jest w porządku. Po prostu wierzyć się nie chciało, że tak

bardzo wzbogacił się nasz konspiracyjny arsenał. A Pietrek tylko śmiał się pod wąsem i tajemniczo milczał. Dopiero wiele miesięcy później zdradził nam Pietrek tajemnicę, której tak bardzo byliśmy ciekawi.

Zyrardowski szpital został w owym czasie przekazany okupacyjnym władzom wojskowym. Przywożono tam rannych z frontu. W komórze na strychu szpitala znajdował się magazyn broni. Pietrek postanowił dostać się do magazynu i zaopatrzyć w pistolety. Całymi dniami siedział nad planami szpitala i rozmyślał nad sposobem wtargnięcia do wewnątrz. I tym razem Pietrkowa fantazja nie zawiodła, nie zawiodła też jego siła woli, przytomność umysłu i niezwykła wprost odwaga.

Na ulicach Żyrardowa było ciemno i glucho. Jedynie z oddali słychać było kroki patrolu żandarmerii. Gdy zaległa zupełna cisza, była już głęboka noc. Zwinny jak kot, zaczął się Pietrek wspinać po rynnie na drugie piętro szpitala. Należało to zrobić jak najciszej, aby nie zwrócić niczyjej uwagi. Ręce już były pokrwawione, już prawie sił nie starczyło, a jeszcze brakowało kilku metrów do upatrzonego okienka ubicacji, przez które miał się przedostać do wnętrza szpitala. Pech chciał, że jeden z pacjentów odbywał w tym „przybytku ulgi” dłuższe posiedzenie, tak że biedny Pietrek, gońcący resztkami sił, wisiał przez dobre dziesięć minut na rynnie, zanim dostał się do wewnątrz. W środku zaczęły się dalsze przygody. Trzeba było wejść na klatkę schodową i przejść jeszcze dwa piętra na strych. Tymczasem na schodach usadowił się jakiś sanitariusz, który dopiero po dłuższej chwili poszedł do swojej dyżurki. Po tylu różnych przejściach, po tylu godzinach rozmyślań i planów, i w końcu po fantastycznym wprost wtargnięciu do szpitala okazało się, że drzwi od komórki zamknięte są na wielką żelazną kłódkę, której niesposób było oderwać. Po dokładnym oglądzinach znalazło się jednak nad drzwiami okienko zabite dyktą. Stojąc na klamce, wybił Pietrek dyktę i nie wiadomo było czy głośniej waliło jego serce, czy też głośniejsze były uderzenia żelaznego łomu. Cudem jakimś nikt w szpitalu nie zareagował na te przedziwne hałasy. Nareszcie znalazł się Pietrek w środku. Komórka zawalona była bronią. Trzeba było chwycić to, co było pod ręką. Każda chwila była drogą, a zdobycz niezwykle cenna. Obładowany pistoletami ruszył w drogę powrotną. Zjeżdżając w dół po rynnie, podarł swoje jedyne spodnie i w stanie nader oplakany, ale za to niezwykle szczęśliwy zjawił się w konspiracyjnym lokalu u żyrdowskich towarzyszy.

Te Pietrkowe pistolety były wspaniałą zdobyczą dla walczącej Warszawy. Od tego czasu nie rozstawał się Pietrek ze swoją „efenką”. Niejeden faszysta zginął od kuli tego pistoletu.

W 1943 r. został Pietrek komendantem oddziałów zbrojnych Związku Waiki Młodych. ZWM-owcy wiedzieli o jego wielu bohaterskich akcjach bojowych i czuli się dumni, że właśnie

akiego człowieka postawiła Polska Partia Robotnicza na czele młodzieżowych oddziałów bojowych. Był on odważnym i opanowanym dowódcą, troskliwym opiekunem i ukochanym przyjacielem ZWM-owców. Utało się twierdzenie, że gdzie jest Pietrek — tam nie ma strachu, że ta akcja, którą zaplanuje i rozpracuje Pietrek — musi się udać. Mieliśmy bezgraniczne zaufanie do Pietrka — umiał on w nas wpoić ten swój zapał i entuzjazm, odwagę w walce i oddanie Sprawie. I dlatego kochaliśmy go tak, jak tylko można kochać drogiego i bliskiego dowódcę i towarzysza walki. Był on surowy i wymagający, jeżeli szło o sprawy organizacyjne, a przy tym serdeczny, przyjacielski i troskliwy w bezpośrednim współżyciu. Miał niezwykle szerokie i dobre serce, umiał dbać i troszczyć się o swych podwładnych. Spod Pietrkowej opieki, z jego szkoły bojowej wyszli później samodzielni dowódcy ZWM-u — tacy jak Konrad Kobylński, Karol Grabski, Marcin Skowroński, Rysiek Lenkiewicz, Antek Szulc i wielu, wielu innych.

Latem 1943 roku dowództwo Armii Ludowej skierowało Pietrka na Lubelszczyznę do partyzantki. Niedługo potem przyszło wyzwolenie. Pietrek otrzymał poważne stanowisko w PKWN. W październiku 1944 roku kierownictwo naszej partii powierzyło Pietrkowi wielkie bojowe zadanie. ZWM-owski oddział partyzancki składający się z byłych „Czwartaków“, znalazł się pod dowództwem Pietrka po drugiej stronie frontu — na terenie województwa warszawskiego. Pod ostrzałem artylerii przeciwniczej przedarł się radziecki samolot przez linię frontu i zrzucał 18 skoczków spadochronowych, obciążonych bronią maszynową i ręczną, wspaniale wyekwipowanych, w prawdziwych polskich mundurach.

Trudno wprost opisać tę niezwykłą radość, jaką ogarnęła nas — „starych“ ZWM-owców — wychowanków Pietrka, gdyśmy się dowiedzieli, że jest on w terenie, ma broń i walczy. Ranni i mocno jeszcze pogruchotani z okresu walk powstańczych — ścigaliśmy do Pietrka, aby z nim razem — jak dawniej — wysadzać mosty i tory, niszczyć wojenny transport wroga.

Pietrkowi powierzono niezwykle ciężkie i odpowiedzialne zadanie. Przez tereny województwa warszawskiego przechodziły wielokrotnie bandy, niszcząc wsie, okradając mieszkańców. Na początku chłopcy nie mieli do nas zaufania, nie wierzyli, że celem naszym jest walka z okupantem, a nie mord i rabunek. Ten nieufny sto-

sunek chłopów, utrudniał nam często robotę. Zaczęły się akcje bojowe a wraz z tym wzrosło się zainteresowanie gestapo tym, co się w terenie działo. Żandarmi zaczęły mocno przetrząsać okolicę, na szosach stały samochody z aparatami podsłuchowymi. Łączność z Lublinem utrzymywało się jedynie w nocy. Tylko nocami można się było przetrzącać z miejsca na miejsce. Aby zmylić ślady, musieliśmy często zmieniać kwaterę i w pełnym rynsztunku robiliśmy co noc 20—30 kilometrów. Ale duch oddziału nie osłabł. Umiał Pietrek też pokierować życiem oddziału, że mimo trudności, odnosił sukcesy, biliśmy wroga — czuliśmy się dumni i szczęśliwi.

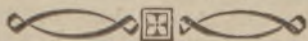
Gdy siadaliśmy wszyscy na kwaterze i czytaliśmy nasze automaty, siadał Pietrek wśród nas i opowiadał o nowym życiu, które się tworzy za Wisłą. Nieraz snuliśmy plany na przyszłość — co się będzie robiło, gdy się wojna skończy. Ten i ów marzył o szkole oficerskiej, inny o politechnice, a Pietrek wygadał się, że wróci do swojej anatomii i że pragnie gorąco zostać lekarzem.

Pamiętam, że był to wieczór. Na dworze szalała wichura. Siedział wtedy Pietrek na stołku, jak to najlepiej lubił, przy małym żelaznym piecyku, z którego promieniowało przyjemne ciepło. Czerwone płomienie rzucały blask na jego twarz, pełną czaru. Gdy nam wyjawiał to swoje wielkie marzenie, jego dobre zielone oczy stały się na moment smutne. Pomyślał pewnie wtedy o żonie swojej — Jance — dzielnej partyzanckiej lekarce, zamordowanej przez gestapo. Po chwili Pietrek wstał, machnął ręką, jak gdyby zły był na siebie za tę chwilę wspomnień i marzeń.

W kilka dni potem zginął Pietrek w akcji bojowej. Staliśmy nad Pietrkową żołnierską trumną — my wszyscy oficerowie i podoficerowie oddziału partyzanckiego — ZWM-owcy, „Czwartacy“*) zahartowani w walce, nie byle jaką szkołą życia i plakaliśmy rzewnymi łzami — jak dzieci. Zabili nam faszyci Pietrka — drogiego, ukochanego dowódcę, bliskiego przyjaciela.

W następną noc wyleciał w powietrze pociąg wroga z amunicją. To za Pietrka...

*) Batalion GL zorganizowany przez warszawską organizację ZWM. Stanowił grupę szturmową warszawskiego okręgu GL a następnie AL „Czwartacy“ bohatersko walczył podczas powstania warszawskiego, m. in. na Starym Mieście.



Przed II Zjazdem

„Nuda to kontrrewolucja” – Lenin

Irena Krzywicka
Literat

STYCZNIOWY Zjazd ZMP z pewnością zajmie się surową i sprawiedliwą oceną pracy, wyników i błędów, wzrostów i upadków organizacji zetempowskich. Choć zarzutów padnie zapewne немало, jedno trzeba stwierdzić niezbicie: rola ZMP jest coraz bardziej doniosła i coraz bardziej istotna. W coraz większym stopniu ZMP skupia najlepszą część naszej młodzieży i wpływa dodatnio na tę gorszą. W coraz większym stopniu fakt przynależności do ZMP zobowiązuje młodzież do utrzymywania pewnego poziomu w pracy i zachowaniu, w świadomości ideologicznej i poczuwaniu się do obowiązków społecznych. Rola ZMP mogłaby być olbrzymia, decydująca w kształtowaniu się nowych ludzi — i w wielu kołach, które dobrze pracują, tak się właśnie dzieje — gdyby nie pewne wady i nieudolności, które hamują zdrowy obieg krwi w tej młodej przecieź i przeznaczona do bujnego rozkwitania organizacji. Nieudolności, które przyprawiają ją o przedwczesną sklerozę i powodują, że w aż nazbyt wielu miejscach jej zdrowa tkanka obumiera.

Głównym hamulcem w pracy ZMP jest nuda.

Nie jest to nowe stwierdzenie, mówiło się już i pisało na ten temat. I że trzeba tchnąć nowe życie w zebrania, uatrakcyjnić je, ożywić dyskusję, poprawić, ocieplić panującą na nich atmosferę. A tymczasem wciąż jest krucho. Zebrania zetempowskie, zamiast być przyjemnością, poważnym lub wesołym przeżyciem, stają się aż nazbyt często straconym czasem, zmęczeniem, właśnie ową nudą, którą Lenin genialnie określił, jako kontrrewolucję. Toteż, jeżeli zgodzimy się na to określenie, będziemy musieli zakwalifikować tego typu zebrania jako politycznie szkodliwe, a więc jako zjawiska doprawdy groźne.

Skąd ten oręż wroga — nuda — dociera na zebrania zetempowskie?

Zacznę od rzeczy pozornie błażej, a jednak, moim zdaniem, niezmiernie istotnej. Od kwestii czasu. W większości kół, a zwłaszcza na plenach, przyjął się zły styl zebrań: rozwlekłe referaty, nieopanowane gadulstwo tzw. „hydrologia” czyli „wodolejstwo”, beztreściwe, często bezmyślne przemówienia. Im większy „wodohłap”, tym bardziej, dorwawszy się do głosu, zabiera czas słuchaczom i niszczy dynamikę zebrania. Nie ma bogatej, bujnej treści zebrania, która oparłaby się tego rodzaju słownemu szkodliwemu. Nadużycie słowa, oto pierwsze wrota dla nudy,

Jaka na to rada? Prosta. Tak prosta, że aż wstyd o tym mówić. Ograniczenie czasu trwania referatu. Ograniczenie czasu trwania przemówień. Znajoma mi młodzież odpowiada na to: „Ograniczamy. Do dziesięciu minut. Ale i tak mówią dłużej”. Do dziesięciu minut? Ależ to straszliwie długo! Czy wiecie, że np. ja pisuję stale artykuły do zagranicznego wydziału naszego radia. Na łamach takiego artykułu muszę opisać przekonywująco jakiś wycinek naszej rzeczywistości, pokazać, jakiego postępu dokonaliśmy w tej dziedzinie, przekonać zagranicznego słuchacza o trafności przykładu i celowości dokonanej pracy. Wiecie, jak długo trwa czytanie takiego artykułu? Pięć minut. Pięć minut, to bardzo dużo i niezmiernie wiele można w tym czasie powiedzieć. Wiecie, jak długo pozwalał Makarenko przemawiać swoim wychowankom? Minutę! Twierdził, z całkowitą racją, że w minutę można wszystko co najważniejsze powiedzieć, a jednocześnie nauczyć się zageszczać myśli, unikać zbytecznego balastu niepotrzebnych słów. A gdybyśmy — nie mając jeszcze wyszkolenia myślowego, które pozwoli nam wypowiedzieć się należycie w ciągu minuty — ograniczyli czas przemówień do trzech minut? Czy wyobrażacie sobie, z jakim rozpedem potoczyłoby się zebranie, jak wiele dałoby się w ciągu krótkiego czasu powiedzieć i to bez zmęczenia słuchaczy? Tylko że przewodniczący powinien być nieugięty i przerywać gadule bodaj w połowie zdania. Niektórzy twierdzą, że wtedy ludzie nie wypowiedzą się należycie. Przeciwnie, nauczą się myśleć ściślej i mówić zwięźle. Wielkie by to miało znaczenie wychowawcze dla młodych i właśnie młodzi nade wszystko powinni wprowadzić ten nowy styl: surowy rygor w wyrażaniu swych myśli. Nie mówię zresztą na wiatr. Widziałam tak prowadzone zebrania, ze ścisłym ograniczeniem czasu przemówień. Były dynamiczne i zajmujące.

Drugie wrota dla nudy, to referatomania. Znamy wszyscy ten dreszcz, jaki nam przebiega po plecach, gdy mówca staje za stołem i wyjmuje z zanadru plik papierów, które zamierza odczytać. Czytanie referatów na zebraniach młodzieżowych wydaje mi się nonsensem. Młodzież powinna uczyć się przemawiać z pamięci, z pamięci referować jakiegoś zagadnienie. I znów — byleby krótko. I własnymi słowami. I z właściwym akcentowaniem: z zapalem, z oburzeniem, z ironią,

WALKA MŁODYCH

z przekonaniem. Niechaj przemówienia w kole staną się do pewnego stopnia szkołą krasomówstwa. Strona formalna wielu naszych przemówień jest zazwyczaj niska. A czemuby młodzież nie miała się ztarać wygłosić przemówienie nie tylko słuszne, ale i zajmujące, ale i piękne. Uczmy się przemawiać, to wcale niełatwe. A jeżeli już koniecznie w ważnej sprawie trzeba coś przeczytać, albo jeżeli nie mamy w kole dobrego mówcy — to czy nie lepiej wziąć coś gotowego, dobrze i celnie napisanego z prasy, niż mozolnie, a nieudolnie kompilować i tak zazwyczaj z drukowanego materiału. Chyba że mamy w kole kogoś specjalnie uzdolnionego literacko, który potrafi naprawdę referat świeżo i ciekawie napisać. Ale to się zdarza rzadko. Lepiej więc czytać cudzą, a jeżeli przemawiać, to już własnymi słowami i nie bakać, ani stękać, ale mówić wyraźnie, dobitnie, z ogniem. To nie będzie nudne. (Trzeba tu wyłączyć referaty sprawozdawcze. Te muszą być czasem długie. Na to nie ma rady.)

Żeby już skończyć z czynnikiem czasu — jako nasicielem albo tępicielem nudy, zależnie od trwania — dorzućmy jeszcze parę tryzumów: ludzie zmęczeni, głodni, śpieszący się, słuchają nieuważnie i nie biorą czynnego udziału w obradach. Jeszcze to jeden argument za ograniczeniem czasu zebrań. Polecać też należy prowadzenie zebrania ludziom, którzy naprawdę potrafią wykonać uchwałę o ograniczeniu czasu przemówień i będą bezlitośnie tępić jałowe gadulstwo.

Wiem że niejeden młody towarzysz mi na to powie: „U nas taka słaba jest zazwyczaj dyskusja, że gdybyśmy tak bardzo ograniczyli czas przemówień, to zebranie skończyłoby się po kwadransie“

Oczywiście, w tak słabo pracującym kole ograniczenie czasu orzeczowań nie jest wskazane. Tylko tam, gdzie grozi zalew gadulstwa. Ale raczej należałoby się zastanowić, czemu ludzie nie garną się do głosu.

Różne są tego przyczyny: nieśmiałość, brak wyrobienia, zmęczenie. Są ludzie, którzy — i słusznie — nie chcą mówić rzeczy zbyt oczywistych, wielokrotnie powtarzanych. Są inni, przeciwnie, którzy lękają się wystąpić z własnym zdaniem, lękają się „wychylić“, nie rozumiejąc, że błędne ale samodzielne wystąpienie może mieć swoją wartość, choćby ze względu na dyskusję, jaką wywoła, na pobudzenie innych do myślenia. Zupełnie jest niepojęte czego ci ludzie się boją, bo nie słyszałam jeszcze o represjach, którym podległ ktoś, kto wystąpił z mylną opinią, poza surową czasem krytyką, ale od krytyki nikt jeszcze nie umarł, a wiemy jak ważnym czynnikiem myślenia jest krytyka. Trzeba zwalczać tchórzostwo w wyrażaniu własnych myśli i tępić oportunizm, który każe się zgadzać bezkrytycznie na wszystko. Jeżeli nie stworzymy w kole atmosfery intensywnego myślenia i swobodnej wymiany sądów, możemy się pożegnać z interesującą dyskusją.

To jedno. Drugie zaś — to staranne obmyślenie tematu dyskusji i umiejętne nią pokierowanie przez przewodniczącego, aby nie zbaczano na manowce, nie kręciła się dokoła spraw nieistotnych. Tematy dyskusji zaś muszą być bliskie życia, interesujące, pobudzające do myślenia. Powiedzmy otwarcie, że nieznaczna ilość młodzieży umie u nas dyskutować na temat książki, czy filmu. Takie dyskusje są bardzo pożądane, ale rzadko się udają. Natomiast nie słyszałam jeszcze nieudanej dyskusji na tematy, związane z pewnymi normami postępowania w życiu i z pewnymi zaletami i wadami charakteru. Pomagałam w paru kołach prowadzić dyskusje na następujące tematy. Co to jest odwaga i jakie istnieją jej rodzaje (koniecznie na przykładach wziętych z życia)? I co to jest tchórzostwo? Znowo przykłady. Co to jest szczerość, prawdomówność, czy zawsze należy mówić prawdę, co to jest obluda? Jak rozumiemy przyjaźń, czy możliwa jest czysta przyjaźń między dziewczyną a chłopcem? Jak pogodzić naukę, pracę społeczną i pracę w domu? Jeszcze raz przypominać, że dyskusja tylko wtedy jest soczysta, jeżeli obraca się wokół konkretnych przykładów. Zagadnienie chuligaństwa, czy można przemienić chuligana metodami wychowawczymi, jeżeli tak, jakie należy stosować? Stosunki nasze z rodzicami i w ogóle ze starszymi? Jakie napotykam trudności w pracy zetem-powskiej i jakimi sposobami staram się je pokonać? Po co żyjemy i co jest najważniejsze w życiu: praca, poświęcenie, miłość, szczęście? (Tylko nie popadać tu w obludę i nie głosić, że w życiu jest ważna tylko praca.) Jak sobie wyobrażam szczęście, różne koncepcje szczęścia, od czysto bestialskiego zaspokojenia wszystkich pragnień fizycznych, do szczęścia wyższego rzędu. Oto część poruszanych przez znajome mi koła tematów, które, jak wiem z doświadczenia, tak dalece rozpałały zebranych, że nie chcieli się rozjeść.

Bo nikt się nie rodzi zetempowcem i fakt przystąpienia do organizacji nie tworzy nowego człowieka. Na to żeby chłopiec czy dziewczyna zasłużyli na nazwę prawdziwego zetempowca, muszą dobrze zrozumieć, do czego ich ta zaszczytna nazwa zobowiązuje, muszą nie tylko znać statut, ale przemyśleć własny i cudzy charakter oraz normy swego i cudzego postępowania, więcej — muszą przemyśleć różne zagadnienia, związane z takimi czy innymi cechami charakteru wziętymi ogólnie, takim czy innym zachowaniem w różnych życiowych sytuacjach. Tego rodzaju dyskusja jest potrzebna, czasem nawet paląca i zawsze ciekawa. Jeżeli jest jeszcze dobrze poprowadzona, ręczę, że nikt nie będzie milczał, że wszyscy będą się rwali do głosu.

Nie znaczy to, oczywiście, aby dyskusje zetempowskie należało sprowadzać tylko do tematyki charakterologicznej, etycznej, obyczajowej. Dyskusja polityczna niezmierznie rozwija, ale jest znacznie trudniejsza, jeżeli nie ma ope-

rować oklepanymi frazesami, tylko toczyć się naprawdę na wysokim poziomie. I tu wydaje się celowe stosowanie systemu pytań i odpowiedzi tj. pisanie na małych kartkach drukowanymi literami pytań, wrzucania ich do czapki, czy skrzynki, aby nikt nie wiedział kto zadał jakie pytanie. Wtedy ujawniają się różne wahania i wątpliwości, dręczące młodzież. Rozsądny przewodniczący, przeczytawszy kartkę z pytaniem wezwie zebranych do odpowiadania. Ręczę, że niejedna ręka się podniesie. Bo to już będzie zajmujące, to już będzie walka. Zbijanie fałszywych poglądów, rozwiewanie wątpliwości, cała polemiczna strona odpowiedzi na pytanie, które może wypłynąć nawet z wrogiego podszeptu, ubarwi życiem słowa, które w innych warunkach chłopak czy dziewczyna młóciłoby mechanicznie. Mówię to znów z doświadczenia i zaznaczam, że jednym z najczęściej padających pytań jest: „Czy

kapitalizm musi upaść i dlaczego?” Co za wdzięczne pole do odpowiedzi dla świadomych zetempowców! W laje mi się, że nie należy „bać się” żadnych pytań, że jeżeli zebrani nie umieją na niektóre odpowiedzieć, to może przewodniczący koła potrafi. Jeżeli pytanie jest szczególnie trudne, czy drażliwe, nie ma żadnego wstydu w odpowiedzi przewodniczącego: „Muszę się nad tym zastanowić, nie chcę odpowiadać byle czego. Przedyskutujemy to na następnym zebraniu”. I w międzyczasie przewodniczący na pewno poradzi się z jakimś starszym, mądrym towarzyszem.

Oto parę konkretnych sposobów, aby uatrakcyjnić zetempowskie zebrania. a jednocześnie poprowadzić ważną robotę wychowawczą. Naturalnie, to jeszcze nie wszystko. Powinno istnieć różne typy zebrań, aby nie grzęznąć w rutynie i monotonii. Ale ta sprawa jużby rozsądziła ramy artykułu.

Proszę o głos...

Jerzy Jedliński
Członek ZMP

ZEBRANIE, na którym byłem obecny, niczym nie różniło się od innych. Jak zwykle „zagajenie” (czy nie można znaleźć bardziej właściwego określenia?), referat (uff!), dyskusja (tu zawsze zaczynała się tragedia), później zaś stała kolej: sprawy organizacyjne, wolne wnioski, wreszcie naturalne zupełnie zakończenie, z uporem jednak stale umieszczane w porządku dziennym zebrania, tak jak gdyby były zebrania, które się nigdy nie kończą.

A więc zebranie... Po przebyciu „ceremonii wstępnych” — zapowiedziany referat. Z radosną miną, do stolika podchodzi nasz prelegent, dzierżąc w ręku plik zapisanych kartek. W tej chwili myślę, ile on tam tego ma, rozglądam się wokół i dostrzegam, że siedzący obok mnie mój towarzysz również próbuje ocenić objętość referatu.

„Koleżanki i Koledzy! — rozpoczyna i zaraz na wstępie zaznacza:

— „postaram się mówić krótko”. Wszyscy już wiemy, co to znaczy, skąd ten pierwszy wykrzyknik przy referacie. Początkowo wszyscy uważają. Omawiana jest sytuacja międzynarodowa, później wydarzenia z życia naszego kraju. Prelegent zagadnienie „naświetla” ze wszystkich stron. Zaczynamy się niecierpliwić. Nikt jednak tego nie okazuje, bo „nie wypada”. Uwaga powoli rozprasa się na inne sprawy. Widzę, że są już tacy, którzy zapadli w stan otępienia i bezmyślności. Skupiam całą wolę by wytrwać i jak się okazuje nie na darmo, bo dowiaduję się w dalszym ciągu o warunkach, jakie panowały w Polsce przedwrześnio-

wej, później o rozwoju spółdzielczości produkcyjnej na wsi — wraz z apelem, byśmy wstępowali do spółdzielni — jeszcze trochę o współzawodnictwie pracy, o trójkach murarskich, o hodowli, kontraktacji, samokształceniu, później już sam nie wiem o czym, bo zrobił mi się w głowie straszny zamęt. Dobiegają mnie już tylko poszczególne wyrazy: „a więc musimy”, „to nasze zadanie dnia”, „jeszcze krótko o...”, wreszcie „hurra zakończenie o...” i przewodniczący spokojnym głosem oznajmia: o t w i e r a m d y s k u s j ę.

Długie milczenie. Znużeni półtoragodzinnym referatem słuchacze nie wiedzą o czym mówić. Nikt się nie zgłasza. Zaczynają się zebraniowe tortury i naciągania w rodzaju: „a kolega nic nie ma do powiedzenia?”, proszę głosić!”. Później kolega przewodniczący „wychodzi z nerwu”, bo jakie to koło, jaka praca, jacy aktywiści, to zły objaw itp. Pewien skutek to odnosi, bo jeden z kolegów (niedawno skończył 14 lat) mówi, jak to źle było przed wojną. Drugi znalazłszy jakąś gazetę próbuje coś z niej wyczytać. Nikt nie wie, o co mu chodzi. Jedna z koleżanek powtarza to, co usłyszała w referacie. Ostatni zaś z dyskutantów znów stwierdza, że coś musimy, że trzeba — no i dyskusję zakończono.

Dalej leci już szybko. Jak zwykle mówi się o prenumeracie „Sztandaru Młodych” (źle z tą prenumeratą). Jeszcze kilka pomniejszych spraw i zakończenie. Obserwuję duże ożywienie, oddech ulgi, pierwszy uśmiech — zaczynamy być młodzi. Te trzy godziny — drobiazg — jakoś przeszły, a trzeba przecież... by organizacja

działała. Wszyscy się rozchodzą, słyszę, że ktoś na korytarzu śpiewa „Cichą wodę”. Kilka osób umawia się na wieczór do kina i... ja wreszcie

PROSZĘ O GŁOS!

Takich zebrań nie chcemy!

PRECZ Z NUDĄ!

Chcemy w naszych organizacjach więcej radości, więcej uśmiechu. Mówimy o tym, że życie młodzieży w czasach sanacji było ciężkie, że brak było tej radości i uśmiechu, który powinien cechować młodego człowieka, a co my w naszych sprzyjających warunkach robimy? Zanudzamy zetempowców na zebraniach. Bardzo często nie umiemy zorganizować sobie pracy kulturalno-oświatowej; zupełnie pomijamy rozrywkową. Konsekwencje nie dają na siebie długo czekać. Młodzież szuka sobie rozrywek poza organizacją, no i trafia nieraz w tzw. „ciemne towarzystwo”.

Musimy zmienić nasz styl pracy. Wygląda to znów może na pusty frazes, lecz tak nie jest. Przede wszystkim sprawa zebrań. Tematyka zebrań winna być koniecznie uzgadniana ze wszystkimi członkami koła. Niech wysuwają te zagadnienia, które szczególnie chcieliby poznać. Dalej proponuję, by nie pozwolić na czytanie referatów. Czytać może sobie każdy w domu. Tu chcielibyśmy, by każdy referent mówił (posługując się rzecz jasna notatkami), łatwiej nawiąże przez to kontakt ze słuchaczami i wzbudzi ich zainteresowanie. Projekt żartobliwy, nie pozbawiony jednak myśli — to za słyszany kiedyś wniosek, by prelegent mówiąc stał na jednej nodze. Z chwilą, kiedy zechce „nogę zmienić” musi skończyć. Żart jest żartem, ale konieczność ograniczenia czasu referatów — to paląca sprawa. Wreszcie nie „naciągac” dyskusji. (Pewien poważny człowiek mówił mi kiedyś, że nie wierzy w dyskusję nieprzygotowaną, zalecał, by przed zebraniem każde-

mu powiedzieć, co ma mówić. Cóż więc dziwić się młodzieży). Jeżeli dyskusja należycie się nie rozwija, to znaczy, że nie przygotowaliśmy odpowiednio zebrania i w sobie winy szukajmy. Walczmy z frazeologią. Niech każdy mówi tak, jak umie i to co myśli. Gdzie mamy być szczerzy, gdzie mamy rozpraszać swoje wątpliwości jeśli nie w kole, na zebraniu?

Ostatnią już sprawą, którą chciałbym poruszyć w swoim wystąpieniu, to organizacja życia kulturalno-oświatowego i rozrywkowego. Mamy dwa zespoły artystyczne, taneczny i satyryczny. Uczymy tańców ludowych i niewątpliwie wszyscy się z tego cieszymy. Czy jednak nie pomijamy tańców towarzyskich? Cóżby tak Zarząd ZMP powiedział, gdybyśmy uczyli także walczyka i tanga, oberka i fox-trota? Gdzieś przecież młodzież musi się nauczyć poprawnie tańczyć. Dlaczego szkoła tańca ma być kawiarnia czy restauracja, a nie świetlica zetempowska. Mówimy o kulturze tańca, o tym, by zwalczać bikiniarski sposób tańczenia — mówić to za mało. Trzeba uczyć. I gdyby nasz zespół przyjął i tę formę pracy, liczba uczestników zwiększyłaby się dwukrotnie!

Nie od rzeczy będzie przypomnieć powódzenie, którym cieszy się nasz zespół satyryczny. W pracy zespołu opieramy się na tekstach Szpalskiego, Grodzińskiej, Kerna, Minkiewicza i innych satyryków. Zainteresowanie zespołem jest bardzo duże dlatego, gdyż wszędzie niemy ze sobą bardzo ważną dla nas rzecz: uśmiech. I to zachęca młodzież do pracy w zespole i pozwala nam prowadzić właściwą pracę wychowawczą wśród ogółu naszej młodzieży.

*

I to jest mój głos w dyskusji przed II Zjazdem ZMP. Może przydługi, powodowany jednak głęboką troską o ożywienie życia i pracy w naszej organizacji.

Maków Podhalański, grudzień 1954 r.

Prenumerujcie „Walkę Młodych” w kioskach „Ruchu”

Już od 1 grudnia br. **wszystkie kioski „Ruchu”** przyjmują prenumeratę „Walki Młodych” — **od 1 do 25 każdego miesiąca — na miesiąc następny.**

Zaprenumerowaną „Walkę Młodych” można odbierać tylko w tym kiosku, w którym dokonana została wpłata.

Bliższych informacji udzielają kioski „Ruchu”.

Kioski dworcowe „Ruchu” ze względu na przeciążenie pracą nie będą przyjmowały prenumeraty.

Z udogodnienia tego powinni korzystać nasi aktywiści przede wszystkim w tych ośrodkach, gdzie likwiduje się prenumeratę zakładową.

Wprowadzone udogodnienie nie zmienia w niczym systemu i dotychczasowych terminów wpłat na prenumeratę pocztową i zakładową.

Pora, aby zniknął problem: ZMP a sport

Edward Strzelecki

Redaktor naczelny „Przeglądu Sportowego“

TYTUŁ artykułu na pierwszy rzut oka brzmi tajemniczo, niezrozumiale i przyznajcie — nawet niepokojąco. Zanim udzielię wyjaśnień, wpierw parę słów wprowadzających.

Z prawdziwą przyjemnością korzystam z propozycji redakcji „Walki Młodych“, aby na łamach tego pisma zabrać głos w sprawie pracy Związku Młodzieży Polskiej w dziedzinie kultury fizycznej i sportu. Wyrażna ochota pisania w tej sprawie i dyskutowania z aktywnym ZMP nie wynika niestety z przekonania, że oto nadarzyła się okazja podzielenia się z towarzyszami radnymi wieściami z ważnego odcinka roboty, na którym oiniesiono sukcesy. Przeciwnie, chęć poruszenia problemu — nazwijmy go jak w tytule „ZMP a sport“ — zrodziła się z głębokiej troski dziennikarza i działacza sportowego, zaniepokojonego licznymi poważnymi zaniedbaniami, jakie na tym odcinku ma — moim zdaniem — na swoim sumieniu aparat i aktyw Związku Młodzieży Polskiej. Powiem więcej — wydaje mi się, że poważniejszą nawet sprawą od tych czy innych zaniedbań są różne nieporozumienia, jakie na temat roli i znaczenia kultury fizycznej i sportu pokutują u wielu działaczy ZMP.

Jasne, że jeżeli są zaniedbania w robocie, a konstatujemy je niemal wszyscy, i jeżeli zaniedbania te wynikają z istniejących nieporozumień — trzeba o nich mówić i pisać. Szczególnie przed tak ważnym wydarzeniem w życiu organizacji młodzieżowej jakim powinien się stać i jakim na pewno będzie II Zjazd ZMP. Tak więc artykuł swój traktuję jako głos w dyskusji przedzjazdowej.

*

Samo istnienie problemu „ZMP a sport“ — a taki problem przecież dla wielu działaczy ZMP istnieje — jest, moim zdaniem, najlepszym świadectwem pomijania w codziennej pracy naszej organizacji ważnego rozdziału życia młodzieży. A zatem jest dobrowolną rezygnacją z wielkiego frontu oddziaływania na młodzież, na kształtowanie się jej postawy i poglądów, na proces wychowania, jaki odbywa się przy zetknięciu się młodzieży ze sportem.

Dlaczego wytaczając takie poważne oskarżenie już samo istnienie problemu „ZMP a sport“ podnoszę do rangi dowodu?

Odpowiedzmy pytaniem na pytanie. Czy istnieje problem „szkoła a nauka“? Czy przyznacie,

że nierozzerwalny związek szkoły z nauką jest tak oczywisty, tak dalece sam z siebie wynikający, że postawienie problemu „szkoła a nauka“ razi nas, bądź śmieszy? Nie mówimy też nigdy o problemie „szkoła a nauka“, natomiast często stawiamy wiele szczegółowych zagadnień w ramach naturalnego związku szkoły z nauką, np. zagadnienie poziomu nauczania w szkołach.

Tymczasem zestawienie pojęć „ZMP a sport“ jest ciągle w wielu naszych młodzieżowych organizacjach traktowane jako problem. I zastanawiamy się tu i ówdzie, co zrobić z takim fantem, który nazywa się sport, jak go traktować, jak się do niego ustosunkować. I szukając odpowiedzi tworzymy dziwne, sztuczne i skomplikowane teorie sprowadzające się do tezy, że sport powinien pełnić rolę pułapki, w którą łapiemy młodzież, aby ją potem przekonać dla naszych idei.

W życiu zaś wszystko układa się znacznie prostiej i mniej skomplikowanie, w życiu bowiem nie ma problemu „młodzież a sport“ jako że nie ma młodzieży bez sportu i nie ma sportu bez młodzieży.

Mądra matka natura, urządzając ten świat kazała dzieciom lubić gonitwy i zabawy, a starszej młodzieży gry i różne ćwiczenia fizyczne. Matka natura, troszcząc się o rozwój wszelkiego stworzenia, dobrze wiedziała, że ruch świeże powietrze, czynny wypoczynek są niezbędnie potrzebne organizmowi do życia — szczególnie wtedy, gdy rośnie, gdy się rozwija — że od ćwiczeń fizycznych przybywa człowiekowi siły i zdrowia. Oto przyczyna instynktownego, naturalnego pędu młodzieży do sportu.

Sport pociąga młodzież także dlatego, że zawiera w sobie czynnik rywalizacji i współzawodnictwa — ważny motor wszelkiego działania i postępu. W walce sportowej młodzież znajduje radość i emocję.

Działalność sportowa nie mija naturalnie bez śladów i bez skutków dla wychowania młodzieży. Współzawodnictwo sportowe kształtuje charakter młodego człowieka. W przygotowaniu do walki sportowej, w toku samej walki, a także po walce, a dalej w stosunkach z partnerami i z przeciwnikami, rozwijają się różne cechy charakteru chłopca czy dziewczyny. Od nas zależy czy będą to zalety czy wady, w naszych rękach leży, aby młody człowiek uprawiając sport rozwijał w sobie wytrwałość, siłę woli, odwagę, umiejętność walki i

pracy w kolektywie, patriotyzm, internacjonalizm — a nie ulegał różnego rodzaju demoralizacji, rezygnował z zasad uczciwej gry, stawał się szowinistą.

Jakże można zalecać na uboczu naszych zainteresowań i naszej działalności dziedzinę, która tak korzystnie wpływać może na rozwój człowieka, która wychowuje i kształtuje umysł i ciało człowieka, jego siły, zdrowie, postawę i poglądy? Jakże można pomijać samo życie, jego potrzeby i prawa?

Partia w uchwale Biura Politycznego z września 1949 r. w pełni uznała ważność wychowawczej funkcji sportu oraz podniosła wielką rolę wychowania fizycznego w podnoszeniu kapitału sił i zdrowia naszego społeczeństwa. Partia powierzyła troskę o prawidłowy kierunek działalności sportowej, o jej treść ideową Związkowi Młodzieży Polskiej.

Trzeba, abysmy to zadanie nie tylko w teorii ale i w praktyce wzięli na swe barki, pora, aby ZMP naprawdę stał się motorem działalności sportowej. W teorii mamy tak chwalebne posunięcia jak XIII Plenum ZG ZMP, które podjęło znaną wszystkim uchwałę w sprawie wzmocnienia pracy organizacji młodzieżowej w dziedzinie kultury fizycznej i przysposobienia wojskowego. Niestety, za uchwałą nie poszło działanie, które poruszyłoby szeregi zetempowskie, dlatego teoria czeka nadal na swoją praktykę.



Chciałbym teraz zgłosić kilka uwag szczególnych w sprawie niektórych nieporozumień, jakie w zakresie zrozumienia sensu sportu panują wśród wielu zetempowców i przeszkadzają istotnemu wzmocnieniu pracy organizacji młodzieżowej w dziedzinie kultury fizycznej i sportu.

Przede wszystkim wracam do teoryjki często lansowanej w kołach zetempowskich, choć nie zawsze głośno się o tym mówi, że sport o tyle ma sens dla organizacji młodzieżowej, że ZMP wkraczając w dziedzinę pracy sportowej może tam łowić młodych ludzi, których potem użyje się dla wyższych celów politycznych, jak np. zakładanie spółdzielni produkcyjnych.

Takie traktowanie sportu, nie jako ważnej dziedziny życia młodzieży, ale jako wabika czy przynęty jest fatalnym błędem, który w życiu mści się stokrotnie, który nie tylko nie prowadzi do zamierzonego celu, ale wręcz odsuwa od nas młodzież. Bo oczywiście młodzież nie da się długo bujać i szybko rozszyfruje, że ten czy ów działacz młodzieżowy ma w istocie rzeczy lekceważący i pogardliwy stosunek do sportu, podczas gdy młodzież ten sport lubi i widzi w jego uprawianiu pożytek. A poznawszy prawdę niejedyn młody chłopak czy dziewczyna, nieraz bliski ZMP zaczyna wątpić w słuszność celów naszej organizacji nie tylko w sprawach sportu ale i w ogóle.

Nie ma oczywiście „sportu dla sportu”, jak nie ma „sztuki dla sztuki”, ale w sprawie

sportu słuszne to twierdzenie potrafimy tak uprościć, tak wyprać z głębszej myśli, tak zwulgaryzować, że przestaje być ono prawdziwe. Dla niektórych młodzieżowych „polityków” twierdzenie, że nie ma „sportu dla sportu”, oznacza np., że zawody sportowe bez przemówienia politycznego to nie nasz — socjalistyczny sport. A tymczasem działalność sportowa w swoich wychowawczych i propagandowych efektach i skutkach ma znaczenie polityczne i nie potrzeba jej na siłę zewnętrznyymi przystawkami upolityczniać.

A teraz druga sprawa, drugi istotny, moim zdaniem, teren nieporozumień. Chodzi o podział sportu na masowy i wyczynowy i o wszelkie konsekwencje tego, powiedzmy od razu, fałszywego i sztucznego podziału.

Nie może być podziału na sport masowy i wyczynowy ponieważ nie ma sportu niewyczynowego — co wynika z prostego faktu, że nieodłącznym elementem każdej działalności sportowej jest dążenie do osiągnięcia zwycięstwa sportowego lub wyniku sportowego. W obu wypadkach chodzi więc o wyczyn. I wszystko jedno czy Michaś ze Stasiem ścigają się na plaży w Zakroczymiu, czy też Zatopek z Kucem walczą na stadionie olimpijskim w Melbourne. I tu i tam jest walka sportowa, jest współzawodnictwo sportowe.

Właśnie współzawodnictwo sportowe jest siłą napędową działalności sportowej i bez niego sport przestaje być sportem, a staje się zwykłym ćwiczeniem fizycznym.

Ambicje i możliwości wielu sportowców w kołach sportowych przy zakładach pracy, w LZS-ach i SKS-ach nie sięgają tak wysoko, by zdobyć czołowe miejsce w kraju lub by reprezentować Polskę w spotkaniach międzynarodowych. Wystarczy im zaszczyt reprezentowania fabryki czy gromady. Nie każdy pokusi się, nie każdy jest w stanie pobić rekord Polski czy świata. Wielu wystarczy posiadanie rekordów szkoły. Lecz wszystkie te ambicje i starania — nie tylko te wielkie ale i te małe — powinny być szanowane i pielęgnowane.

I to nie tylko dlatego, że spośród tysięcy rekordzistów kół wyróżnie kilku rekordzistów Polski, że z wielkich mas sportowców rozsianych po całym kraju urosną przyszli reprezentanci kraju. To jasne, że siła czołówki krajowej leży w szerokości jej zaplecza i odwrotnie, że czołowy sportowiec swoimi wynikami zachęca masy do naśladownictwa i wpływa na wzrost liczby uprawiających sport. Szanujmy i pielęgnujmy rozwój współzawodnictwa w ruchu sportowym na wszystkich szczeblach, również — a może przede wszystkim — dlatego, że sport bez współzawodnictwa nie istnieje, że moglibyśmy zgubić jego atrakcyjną i wychowawczą stronę, że groziłoby nam zahamowanie rozwoju masowego sportu.

Szanować i pielęgnować współzawodnictwo sportowe tzn. dbać o organizację imprez sportowych, stworzyć warunki podnoszenia poziomu sportowego dla wszystkich sportowców, dbać o zabezpieczenie możliwości awansu spor-

towego, tym co zechcą i potrafią piąć się w górę.

Nie mówmy więc, że ZMP powinien się troszczyć o sport masowy, a może mniej interesować się sportem wyczynowym. Pamiętajmy, że sport jest jeden, różny jest tylko poziom mistrzostwa sportowego. Ten jeden sport potrzebuje do życia rywalizacji sportowej, tzn. zawodów, spotkań i rekordów. Dlatego, aby działać w ruchu sportowym, trzeba się znać na tych sprawach tak, jak się na nich zna, jak ja rozumie, czuje i przeżywa większość naszej młodzieży,



Na koniec pragnąłbym w paru chociażby zdaniach rozwinąć to, co na początku podałem jako pewnik, że zainteresowanie organizacji ZMP sprawami kultury fizycznej i sportu jest nikłe, jest dalece niewystarczające.

Jako członek Prezydium Głównego Komitetu Kultury Fizycznej mam podstawę twierdzić, że od 3 miesięcy brak jest przedstawiciela ZG ZMP na posiedzeniach kierownictwa polskiego sportu. Czy dlatego, że go nie wyznaczono, czy dlatego, że wyznaczony towarzysz nie widzi potrzeby i celu przychodzenia na posiedzenia Prezydium, czy dlatego, że ma dużo ro-

boty, np. przedzjazdowej — jest mi wszystko jedno, każde tłumaczenie jest złe — nie może być tu dobrych tłumaczeń.

Przykład idzie z góry. Nie dziwcie się, że w setkach organizacji sportowych pozycja delegata ZMP jest fikcją — przykro to powiedzieć — jest tematem żartów. Albo go nie było od początku, albo nie przychodzi na zebrania i zawody, albo jak już jest, to się okazuje, że sportu nie lubi i że na sporcie się nie zna. Tak jest, towarzysze, bardzo często, za często, niestety, aby można było te wypadki określić jako przypadkowe zaniedbania.

Tak dalej być nie może. Trzeba pomnożyć szereg tych ofiarnych członków naszej organizacji młodzieżowej — a przecież są tacy — co razem z młodzieżą tkwią w sporcie, swoim przykładem i radą pomagają młodzieży w działalności sportowej, którzy lubią sport i znają się na nim, którzy widzą w sporcie wspaniały porywający teren pracy wychowania nowego człowieka.

Jakie piękne charakterystyki kształtują się w sporcie, iluż nowych członków powinno trafić do ZMP właśnie z ruchu sportowego, jak bardzo potrzebuje takich ludzi wszechstronnie sprawnych i dzielnych nasza Ojczyzna!

Miczurinizm — nauka pasjonująca

**O roli ZMP w rozwijaniu i kierowaniu ruchem miczurinowskim
oraz w upowszechnianiu wiedzy rolniczej**

Zygmunt Bieńkowski

Wiceprzewodniczący ZW ZMP w Rzeszowie

ARTYKUŁ w nr. 10 „Nowych Dróg“ pt. „Przed II Zjazdem ZMP“ zwraca uwagę instancji zetempowskich i całej młodzieży na ogromne znaczenie wychowawcze, polityczne i gospodarcze ruchu młodych nowatorów rolnictwa. Dotychczas — trzeba to sobie powiedzieć otwarcie — ta dziedzina działalności ZMP była poważnie zaniedbana. Nie kierowaliśmy tym ruchem, nie wykorzystywaliśmy jego treści światopoglądowej i politycznej w pracy wychowawczej, nie dbaliśmy o to, aby młodzież naukowo podchodziła do zadań naszego rolnictwa.

Jedną z przyczyn tego stanu rzeczy był fakt, że nie dostrzegaliśmy walorów wychowawczych ruchu młodych nowatorów rolnictwa, lecz patrzyliśmy nań tylko z wąskiego punktu widzenia praktyki i korzyści produkcyjnych. A przecież — zacytujmy tu fragment wspomnianego wyżej artykułu z „Nowych Dróg“ — wiedza rolnicza „wychowuje

socjalistów, albowiem w sposób namacalny wykazuje wyższość wielkiej zespołowej gospodarki nad gospodarką drobnotowarową; a przecież wiedza rolnicza w naszych warunkach wychowuje również materialistów, gdyż w sposób przekonywający udowadnia możliwość poznania praw rządzących rozwojem przyrody i podporządkowania ich potrzebom człowieka“. Wiedza rolnicza wreszcie — „to nauka pasjonująca — uczy, jak uzyskiwać z tej samej ziemi znacznie więcej zboża, jak hodować na tych samych użytkach znacznie więcej bydła i trzody, jak dawać krajowi więcej zboża i więcej cukru, więcej mięsa i więcej tłuszczu, jak podnosić dobrobyt chłopą polskiego“.*)

Jeszcze dziś można znaleźć koła ZMP, w których młodzież nie uwierzyłaby w to, że można wyhodować pomidory na ziemniakach

*) „Nowe Drogi“ nr 10, str. 11.

lub na tytoniu. A przecież w naszym województwie rzeszowskim miczurinowcy mogą się poszczycić nawet wyhodowaniem własnej odmiany bawełny, ryżu, a nawet herbaty polskiej. Ileż w tych osiągnięciach kryje się atrakcji dla młodych umysłów i wyobraźni! Przy właściwym podejściu aktywu, umiejętnym wyjaśnieniu zagadnień i konkretnej pomocy, można bez większego trudu skupić młodzież wokół poletek doświadczalnych i zainteresować ją szkoleniem rolniczym. A wtedy, gdy paru entuzjastów zapragnie już wypróbować w swej wsi możliwości gleby i wyhodować chociażby pomidory na ziemniakach, łatwo podsunąć im odmiany kukurydzy, topinamburu, roślin oleistych itd. Pracując na poletku, poznając glebę swej okolicy, warunki klimatyczne itp. młodzi chłopcy czy dziewczęta, porwani wynikami swej pracy, pokochają zawód rolnika. Piękniejsza wyda się im ich rodzinna wieś, gdy poznają jej ukryte skarby, gdy nauczą się wydobywania tych skarbów dla dobra swego i kraju. W ten sposób gorący patriotyzm młodego człowieka ucieleśni się w konkretnych czynach. Młody człowiek stanie się dobrym gospodarzem, światłym, odważnym i myślącym rolnikiem-fachowcem.

Weźmy dla przykładu zetempowców z Bieśnika, pow. Gorlice. Weszli już oni na tę pasjonującą drogę walki o plony, o nowe odmiany roślin, o uczynienie życia ciekawszym i piękniejszym.

Przed wojną mówiono, że Bieśnik trzeba zalesić, bo ziemia kiepska i nie chce rodzić. W sadach rosły jedynie dzikie śliwy, karłowate grusze i jabłonie. Dziś w Bieśniku rosną piękne krzewy owocowe. Z inicjatywą założenia sadów wystąpił zetempowiec Gwóźdź. Namówił on swego ojca na to, aby zasadzić „na próbę”, wspólnie z sąsiadem, 100 drzewek owocowych. W krótkim czasie drzewka rozrosły się pięknie i dały szlachetne, mięsiste owoce. Wtedy za przykładem Gwoździa poszli inni. Założono tzw. „zespoły sadownicze”. Rośnie w nich ponad 1000 szlachetnych odmian drzew owocowych.

Koło ZMP liczące 30 członków żyje na co dzień sprawą pielęgnacji i ulepszania sadów. Młodzi marzą o zasadzeniu orzechów włoskich, o założeniu we wsi spółdzielni ogrodniczo - pszczelarskiej. Dla uczczenia II Zja-

zdu ZMP postanowiono zasadzić 150 drzewek owocowych i 50 drzew miódodajnych. Nie ma w kole problemu walki z nudą, nie ma również problemu masowej ucieczki młodzieży do miasta. W Bieśniku młodzież widzi dla siebie perspektywę pracy, chce w przyszłości zamienić swą gromadę w „wielki sad”.

Taka inicjatywa młodzieży i starszych z Bieśnika godna jest chyba szczególnego poparcia i opieki ze strony ZP ZMP i innych zainteresowanych instytucji. Tymczasem towarzysze z ZP w Gorlicach, jak i pracownicy Powiatowego Zarządu Rolnictwa do niedawna nic nie wiedzieli o tych śmiałych planach. Chociaż instruktorzy ZP czasem „zabłądzą” do Bieśnika, to jednak zajęci całkowicie wprowadzaniem w życie najnowszych instrukcji (np. „po linii” skupu) nie umieją dostrzec tego, czym interesuje się młodzież, nie potrafią jej poradzić i dopomóc choćby przez wskazanie odpowiedniej lektury. A przecież autorytet i popularność ZP wśród młodzieży tego koła wzrosłaby poważnie, gdyby np. któryś z instruktorów wpadł na pomysł i przywiózł ze sobą specjalistę od spraw sadownictwa, który by pouczył młodych sadowników i udzielił im odpowiedzi na wszystkie męczące ich pytania. Niestety, na taki pomysł nikt nie wpadł, a żądania koła przemijają bez echa.

Niedawno założono w Bieśniku szkółkę drzewek owocowych. Kierownik szkoły, który bardzo pomaga młodzieży w pracy, zwrócił się do Prezydium PRN w Gorlicach z prośbą o przydział nawozów niezbędnych przy pielęgnacji młodych drzewek. Otrzymał arcybiurokratyczne pismo z powiadomieniem, że „na taki cel nawozów nie ma”.

✱

W województwie rzeszowskim mamy 52 kółka miczurinowskie, oraz ponad 400 młodych miczurinowców pracujących indywidualnie. To jeszcze niewiele. Te cyfry mówią, że ruch miczurinowców ma dotychczas charakter przeważnie indywidualnych prób. A przecież młodzi nowatorzy mogliby się stać organizatorami kolektywów, gdyby im w tym pomóc i zainteresować ich pracą całą młodzież naszych gromad.

W gromadzie Prusie, pow. Sanok, doświadczenia prowadzi tylko jeden zetempo-

wiec, Kazimierz Rudy. Został miczurinowcem zresztą zupełnie przypadkowo, wcale nie dzięki pracy aktywu ZMP. Będąc pewnego razu w Poznaniu znalazł się na naradzie miczurinowców, której przebieg bardzo go zainteresował i zachęcił do prowadzenia doświadczeń nad podniesieniem bazy paszowej i uprawą ziemniaków. Na podstawie przeprowadzonych u siebie doświadczeń doszedł do wniosku, że na jego polu najlepiej się udają ziemniaki „malwy”. W bieżącym roku wyhodował ziemniaki o wadze 1,5 kg. Nie potrafił jednak dotychczas swą pracą zainteresować koła ZMP, a koło samo nie doceniło wagi tych doświadczeń dla gromady.

Uczeń korespondencyjnego liceum rolniczego w Suchodole Józef Czuba, z gromady Blizna, pow. Brzozów, ma bogate doświadczenia na odcinku uprawy łąk należących do klasy V i VI-tej. Łąki te nawozi kompostem uzyskanym z odpadków w gospodarce. Kilku gospodarzy w gromadzie korzysta z jego dorobku. Gdy ktoś przyjdzie do Czuby zapytać się, jak się robi to lub owo, Czuba chętnie poradzi, lecz nie może dołączyć do niego kolektynu, by w większym gronie rozszerzać rozpoczętą pracę.

Jak pomóc takim ludziom jak Rudy i Czuba w zorganizowaniu koła miczurinowskiego, jak rozszerzyć ich inicjatywę na całą młodzież wsi, a nawet powiatu — oto sprawa, o którą powinny się troszczyć zarządy powiatowe ZMP i zarządy kół wiejskich. Nie można jednak w żaden sposób dokonać tego, jeżeli się nawet nie zna nowatorów rolnictwa z własnego powiatu, co jest zjawiskiem nagminnym dla wielu zarządów powiatowych. A przecież w świetle uchwały rządu o upowszechnianiu wiedzy rolniczej, w świetle zadań postawionych przed organizacją przez XIV Plenum ZG ZMP i wreszcie w świetle Projektu Statutu ZMP, wciągnięcie do szkolenia rolniczego całej młodzieży, wciągnięcie jej do ruchu nowatorów rolnictwa powinno stać się podstawową troską instancji i aktywu zetemowskiego na wsi.

Nie trzeba chyba nikogo przekonywać, że ta działalność wiąże się jak najściślej z walką o przebudowę wsi, o spółdzielcze

rolnictwo. Wiedza rolnicza wykazuje bowiem „w sposób niezwykle przekonywający wyższość wielkiej zespołowej gospodarki, w której można zastosować wszelkie zdobycze myśli ludzkiej, nad rozproszoną gospodarką drobnotowarową, w której ubóstwo gospodarstwa i ciasne miedze na każdym kroku stoją na drodze wszelkiego szerszego rozmachu.“*)

Samo uczestnictwo młodzieży w ruchu miczurinowskim doprowadza często do tego, że młody nowator, chcąc zastosować swe doświadczenia w konkretnej produkcji, czuje, że na kilkumorgowym ciasnym gospodarstwie nie zrealizuje swoich śmiałych planów i decyduje się na wstąpienie do spółdzielni, namawia do tego rodziców, staje się nieraz sam współzałożycielem spółdzielni.

Koła miczurinowców mają również ogromne możliwości przyczynienia się do wzmocnienia i rozwoju spółdzielni. Każde z nich może się z czasem stać ośrodkiem rzeczowej, mądrej propagandy spółdzielczości. Niestety, w spółdzielniach produkcyjnych, w PGR-ach i POM-ach mamy najmniej kół miczurinowskich i indywidualnych nowatorów. Wynika to m.in. ze słabej pracy instancji ZMP z kołami w ośrodkach socjalistycznej gospodarki.

W spółdzielni produkcyjnej Dębno, pow. Łańcut, sporo członków ZMP jest członkami statutowymi spółdzielni i pracuje w niej bez zarzutu. Jednak koło nie zainteresowało się poletkami założonymi przez agronoma z Powiatowego Zarządu Rolnictwa. Poletka te pozbawione opieki zarosły chwastem i zielskiem, stały się obiektem kpin i szyderstwa ze strony chłopów. Z pewnością nie doszłoby do takich smutnych faktów, jak wyżej wspomniany, gdyby ZP w Łańcuta systematycznie pracował z kołami ZMP w spółdzielniach i zwracał im szczególną uwagę na wzbudzanie wśród młodzieży zainteresowania ruchem miczurinowskim.

*

Aktywista pracujący wśród młodzieży na wsi w zakładaniu kół miczurinowców powinien widzieć klucz do rozwiązania

*) „Nowe Drogi“ nr 10, str. 11.

wielu problemów, na jakie napotyka w terenie. Często wrogą plotkę, stary przesąd lub uprzedzenie można obalić najsukcesyjniej poprzez wyjaśnienie praw rządzących rozwojem życia roślin i zwierząt. Na wsi rzeszowskiej — na przykład — tu i ówdzie zachował się jeszcze zwyczaj święcenia pól przez księży, „żeby był lepszy urodzaj“. Nie naruszając niczych uczuć religijnych można biernemu, bezradnemu stosunkowi do przyrody i świata, jakiego uczy rolnika ksiądz, śmiało przeciwstawić aktywny, przeobrażający świat stosunek, jaki głosi i realizuje współczesna radziecka agrobiologia. Zetempowcy ze szkół rolniczych, miczurinowcy ze średnich szkół ogólnokształcących i zawodowych powinni szczególnie zwrócić uwagę na wykorzystanie wiedzy rolniczej do zwalczania zabobonów i przesądów, które pozostały na wsi w spadku po wiekach zacofania i niewoli.

Sam fakt istnienia rozwiniętych ośrodków ruchu miczurinowskiego przy szkołach mocno oddziałuje na rodziców, uczniów, na sąsiednie wsie. Ciekawa jest historia powstania, pracy i osiągnięć oraz oddziaływania kółka miczurinowskiego przy liceum ogólnokształcącym w Czudcu pow. Rzeszów.

Gdy parę lat temu 15 najodważniejszych i najlepszych spośród uczniów założyło kółko miczurinowców, z zamiarem oddziaływania na całą okolicę, miejscowi chłopię nazwali ich „przewrotowcami“. „Zebrałi się mądrale — drwiono z nich — co też oni wymyślą?“ Powszechne było u większości chłopów w Czudcu mniemanie, że „człowiek nie posiada wpływu na przyrodę. Tak świat został stworzony i czy się człowiekowi podoba czy nie, taki już pozostanie“.

Młodzi miczurinowcy rozpoczęli swą pracę od sadzenia młodych pędów porzeczek i winorośli, które młodzież przynosiła z domu. Zwrócono się do radzieckiego Instytutu Genetyki Drzew i Krzewów w Mieczurinsku. Nawiązano kontakt z prof. Jakowlewem, uczniem Mieczurina. Instytut nie odmówił pomocy. W pierwszej przesyłce z ZSRR otrzymano liczne sadzonki jabłoni „Oviottura“ z Syberii. Wysłano do Instytutu w Mieczurinsku list z podzięko-

waniem. W odpowiedzi przyszła znów cenna przesyłka od prof. Jakowlewa: trzy odmiany winorośli, siewki malin i rosyjski konkord. Po zasadzeniu wszystkie sadzonki puściły pędy.

Otrzymano później jeszcze 10 krzewów jeżyn obfitej i sadzonki maliny Texas. Sadzonki te owocowały. Wielkość owocu malin Texas wynosiła 4 cm. Dzięki pomocy radzieckiego Instytutu młodzi miczurinowcy z Czudca wyhodowali kilkaset drzewek jabłoni, kilkaset krzewów winorośli (30 odmian), brzoskwiń, moreli, orzechów włoskich, krzewów malin, figowców. Wyhodowano też nowe odmiany śliwek, cytryn, herbaty i ananasów.

Przyszła dzień, gdy w Czudcu ku zdziwieniu okolicznych chłopów zakwitła bawełna, wyrósł ryż, wyrosły przeszło dwumetrowe węgierskie konopie, dające dużą ilość wysokooleistych nasion. Ci, którzy początkowo śmiali się z pracy młodych miczurinowców ze zdziwieniem patrzą teraz na ich wspaniałe osiągnięcia, a „niedowiarki“ nauce przekonali się o słuszności radzieckiej agrobiologii.



Jakie zadanie powinny postawić instancje przed kołami wiejskimi w związku z rozwojem doświadczałnictwa i upowszechnieniem wiedzy rolniczej? Przede wszystkim koła ZMP powinny wykorzystywać każde osiągnięcie młodych nowatorów dla jak najwyższego zainteresowania młodzieży zawodem rolnika, dla łamania starych przesądów i uprzedzeń, dla budzenia zamiłowania do wiedzy i odważnej twórczej praktyki. Jest to jednak cel ogólny, z którego wynika szereg konkretnych wskazań. Koła przy pomocy instancji powiatowych powinny popularyzować i nagradzać osiągnięcia najlepszych nowatorów. Organizowanie różnego rodzaju lokalnych konkursów, małych wystaw, wymiany doświadczeń i nasion między gromadami, czy powiatami, może być formą tej popularyzacji. Udział młodzieży w ogłoszonym ostatnio konkursie hodowlanym powinien stać się początkiem pracy wielu zespołów miczurinowskich, kółek wzorowych hodowców. Koła ZMP powinny pomagać prelegentom w organizowaniu wykładów z wie-

dzy rolniczej, zapewnić frekwencję i różne pomoce naukowe jak plansze, zdjęcia, próbki ziarna itp., które możnaby pokazywać w czasie wykładu.

Młodzi miczurinowcy mają wiele trudności i kłopotów, których sami nie zawsze są zdolni rozwiązać. Często nie wiedzą, jak powinni wyglądać poletka doświadczalne, jakie na nich prowadzić próby, co i kiedy robić. Dlatego cenna i warta upowszechnienia jest inicjatywa Technikum Rolniczego w Dziukowie pow. Tarnobrzeg, które objęło patronat nad kóikami miczurinowskimi, poletkami doświadczalnymi na terenie powiatu.

Nie mniej ważną sprawą, na którą powinniśmy położyć nacisk, jest uczenie aparatu i aktywu ZMP pracy z młodymi nowatorami. Aktyw ZMP pracujący na wsi

powinien systematycznie przyswajać sobie wiedzę rolniczą. Dotyczy to aktywu wszystkich szczebli. Uchwała sekretariatu ZG ZMP przewiduje szkolenie rolnicze dla aparatu. Niestety, nasz ZW niedostatecznie dbał o jej realizację. Ostatnie konferencje powiatowe zaś wykazały dobitnie, że aktyw wiejski żąda od instancji coraz bardziej konkretnych zadań, lepszej pomocy w ich realizacji.

Od tego jak przygotowujemy aktyw do rozwijania i kierowania pracą nowatorów miczurinowców, szkoleniem rolniczym, zależy będzie liczba młodzieży biorąca udział w tym ruchu, a tym samym stopień jego wychowawczego oddziaływania. Nie wolno nam nie wykorzystać tej atrakcyjnej formy pracy z młodzieżą, „pasjonującej nauki, która wychowuje socjalistów“.

Koleżeństwo

Roman Kilarski

Nauczyciel, sekretarz podstawowej org. partyjnej
przy II Szkole TPD w Warszawie

PUNKT 2 projektu nowego Statutu ZMP mówi: „...ZMP rozwija w młodym pokoleniu zamiłowanie do pracy i nauki, wychowuje młodzież na pełnowartościowych członków społeczeństwa, zespiera i pomnaża jej siły i talenty, pobudza jej twórczą energię i ducha ofiarności...“

Czyżby zagadnienie koleżeństwa było rzeczywiście tak ważne, że aż w Statucie o nim mowa?

Przed wszystkim zastanówmy się na czym koleżeństwo polega i skąd się ono bierze?

Koleżeństwo jest stosunkiem między ludźmi, opierającym się na wzajemnej sympatii i szcunku. Powstaje ono tak jak i przyjaźń — której jest źródłem — ze wspólnych zainteresowań i dążeń. Podstawą koleżeństwa między dwiema osobami są początkowo wspólne zainteresowania, na przykład: praca społeczna, sport, muzyka, jakaś dziedzina nauki, a także podobieństwo usposobień. Później dochodzą tu jeszcze tak ważne momenty jak szczerść i uczynność. Wreszcie u młodzieży starszej nadzwyczaj ważną jest wspólność ideologii. Stosunki koleżeństwa między dwiema tylko osobami nie są jednak wystarczające. W społeczeństwie socjalistycznym — a takie przecież budujemy — żaden człowiek nie może istnieć poza zespołem, kolektywem. Podstawą kolektywu jest świadomość związku jednostki z otoczeniem, świadomość, że ważniejsze są sprawy zespołu od spraw czysto osobistych. Prawdziwy członek kolektywu musi mieć właśnie głęboko koleżeński stosunek do

towarzyszy, polegający przede wszystkim na tym, aby każdym nerwem, niemal podświadomie wyczuwać wszystko, co się w zespole dzieje.

W internacie jednej ze Szkół Pielęgniarskich w Warszawie stwierdzono wypadki kradzieży różnych drobiazgów. W czasie szkoleniowego ścienienia łóżek znaleziono u jednej z dziewcząt skradzione przedmioty. Na specjalnej naradzie dziewczęta przeanalizowały całą sprawę. Okazało się, że delikwentka — zdolna i pilna uczennica klasy pierwszej — pochodzi z biednej rodziny chłopskiej i ukończenie szkoły jest dla niej wielką stawką życiową. Dziewczęta przekonały dyrekcję, że potrafią wychować swoją koleżankę, jeśli tylko nie zostanie ona usunięta ze szkoły. Dziewczynę otoczono serdeczną, troskliwą i do tego stopnia wszechstronną opieką, że w niedługim czasie można było zapomnieć o nie miłym incydencie. Mamy tu przykład prawdziwego koleżeństwa w zespole.

Gorzej jednak na ogół wygląda to zagadnienie w szkołach bezinternatowych.

Na przykład w Szkole TPD Nr 2 w Warszawie są dwie uczennice Z. Z. i L. E., które stale przebywają razem, zawsze sobie nawzajem we wszystkim pomagają — widać tu koleżeństwo nawet zbliżone do przyjaźni. Jednak obie te koleżanki nie interesują się zupełnie sprawami choćby własnej klasy. Wszelkie sprawy dotyczące kolegów zbywają krótko: „A co mi tam“

W innej znów szkole przewodniczący koła ZMP poszedł wraz z całą klasą na wagary, bo

(dokończenie na str. 36)

O wychowaniu w zakładzie pracy

Jan Majecki

„Nie podobna wyobrazić sobie należytego wychowania radzieckiego bez wychowania przez pracę... Praca powinna być jednym z najbardziej podstawowych elementów wychowania.”

A. MAKARENKO

SPRAWY wychowania młodego pokolenia Polski Ludowej skupiają na sobie uwagę i serdeczną troskę naszej partii i całego narodu, stają się one — szczególnie teraz przed II Zjazdem ZMP — przedmiotem gorących dyskusji i sporów wśród aktywu zetempowskiego i ogółu zetempowców.

Wychować nowego człowieka — to zadanie wzniosłe i piękne, lecz jednocześnie trudne i skomplikowane. „Najlepsi pedagodzy uważają je za sprawę nie tylko nauki, ale i sztuki” — pisał Kalinin, chociaż, tak dodawał jednocześnie: — „Mają oni na myśli wychowanie szkolne, oczywiście stosunkowo ograniczone.” Sztuką jest wychowywanie dzieci, a coś dopiero młodzieży. Dla dziecka wychowawcą jest szkoła i dom rodzinny. Tu wychowawcą jest samo życie, trudne, skomplikowane, burzliwe, pełne sprzeczności. Nie lada więc wiedzy i kunsztu nawet potrzeba naszym aktywistom, aby w swej trudnej i odpowiedzialnej pracy potrafili ukształtować oblicze moralne i charaktery młodych budowniczych socjalizmu, ludzi godnych nowej socjalistycznej epoki.

* * *

Różne były pobudki sprowadzające tysiące dziewcząt i chłopców z wsi, miasteczek i miast całego kraju do Nowej Huty. Jednymi kierowało szlachetne pragnienie bohaterstwa, lub wzięcia po prostu udziału we wznoszeniu wielkich budowli. Innymi — żądza romantycznych przeżyć, przygód, zainteresowanie nową techniką, nowym otoczeniem. Innymi jeszcze — chęć wyrwania się ze szpon kułackiego wyzysku i biedy, chęć zdobycia wysokich zarobków czy nawet lekkiego, nieskrępowanego życia z dala od oka rodziców i bliskich. (I takie „ma się” czasem „zachcianki”.)

Z różnymi charakterami, bodźcami, zamiarami, nawykami przyjechali więc młodzi ludzie budować Nową Hutę, Kombinat im. Lenina. Sta-

nęło nie lada zadanie: natchnąć tych najróżniejszych ludzi patosem budownictwa, przekształcić z surowych — bo takimi byli w przeważającej większości — nieprzygotowanych, w fachowców, w budowniczych z prawdziwego zdarzenia i stworzyć z tego „zbiorowiska” o różnych odcieniach i kolorach jeden mocny, zwarty kolektyw ludzi o nowej socjalistycznej moralności.

Poważna część tych zadań została pomyślnie wykonana. Dziś większość dziewcząt i chłopców ma swój zawód, jest prawdziwymi budowniczymi — czego rezultat jest aż nadto „namacalny”. Młodzi ludzie zajmują stanowiska odpowiedzialnych kierowników produkcji i najróżniejszych dziedzin życia. Dla wielu uczciwa praca stała się zasadniczą treścią życia. Znajdziemy również w Hucie zwarty, mocny kolektyw nowych, prawdziwych ludzi.

Ale czy w tym kolektywie są wszyscy? Nie. Poza nim jest jeszcze wielu. Nie skrzywdzimy towarzyszy z Nowej Huty — dla których mamy wielkie uznanie za ich olbrzymie osiągnięcia, za ich wielki trud — jeśli powiemy, że zadania wychowawcze słabiej wykonują od zadań produkcyjnych, że brak jest odpowiedniej proporcji między wzrostem murów i hal fabrycznych a rzeczywistym wzrostem ludzi.

Źródeł tego szukać należy w wielu kołach ZMP, w których pracę wychowawczą sprowadza się do ogólnych referatów i wielkich słów na rzadko odbywanych zebraniach, w których nie łączy się mobilizacji młodzieży do produkcji — często prowadzonej mechanicznie, administracyjnie — z wszechstronnym jej wychowywaniem w teście produkcji, w pracy i przez pracę. W wielu kołach ZMP słabo pomaga się ludziom dorastać do miana obywateli, prawdziwych gospodarzy swego zakładu i miasta. Taka sytuacja istnieje, na przykład, w kole ZMP Wielkich Pieców i w szeregu przedsiębiorstw budujących Hutę im. Lenina. Chcąc z drugiej strony nie brak przykładów dobrej pracy kół

zetempowskich — w Stalowni, WKS, Wydziale Aparatury Pomiarowej — umiejętnego łączenia zadań produkcyjnych i całokształtu pracy zetempowskiej z wszechstronnym wychowaniem młodzieży. Warto i należy upowszechniać te cenne doświadczenia w kołach słabiej pracujących.

* * *

Wysoko jest u nas ceniony ofiarny trud każdego człowieka. Za dobrą pracę ludzie dostępują zaszczytnych wyróżnień i odznaczeń państwowych — i oczywiście, otrzymują wysokie zarobki. Złe się jednak dzieje, kiedy dopuszcza się do tego, aby od wyróżnień i zaszczytów, a tym bardziej od pieniędzy „przewracało” się ludziom w głowach. Oto przykład:

W 1951 r. w Wydziale Konstrukcji Stalowych zaczęła pracować brygada młodzieżowa im. J. Krasickiego, w której skład weszli młodzi wiązacze, składacze — przeważnie zetempowcy wyszkoleni i przygotowani do pracy w tymże wydziale. Stanęli do pracy z zapałem. Po niedługim czasie zaczęli wykonywać 200 i więcej procent normy. Nastąpiła pierwsza wysoka wypłata, przyszły pochwały, wyróżnienia. Brygadziście Piotrowskiemu najbardziej jednak zaimponowały pieniądze. Poprowadził więc brygadę do walki... o premie, nie przebieając w środkach: oddając karty za niewykończoną, a czasem niezaczętą pracę do rachuby, nie dbając o jakość pracy itd. Ludzie dobrzy przeradzać się zaczęli w najzwyklejszych oszustów, złodziei grosza publicznego.

Wynagrodzenie za ofiarną pracę zamiast stać się bodźcem do wzmożenia wysiłków spowodowało rozkład moralny ludzi. Dlaczego? Co na to ZMP?

Koło ZMP istniało, ale na te sprawy nie zwracało uwagi. Uważali niektórzy, że lepiej się pochwalić „wynikami”, a poza tym Piotrowski był sam zetempowcem, członkiem zarządu... Drogo kosztowało organizację wytworzenie wśród młodzieży prawdziwej, twórczej atmosfery po „lekcjach” Piotrowskiego. Trud się jednak opłacił.

Brygada im. Janka Krasickiego istnieje nadal i dziś rzeczywiście przoduje w WKS. Wyrósł w niej prawdziwi przodownicy: Marian Mikosz, Władysław Kuryło, Stanisław Sala, Tomasz Bandyk i wielu innych, którzy są chlubą i dumą zakładu. Aktywiści ZMP w WKS nauczyli się troszczyć o każdego człowieka, o jego rozwój poczynając od tej chwili, kiedy pierwszy raz

przekroczy on próg zakładu. Tak było, na przykład, z Tomaszem Bandykiem.

Bandyk przyszedł do Huty im. Lenina, do WKS, w 1952 r. prosto od kulaka, gdzie był parobkiem. I od pierwszego dnia znalazł się pod opieką prawdziwych przyjaciół i towarzyszy, zetempowców. Był wtórnym analfabetą, towarzysze pomogli mu ukończyć 7 klas szkoły podstawowej, zdobyć zawód kowala, pojechać na praktyczne przeszkolenie do Huty „Zabrze”, przyjęli go w szeregi zetempowskie. Wyrósł na dzielnego człowieka.

Towarzysze z WKS, aktywiści zetempowscy, potrafią nieustannie troszczyć się o wzrost zawodowego i ogólnego poziomu ludzi, dbają o ich wszechstronny rozwój. Inspirowanie organizacji wszelkiego rodzaju kursów doskonalenia zawodowego, organizowanie spotkań młodzieży i wymiany doświadczeń z najlepszymi przodownikami pracy, odczytów i pogadek na tematy techniczne, ogólne i polityczne, zbiorowe omawianie w grupach zetempowskich wszystkich ważnych i drobnych wydarzeń — oto, co z grubsza tylko robi koło ZMP w WKS, w miejscu pracy młodzieży, w fabryce. Z grubsza, bo poza tym zajmuje się ono sportem, życiem kulturalnym i świetlicowym młodych ludzi i wieloma innymi dziedzinami ich zainteresowań.

To wszystko rozwija wszechstronną inicjatywę i energię twórczą młodzieży, jej stałe dążenie do nowego, do osiągnięcia coraz lepszych rezultatów w pracy. To powoduje, że zetempowcy są najbardziej ofiarnymi pracownikami wydziału, inicjatorami nowych metod pracy, motorem w rozwijaniu szlachetnego współzawodnictwa wśród załogi. Dziś w brygadzie im. J. Krasickiego i w ogóle wśród młodzieży WKS niecodziennym wydarzeniem jest każdy wypadek buźmelanctwa, czy niedbalstwa w pracy. Każdy taki wypadek stanowi alarm dla brygady i grupy zetempowskiej, w której zaistniał. „Produkuję bez usterek, kontroluję sam siebie”, „Moja praca świadczy o mnie”, „Nie wypuszczam braku” — oto zasady, w myśl których pracuje młodzież w WKS, zgodnie z którymi wychowuje się.

Moglibyśmy na tym skończyć naszą „opowieść” o WKS, który jest zaledwie jednym z kilkudziesięciu skupisk młodzieży w Hucie im. Lenina. Ale po tym, co już zostało powiedziane, mogło by się wydawać — oczywiście niesłusznie — że tam już jest wszystko idealne, że towarzysze z WKS nie mają żadnych

kłopotów z wychowaniem młodych ludzi. A tak wcale nie jest.

Prawie razem z Bandykiem w r. 1952 stanął do pracy w WKS Marian Połeć, ochotnik z zaciągu pionierskiego. Szybko nauczył się zawodu ślusarza maszynowego. Lecz zamiast uczciwie pracować zaczął bumelować notorycznie. Nie pomogły rozmowy z nim aktywistów zetempowskich, ani kierownika oddziału. Połeć wszystkim obiecywał poprawę, zapominając dość szybko o przyrzeczeniach. Na zebraniu grupy ZMP powiedział, że spóźnia się do pracy, bądź nie przychodzi w ogóle, bo zasypia. Przeniesiono go na wniosek grupy z hotelu do Domu Młodego Hutnika; Bandykowi powierzono nad nim opiekę. Po niedługim czasie powtórzyły się mimo wszystko stare historie z bumelantstwem. Wnie-siono sprawę Połecia na zebranie koła. Surowo zetempowcy ocenili jego postępowanie, zagrozili ukaraniem. Zaczął się zmieniać. Po pewnym czasie sam zgłosił się do zarządu koła i powiedział niespodziewanie: „chciałbym być przodownikiem, co mam robić?” Doradzono mu. Marian rzeczywiście został przodownikiem. W I kwartale 1954 r. zdobył proporzec i miano najlepszego w zawodzie.

Zastanawiano się, co wpłynęło na tę nagłą zmianę Połecia. Czy tylko zebranie koła? Chyba nie, chociaż wielu twierdziło, że „przejadła” mu się ciągła krytyka, ciągłe „obwieszanie” w gazetkach i „błyskawicach”, że nie chciał być dłużym obiektem satyry i docinków. Inni natomiast mówili, że „chorował” na „SHL-kę”, którą mógł zdobyć zostając przodownikiem, że chciał się przyzwoicie ubrać. Najwięcej jednak racji mają chyba ci, którzy twierdzą, że zwyciężyła u Mariana zdrowa ambicja, chęć pokazania swych zdolności, chęć udowodnienia, że potrafi sumiennie pracować.

Zdawać by się mogło, że sprawa skończona. Połeć dobrze pracuje, przoduje nawet — po co wracać do niego? Takiego zdania jest wielu aktywistów zetempowskich z WKS. I tu nie mają racji. Inaczej myśli tow. Jan Sobol, członek zarządu zakładowego ZMP, doświadczony aktywista zetempowski.

— Połeć się zmienił — mówi on — przoduje nawet, bo jest z natury swym dobrym człowiekiem. Ale kiedy przyglądam się mu to widzę, że pracuje jakby z musu, jedynie siłą woli, bez uśmiechu, bez zadowolenia. Udało mi się raz „podpatrzeć go”. Z jaką przyjemnością i satysfakcją naprawiał swoją maszynę! To mnie

zaciekawilo. Zapytałem go. Powiedział mi, że bardzo lubi rozbierać, składać, smarować maszyny, „dobierać się do ich bebechów”, że chciałby zostać mechanikiem.

To znaczy, że Połeć marzy o innej pracy. Dlaczego miałby tej innej nie wykonywać? Dlaczego towarzysze nie pomogą mu się jej nauczyć? Bo jeśli potrafi on przodować w pracy, którą bez szczególnego zamiłowania wykonuje, to jaki z niego może wyrosnąć fachowiec w pracy, którą wymarzył sobie! On w nią włożył całe swoje serce. Może ktoś powiedzieć: „to dlaczego od razu nie wybrał właściwego zawodu?” lub, że również zawód ślusarza maszynowego jest piękny, że i ta praca jest potrzebna naszemu państwu. Owszem.

Społeczne zapotrzebowanie na pracę to bardzo istotna, ważna rzecz. Lecz w naszym ustroju nie stoi ono w sprzeczności z osobistymi celami i pragnieniami człowieka. Tak też pojmować należy wypadek z Połeciem. Można do tej sprawy podejść i z innego punktu widzenia. W naszych dalszych założeniach proponujemy umożliwienie w przyszłości każdemu robotnikowi zdobycie co najmniej średniego wykształcenia politechnicznego, aby mógł on w pełni rozwijać swoje zdolności fizyczne i umysłowe, a tym samym, aby nie był przykuty przez całe życie do jednego zawodu. I jeśli wśród robotników, oczywiście dobrych, jest dążenie do opanowywania więcej niż jednego zawodu, to takie zjawiska są cenne i wyprzedzają tylko powszechną realizację naszych zamierzeń.

Bo weźmy inny przykład. Kazik Sypień i Antoni Fuchs pracują w wydziale Aparatury Pomiarowej. Są dobrymi elektrykami, wykonują po 300 i więcej procent normy i lubią swój zawód. Marzą jednak — i czynią w tym kierunku odpowiednie kroki — aby zdobyć drugie zawody. Jeden chce dodatkowo zostać mechanikiem, drugi spawaczem. Po co? Aby, jak sami mówią, lepiej pracować dla ojczyzny, aby nieustannie doskonalić metody i podnosić swoje wyniki w pracy. Brali już udział we wznoszeniu dwóch budowli socjalizmu, w Jaworznie i Dychowie, wznosząc trzecią. Poznają coraz lepiej piękno życia w naszych czasach — nie chcą z tego życia obrócić na marne. Takie dążenia są zrozumiałe. Wydaje się, że zadaniem naszym jest pomagać młodzieży w ich urzeczywistnianiu.

Z tym się chyba wiąże i inna sprawa — wyobraźni młodzieży i jej marzeń, wzniosłych

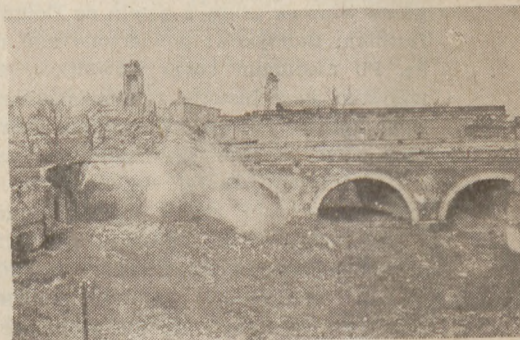
17.1.1945

W 10 rocznicę wyzwolenia Warszawy...

17.1.1955

„...Osiągnięcia nasze w dotychczasowym tempie odbudowy Warszawy są olbrzymie — przyznaje to zresztą każdy cudzoziemiec i obywatel zwiedzający Warszawę. Jeżeli ku zdumieniu całego świata bezprzykładnie zniszczone miasto stało się zdolnym do pełnienia roli stolicy Państwa, to było to możliwe tylko dzięki wyteżeniu wszelkich sił w budownictwie...”
B. BIERUT

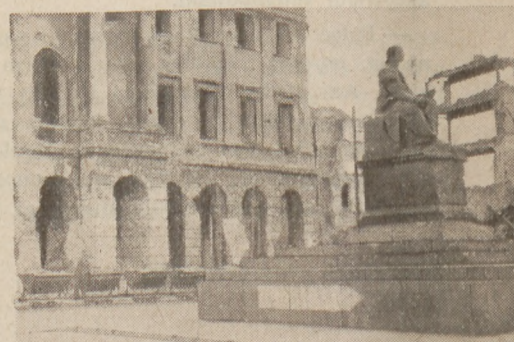
Z lewej: Wspaniała arteria wielkomiejska Trasa Wschód Zachód (W-Z), przed tunelem. U dołu: burzenie pozostałości prześel po dawnym, niezdatnym do użytku wiadukcie Pancera.



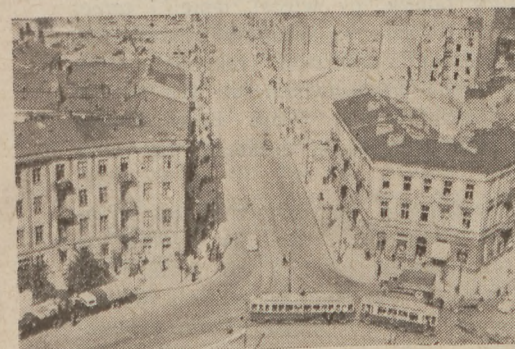
Z lewej: Słoneczny Mariensztat, piękna dzielnica mieszkaniowa nad Wisłą, pełna zabytkowych budowli, bogata w zielen. U dołu: tak wyglądał Mariensztat przed odbudową.



Z lewej: Ten piękny gmach przekazany został po odbudowie na siedzibę Polskiej Akademii Nauk. Przed gmachem odnowiony posąg M. Kopernika. U dołu: ten sam fragment przed odbudową.



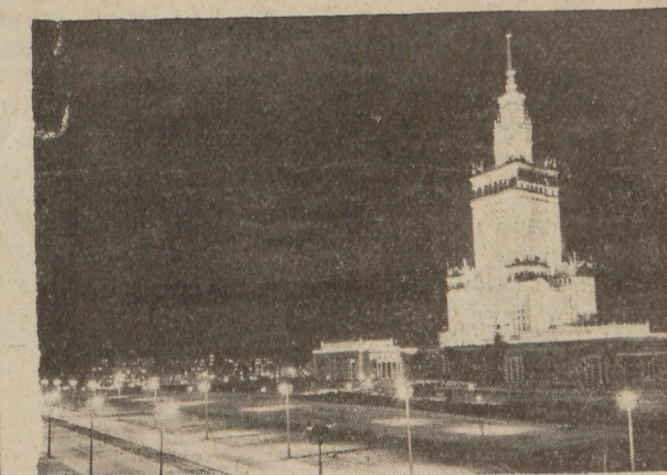
Z prawej: „Plac Konstytucji” zbudowany na gruzach zburzonej ul. Marszałkowskiej, na odcinku od Koszykowej do Pięknej. U dołu: widok z lotu ptaka na ten sam odcinek przed rozpoczęciem budowy.



Z prawej: Wyrazem troski o piękno Starego Miasta jest odbudowany z wielką pieczołowitością i zachowaniem dawnego stylu Rynek Starego Miasta. U dołu: ruiny Rynku przed odbudową.



Z prawej: Nad centrum Warszawy dominuje wspaniały dar Związku Radzieckiego — Pałac Kultury i Nauki. U dołu: w tym samym miejscu stały jeszcze niedawno parterowe „budowle” sklepikarzy.



i pięknych o przyszłości, którą budujemy wspólnym naszym wysiłkiem. Coraz bardziej realnie młodzi chłopcy i dziewczęta wyobrażają sobie tę przyszłość i chcą przyspieszać jej urzeczywistnienie własną wzmoczoną pracą. Stąd ich dążenie do coraz pełniejszego poznawania prawdy o świecie i życiu, do rozwijania własnych zdolności i umiejętności, stąd nawet ich dążenie do sławy (bo któż z młodych nie chce być sławnym, wybitnym człowiekiem!). I to jest nasz nowy romantyzm — romantyzm pracy, czynu. Tak! romantyzm należy ze wszech miar rozwijać. Wspaniale o tym swoistym romantyzmie mówią bohaterowie książki Wiery Kietlińskiej „Męstwo” — Sioma Altszuler i Tonia Wasiajewa:

„— Chciałbym być sławnym, Toniu... Chciałbym dokonać czegoś tak wielkiego, żeby mówiąc o Komsomole, o ludziach, których Komsomol wychował wymieniano także i mnie... Strach pomyśleć, że mógłbym przejść przez życie i zginać jak ziarno piasku. Czy to chorobliwa ambicja? A niech tam!...

— To nie złego — odparła Tonia. — Sama często marzę o różnych rzeczach... Chciałabym pracować w konspiracji za granicą. Niechby mnie katowano, torturowano... Albo chciałabym oddać wszystkie siły naszemu miastu. Wszystkie, bez reszty. Umarłabym, ale miasto stałoby jako pomnik. To również jest sława. To nie ważne, że ludzie zapomną mego nazwiska. Ważne jest to, żebym dokonała czegoś wielkiego i wiedziała, że zrobiłam wszystko. Prawda?

Uczyć młodzież tak marzyć — oto wielkie zadanie naszych organizacji. „Męstwo”, co prawda, jest książką o budowniczych Komsomolska. Ale czyż młodzi budowniczowie Nowej Huty nie wystawiają sobie równie pięknego pomnika? Czyż mało jest wśród nich bohaterów, codziennego bohaterstwa, przykładów, na których można wychowywać młodzież? Młodzi ludzie chcą być w swej większości bohaterami i w naszych czasach jest szczególne miejsce na bohaterstwo. Bowiem dzieło, jakiego dokonujemy jest na miarę bohaterów. Obyśmy tylko umieli młodzież ukazać jego wielkość i porwać ją do czynu.

* * *

Prawdziwą szkołą wychowania młodzieży jest socjalistyczne współzawodnictwo pracy. Ono zmienia poglądy ludzi na pracę, łączy ich i jednoczy w walce o wspólne ideały rozwija energię i talenty ludzkie. Ono pozwala tysiącom

„szeregowych” robotników wznieść się do poziomu przodujących.

W Nowej Hucie jednak często jeszcze spotyka się wypaczanie samej idei współzawodnictwa przez niektóre koła zetempowskie, a raczej przez niektórych aktywistów. Spotyka się „pogoń” za ilością współzawodniczących, za cyframi i procentami, za materiałami do meldunków i sprawozdań, w miejsce niezbędnej troski o pogłębianie treści i wychowawczych rezultatów współzawodnictwa. Niewątpliwie, organizujemy współzawodnictwo robotników po to, by prędzej rosły mury fabryk, by więcej, lepiej i taniej produkować i ważne są rezultaty produkcyjne. Lecz dla naszej organizacji również ważną i istotną stroną współzawodnictwa jest to, czy we współzawodnictwie, które organizujemy, szybciej rośnie, dojrzewa, doskonalą się nowy człowiek.

Współzawodnictwo socjalistyczne jest wyrazem nowej dyscypliny, która ma wynikać ze wzrostu świadomości ludzi, z ich przekonania o konieczności i potrzebie podnoszenia wydajności pracy, o lepszym gospodarzeniu społecznym dobrem. Robotnik podejmując zobowiązanie powinien to czynić świadomie, z przekonania wewnętrznego, że zdolny jest i powinien więcej dać z siebie niż dawał dotąd. Współzawodnictwo powinno zmuszać człowieka do myślenia, do poszukiwania nowych metod pracy, powinno sprzyjać rozwojowi postępu technicznego, nowatorstwa i racjonalizacji. Młody robotnik podejmując zobowiązanie powinien pamiętać o jego wykonaniu. To wyrabia dyscyplinę i poczucie odpowiedzialności. A jakże często się zdarza, że współzawodnictwo traktuje się formalnie, że nie myśli się o tym, jakie powinno ono przynosić rezultaty wychowawcze, że nie czyni się żadnych kroków nawet w wypadkach niewykonywania podjętych przez młodzież zobowiązań. Tak było początkowo z wspomnianą już brygadą młodzieżową im. Janka Krasickiego, co doprowadziło do zgubnych rezultatów. Tak się dzieje i teraz jeszcze w wielu innych grupach młodzieży.

Współzawodnictwo socjalistyczne oznacza nowe stosunki między ludźmi — stosunki wzajemnej pomocy, przyjaźni i koleżeństwa. Bowiem w szlachetnej rywalizacji między robotnikami, między brygadami, między całymi zakładami o palmę pierwszeństwa, o przodownictwo, walka toczy się w rezultacie o wspólną sprawę — o to, aby lepiej wykonać zadanie społecz-

ne, a nie o to „kto kogo“, a nie o zduszenie słabszego przez mocniejszego. Choć w wielu jeszcze grupach młodzieży, a nawet w pojęciach niektórych aktywistów ZMP, traktuje się współzawodnictwo jak hazard: „dawaj, aby więcej, wszystko jedno jakim kosztem!“ W historii budowy Huty im. Lenina znaleźć można wiele przykładów „przemijającej (złej) sławy“ wielu „przodujących“ niegdyś brygad i ludzi, których przodownictwo i sławę „wyrabiano“ często w sposób sztuczny, niesłuszny, przez „forowanie“ jednych brygad i ludzi kosztem innych, przez nie pojętą rywalizację o to, aby mieć jak najwięcej przodowników, to znaczy ludzi, którzy dużo potrafią produkować bez względu na to, jakimi sami się stają w wyniku takiego „współzawodnictwa“, takiego „przodownictwa“. Nie ma nic gorszego, jak takie pojęcie o tym wspaniałym ruchu; nie ma nic gorszego nad pojęcie „przodownik-samolub, egoista, pyszałek“. Takie zjawiska w ruchu współzawodnictwa trzeba dostrzegać i zwalczać w zarodku.

Dziś w wielu obiektach i wydzielach Huty im. Lenina spotkać można wspaniałe przykłady prawdziwie nowych, prawdziwie socjalistycznych stosunków między ludźmi. Wziąć choćby brygadę Ptaka z „Mostostalu“, Marca z ZB-2, Jasiołka i Wasielaka z WKS. Brygady te należą do najlepszych w Hucie, nieraz dokonywały wspaniałych, iście bohaterskich czynów — dzięki wysiłkom całych kolektywów dobrych, ofiarnych, świadomych ludzi. Są w tych brygadach również ludzie „nieprzeciętni“, wybitni przodownicy pracy, ale nie ma u nich ani cienia zarozumiałstwa, pychy, wywyższania siebie nad współtowarzyszy. Są oni dla słabszych, mniej uzdolnionych nauczycielami i wychowawcami i współzawodnicząc z nimi czynią wszystko, aby pociągać ich za sobą, aby wszyscy walczyli o honor brygady, stanowili o jej sławie.

Spróbujmy zapytać tych najlepszych, czy gdyby byli sami, gdyby nie czuli obok siebie pomocy, serdecznego słowa, poparcia towarzyszy, potrafiliby znieść niejedne trudności, osiągnąć wybitne rezultaty? Nie dałoby rady. Znane są wypadki, choćby w WKS, kiedy „uderzała do głowy“ niektórym przodownikom pracy nadmierna duma i odrywali się oni od swych kolektywów. Tak było nawet z Marianem Mikołyszem. Zaczął staczać się w swej pysze do poziomu zwykłego, zarozumiałego mieszczaucha stawiającego własne „ja“ nad organizacją i kto wie, co by było, gdyby nie serdeczna, udzielona

w porę przyjacielska pomoc towarzyszy. Znane są wypadki z Zarządu Budowlanego nr 3 z życia Staszka Piwowara, któremu kolektyw zetempowski pomógł wyrwać się z chuligańskiego, pijackiego towarzystwa i stać się szanowanym przez wszystkich, pełnowartościowym człowiekiem.

W starym społeczeństwie kapitalistycznym panuje zasada: „człowiek człowiekowi wilkiem“, „dbaj tylko o siebie — niech cię nic poza tym nie obchodzi“. My chcemy wychować nowego człowieka w atmosferze przyjaźni i pomocy wzajemnej. Nie zawsze jednak rozumieją to nasi aktywiści zetempowscy. Często, na przykład, w Hucie im. Lenina daje się usłyszeć słowa: „w tym „Mostostalu“ to prawie sami chuligani, nie warto się z nimi zadawać“. W „Mostostalu“ rzeczywiście stosunkowo najwięcej jest i chuliganów i bumelantów. To prawda. Ale i prawdą jest to, że większość z tych młodych chłopców potrafiłaby żyć dobrze i uczciwie, jak Staszek Piwowar i inni, gdyby zamiast odrazy aktywiści zetempowscy i zetempowcy podawali im częściej przyjacielską, pomocną dłoń i usiłowali lepiej niż dotąd przebudowywać i zmieniać ich życie.

Albo inny przykład, tym razem z Zakładów Materiałów Ogniotrwałych w Hucie im. Lenina. Z przewodniczącym koła ZMP rozmawia aktywistka z zarządu zakładowego:

— Wiesz co — mówi ona obserwując postać jednej młodej robotnicy — ta dziewczyna musi mieć jakieś kłopoty życiowe. Pracuje jakaś smutna, zamyślona, czy zmartwiona. Warto by się nią zainteresować i może pomóc?...

— Czy to ja muszę się wszystkimi smutkami interesować? — zachnął się on. — A właściwie co cię to obchodzi? Pracuje, na zebrania przychodzi... że nie zabiera głosu? Że się martwi? Bo to takich mamy mało? Zresztą, na takie bzdury nie mam czasu.

Mówimy — i to jest prawdą — że ustrój socjalistyczny, który budujemy jest najbardziej humanistycznym ustrojem, że wszystko co stworzymy, czynimy dla dobra człowieka. Wierzyć w ludzi, kochać ludzi powinien każdy aktywista zetempowski. A kochać człowieka oznacza równocześnie troszczyć się o niego, interesować wszystkimi stronami jego życia, pomagać mu. Cóż by się stało, towarzyszu przewodniczący z ZMO, gdybyście tak podeszli do waszej towarzyszki pracy i w serdeczny sposób zapytali, co jej dolega i pomogli jej w zysku, ulżyli w ja-

kłmś kłopotcie? Łatwiej się przeżywa nawet największe kłopoty, jeśli wiedzą o nich towarzysze, jeśli wyrażają chęć pomocy, a cóż dopiero, gdy pomogą! Chcemy wpoić w każdego młodego człowieka wiarę w ludzi, w przyjaciół, w kolektyw i jego siłę. A jakże zdołamy wpoić w ludzi te cechy, jeśli odwracać się będziemy do nich i ich codziennych kłopotów plecami?

Pozwólcie towarzysze, że jeszcze raz zacytuję słowa Siomy Altszulera z „Męstwa“ Wiery Kietlińskiej:

„Przyjaźń — tak, to największe uczucie na świecie. Czy największa nawet radość jest prawdziwą radością, jeżeli nie ma przy nas przyjaciela, który by ją z nami podzielił?... Burżuazja może się obejść bez przyjaźni, jej potrzeba tylko pieniędzy, a kiedy się dzieli pieniądze, to im mniej ludzi, tym przyjemniejszy jest podział. Ale pytam was — czy był kiedykolwiek proletariusz, który by pracował samotnie? I czy zdołalibyśmy zbudować socjalizm, gdyby nie istniała u nas wielka przyjaźń narodów, przyjaźń robotników i chłopów, przyjaźń każdego z nas ze swoim kolektywem?“

Koleżeństwo

(dokończenie ze str. 28)

bał się, że zostanie uznany za niekoleżeńskiego i straci cały swój — jak widać niewielki — wpływ na kolegów.

Duża część młodzieży uważa, że jeśli kolega pełni funkcję wymaga stanowczo wykonania czegoś, to jest niekoleżeński. Niekoleżeński jest również ten, kto łepi wszelkie szkodnictwo, lenistwo, kłamstwo, choćby jednocześnie chętnie pomagał w nauce — włączał się do prac społecznych i rozrywek. Oczywiście w takiej sytuacji nie ma kolektywu, bo nie ma wzajemnego zrozumienia.

Nieliczne próby poprawienia tego stanu rozbijają się niestety nie tylko o wyznawaną często przez część młodzieży zasadę tak zwaną „wolności osobistej“ (czytaj — wolności warcholstwa), ale również o jakiś zimny, powiedzielibym „rybi“, stosunek instancji zetempowskich. Brakami kadrowymi zasłania się często swoje niezrozumienie zagadnienia.

Wspomniane wyżej dwie uczennice ze Szkoły TPD Nr 2 w pierwszych latach swej przynależności (a wówczas jeszcze i pracy) do ZMP wierzyły, że wraz ze swoją organizacją przereobią cały świat na lepsze. Tymczasem wraz z reszłą tzw. aktywu spotkały się właśnie z brakiem koleżeństwa ze strony działaczy zetempowskich. Nie rozumiano ich i pozostawiono własnym siłom, stąd też pochodzi ich obecna neutralność.

Jeśli bowiem walczymy o rozwój osobowości młodego człowieka, wszystkich jego talentów i umiejętności, to najlepiej rozwój ten widzimy w kolektywie, przy pomocy kolektywu; to czynimy to z myślą, aby jednocześnie rósł kolektyw i jego siły.

* * *

Praca w ciągu wielu stuleci — choć zniekształcano i wypaczano jej charakter — ukształtowała człowieka takiego, jakiego zastało nasze pokolenie. My mamy stworzyć człowieka wielokrotnie lepszego, doskonalszego — nie w ciągu stuleci, lecz lat zaledwie, i nie „teoretycznie“, lecz w walce o rozkwit naszej ludowej ojczyzny, w procesie twórczej, przeobrażającej pracy. Zadanie to z pewnością wykonamy z powodzeniem, jeśli nie będziemy ani na chwilę tracić z oczu człowieka w każdym przypadku jego życia i działania, jeśli wszystkie nasze wysiłki poświęcimy walce o kształtowanie oblicza moralnego młodego pokolenia naszej ludowej ojczyzny.

Kiedy zapytano Kalinina, jakie cechy należy przede wszystkim wyrabiać w młodzieży radzieckiej, odpowiedział:

„miłość do całego narodu, miłość do mas pracujących...“

Człowiek powinien kochać ludzi.

Odnoszę wrażenie, że o tym „drobiazgu“ właśnie zapomniano w niektórych ogniwach ZMP.

Uczucie koleżeństwa wiąże się zwykle w pojęciach młodzieży z wszelkim optymizmem, radością życia, wiarą w człowieka, w samego siebie. Koleżeństwo ma szczególnie duże znaczenie w latach młodości, kiedy znacznie rozszerza się widnokrąg umysłowy człowieka, zarysowują się jego poglądy na życie, jego ideały, jego zasady moralne. Dobra atmosfera koleżeństwa w zespole znakomicie ułatwia wychowanie jednostki. Mówię „dobra“, bo czyż możemy przyjąć za koleżeństwo to, co polega na ukrywaniu i popieraniu różnych występków czy choćby na pobożaniu im!

Brak koleżeństwa jest główną przyczyną złej pracy kół ZMP w szkołach. Jeśli większość zetempowców zrzuca z siebie robotę i odpowiedzialność za kolegów, a przy tym czeka tylko, żeby wykpić aktywistę, któremu się coś nie uda, to oczywiście koło nie osiąga żadnych wyników w pracy i nie występuje jako zwarta całość wobec niezorganizowanych. Czyż więc możemy się dziwić, że szacunek dla organizacji mają w szkole prawie wyłącznie uczniowie nie znający panujących w niej stosunków, to znaczy głównie uczniowie najmłodszych klas?

Drożdże w PGR-ach

Józef Rodak

PIERWSZE informacje o pionierach z zespołu PGR - Ośno Lubuskie uzyskałem przypadkowo, w pociągu jadącym z Rzepina do Ośna. Dwie starsze kobiety otulone w chusty rozmawiały o jakiejś nocej awanturze w Lubowie między pionierami a kierownikiem tamtejszego PGR-u, na skutek czego kierownika zwolniono.

Odnutowałem w myślach — Lubów; wysiadłem na niewielkiej stacji Ośno Lubuskie.

W gabinecie dyrektora zespołu PGR zastałem kilku ludzi, którzy omawiali właśnie sprawę pionierów. Chętnie usiadłem i począłem się przysłuchiwać rozmowie, przerywanej raz po raz wejściem interesantów z nagłącymi sprawami do dyrektora. Wśród interesantów było kilku pionierów, których dyrektor nie omieszkiał przedstawić mnie i przedstawicielowi Zjednoczenia, wypytując ich — nie wiem czy z przyzwyczajenia czy tylko dla formalności o warunki, zainteresowania, plany życiowe, na co ci odpowiadali skąpo i ogólnie, że nieźle, no że dobrze... że tak sobie, a co do zainteresowań — to interesują się po trochu wszystkim.

Zarówno z odpowiedzi pionierów jak i pytań dyrektora oraz z tego, co mówili zebrani u dyrektora pracownicy zespołu, nie trudno było wynioskować, że w zabezpieczeniu warunków bytowych dla pionierów jest dużo niedołęstwa ze strony administracji, a może nawet niedbalstwa i lekceważenia. Przekonała mnie zresztą o tym wędrownka po gospodarstwach. Nie spotkałem tutaj co prawda tak jaskrawej beztroski o ludzi jak w sąsiednim zespole PGR Kowalów — o którym opowiadano mi w pociągu — a gdzie w mieszkaniach pionierów brak drzwi, okien a nawet pieców. Niemniej w niektórych gospodarstwach zespołu Ośno zetknąłem się z poważnymi zaniedbaniami jak: brak klamek we drzwiach mieszkań zajmowanych przez pionierów, niedostarczenie opału, nieoszkłone okna, nieterminowa zmiana pościeli.

Na czoło tych usterek wybija się prawie we wszystkich gospodarstwach sprawa żywienia. Ludzie pracują i chcą jeść dobrze i smacznie. Tymczasem administracja zespołu nie wykazuje dostatecznej troski o odpowiednie zaopatrzenie kuchni w różnorodne produkty i przysmaki. Za wyjątkiem Smogór we wszystkich gospodarstwach brak jest jarzyn. Posiłki w stołówkach są jednostajne, mało urozmaicone. Przez kilka tygodni ludzie musieli jeść niesmaczną i bardzo drogą zupę tzw. „ogonową“, mimo, że dość ostro i natarczywie, niestety bezskutecznie, domagali się o zaopatrzenie stołówek w zupy grochowe, pomidorowe i inne — smaczniejsze i tańsze. Chleb wypiekany przez piekarnię GS w Ośnie przypomina wyglądem, a podobno i smakiem, podechniętą glinę. Poważnym niedomaganiem stołówek PGR-owskich jest także brak odpowiednio przygotowanych kucharek, które umiałyby gotować strawy pożywne i smaczne. Na szczęście dyrekcja zespołu nosi się z zamiarem przeszkolenia personelu kuchennego. Oby ten zamiar jak najprędzej urzeczywistniono.

Skoro już mowa o wyżywieniu, warto nadmienić o biuletynie Ministerstwa PGR nr 21 (94) z 10.VIII.1954 r., który to biuletyn centralnie reguluje sprawę żywienia w stołówkach PGR. Nie jestem znawcą zbiorowego żywienia, ale przeczytawszy zarządzenie dotyczące stołówek odczułem naprawdę niemiły smak... biurokracji. Bo proszę sobie wyobrazić, że z zarządzenia tego wynika, iż stołujący się w stołówkach PGR-ów nie mogą jeść marmolady, nie przewiduje się dla nich masła, kielbasy, mięsa wołowego, a nawet innej kaszy, poza jęczmienną, ani grochu, poza zwykłym polnym, oraz całego szeregu innych produktów żywnościowych. Ktoś może powiedzieć, że podany przepis żywienia we wspomnianym biuletynie stanowi pewien wzór — być może. Ale w każdym bądź razie administracja prawie we wszystkich zespołach kurczowo trzyma się tego zarządzenia. Zresztą zmusza ją do tego bodajże 11 paragraf, który

groźnie zapowiada, że wszelkie odstępstwa od ustalonej tabelki są niedopuszczalne.

Zostawiam tę sprawę do załatwienia kompetentnym czynnikom, bo oto cisną się inne sprawy życia pionierów.

Skąpa wiadomość o awanturze w Lubowie, uzyskana dzięki przypadkowej rozmowie w pociągu, poczęła mi się rozjaśniać, a wiąże się ona ściśle z tym, co pionierzy robili i co wnieśli z sobą do PGR-u. Dzięki przybyciu do zespołu PGR Ośno ponad 200 ochotników zaciągu pionierskiego zespół ten zagospodarował ponad 4,5 tys. ha odłogów i uzyskał pierwsze miejsce w arkach zimowych w Zjednoczeniu PGR Gorzów oraz sprawnie przeprowadził zbiory okopowych i siewy. Ale pionierzy wnieśli do PGR-ów poza tym coś więcej, czego nie da się wyrazić cyframi. Wnieśli oni powiew świeżego powietrza, śmiałej inicjatywy. Wraz z nim wpłynął do PGR-ów ożywczy strumień śmiałej krytyki braków w pracy gospodarstw i całego zespołu. I jakkolwiek nie wszyscy oni dobrze pracują, nie wszystkim przysługuje dumne miano pioniera, to jednak podstawowa część ochotników zaciągu pionierskiego chlubnie wypełnia swoje zadania, czuje się współgospodarzem PGR-ów.

Dotychczas w Lubowie i w innych PGR-ach panowała wśród robotników niezdrówą atmosferą obojętności wobec przeróżnych spraw gospodarstwa. Poza wykonywaniem poleceń kierownika lub brygadzysty robotnicy do niczego nie wtrącali się, obojętnie przechodzili nawet wobec jaskrawych wypadków marnotrawienia mienia państwowego. Ta atmosfera obojętności wytworzyła się na skutek tego, że wszelkie przejawy oddolnej krytyki, wszelka inicjatywa robotników, wszelkie próby wtrącania się do spraw gospodarstwa napotykały — a niejednokrotnie zdarza się to i dzisiaj — na nieprzychylny, a często wręcz wrogi stosunek kierownictwa — począwszy od brygadzystów a skończywszy na dość wysoko postawionych pracownikach zespołu.

Takie to stosunki napotkali ochotnicy zaciągu pionierskiego. Miejscowi ludzie nie bez powodu mówili, że dłużej jak dwa tygodnie żaden z ochotników nie wytrzyma. Istotnie, kilku uciekło, ale nie z tych przy-

czyn. Ucieczka ich była całkiem normalnym zjawiskiem, przecież niejednokrotnie kierowano tutaj ludzi przypadkowych, „obieżyświatów“. Z innych PGR-ów „przypadkowi pionierzy“ uciekali nawet bardziej masowo. Wialnia życia doskonale oddzieliła bezwartościowe plewy od ziarna. O dezertarach pionierzy mówią z pogardą i szybko o nich zapominają.

Początkowo w Lubowie stosunki między kierownictwem gospodarstwa a przybyłymi ochotnikami układały się dobrze. Ochotnicy nie znając dobrze pracy na roli oraz miejscowych warunków i zwyczajów, słuchali we wszystkim kierownika, lepiej lub gorzej wykonywali jego polecenia, szczegółowo pytali, jak i co mają robić. Uczyli się.

I wydawało się, że wszystko ułoży się dobrze: kierownik rozkazywał, a oni słuchali. Lecz ci młodzi ludzie, z których nikt nie jeden porzucił dobrą, niekiedy nawet łatwiejszą pracę i na wezwanie organizacji przyjechał tutaj poświęcić swe młode siły walce o rozkwit rolnictwa, szybko poznali sytuację w PGR-ze i to i owo zaczęło im się nie podobać. Rozpoczęli od reorganizacji pracy, na co kierownik, choć niechętnie, zgodził się tworząc odpowiednie grupy i brygady. Ale kiedy przybysze poczęli wtrącać się do gospodarstwa, kiedy zwrócili kierownikowi uwagę na marnowanie słomy, na niedbałe przechowywanie obornika, a szczególnie na złe kopcowanie ziemniaków oraz na istic „dworskie“ traktowanie robotników PGR-u — kierownik „wyszedł z siebie“ — jak określiła to jedna z dziewcząt — i rozpoczęła się walka między nim a całą załogą gospodarstwa. Ośmieleni postawą pionierów miejscowi robotnicy poczęli teraz także krytykować kierownika za różne stare i nowe błędy. Między innymi stróż nocny „wygarnął“ kiedyś kierownikowi, że około 4 kwintali omłóconego zboża gnije pod słomą, mimo, że on kilkakrotnie upominał się o uprzątnięcie tego zboża.

Szczególnie dużo gospodarskiej troski wykazali pionierzy przy kopcowaniu ziemniaków. Przede wszystkim sprzeciwili się kopcowaniu mokrych ziemniaków. Nie chcieli robić kopców w nizinie, w której na wiosnę stoi woda, o czym dowiedzieli się od miejscowych chłopów. A kiedy kierownik pole-

cił im przykrywać ziemniaki mokrą słomą, pionierzy po prostu ukradkiem okryli znaczną część ziemniaków suchą słomą. Warto nadmienić, że w kopcach nakrytych „pod dozorem kierownika“ mokrą słomą ziemniaki przemarzły. Coraz śmielsze wtrącanie się robotników do gospodarstwa, zwracanie kierownikowi uwagi, krytyka jego postępowania — wyprowadziły go z równowagi i któreś nocy po pijanemu chciał podobno zabić stróża nocnego, rzucając się na niego z widłami czy też z szablą. Stróż narobił hałasu, zbudził załogę, która obezwładniła „nocnego wojaka“ — jak go nazywają robotnicy — i oddała pod opiekę MO. O tej to awanturze opowiadały sobie kobiety jadące razem ze mną pociągiem z Rzepina do Ośna.

Z zadowoleniem stwierdzam, że podstawowa część pionierów, ci, którzy przyjechali tutaj nie w poszukiwaniu przygód i lekkiego chleba, lecz świadomi celu i obowiązków, domagając się różnych zmian oraz poprawienia sytuacji w PGR-ze — mają po stokroć rację. Rację miał Tadek Dudek — magazynier z Radachowa, że awanturował się o łańcuchy dla bydła, że obecnie dokucza dyrektorowi zespołu o przysłanie hydraulika do naprawienia pompy. Mądrze postąpił młody magazynier z Trześniowa, że nie pozwolił obrócić na słomę sterty niemłóconego owsa, z wierzchu tylko nadpsutej. Nie spotkałem się wśród ochotników zaciągu z wypadkiem, aby o czymkolwiek co dotyczy gospodarstwa mówili, że to nie ich sprawa. Ślusznie uważają się tutaj za współodpowiedzialnych gospodarzy. I jeżeli czasem w uśmierzeniu w niektórych sprawach przesadzają, nie należy im brać tego za złe, przeciwnie, trzeba w nich rozniecać tę isierkę poczucia współodpowiedzialności za gospodarstwo, chęć walki o polepszenie sytuacji w PGR-ach. Trzeba budzić w nich inicjatywę, brać pod uwagę ich wnioski, załatwiać ich słuszne żądania.

Nie można przecież zapominać o tym, że powodzenie walki o podniesienie produkcji w PGR-ach i uczynienie z nich rzeczywiście przodujących placówek naszego rolnictwa uzależnione jest przede wszystkim od świadomości załóg PGR-ów, od postawy wszystkich robotników. Istotą socjalistycznego go-

spodarstwa jest to, że wszyscy zatrudnieni w nim pracownicy czują się współodpowiedzialni za jego rozwój, troszczą się o terminowe i sprawne wykonanie robót, dążą do ulepszenia pracy w nim, walczą ze wszelkiego rodzaju marnotrawstwem. Tymczasem w wielu PGR-ach zespołu Ośno wytworzyła się nienormalna sytuacja, w której robotnicy stanowią jedynie siłę roboczą, a do spraw gospodarstwa nie wolno im się wtrącać. Uważam więc za sukces pionierów to, że śmiało przeciwstawiają się podobnym stosunkom, że poczynają je rozsądzać, umożliwiając dojście do głosu wszystkim robotnikom, że walczą z niebezpieczną teorią „abotomoizmu“ (a bo to moje?) i obojętności załóg do spraw ich PGR-ów.

Pisząc te słowa przekonany jestem, że ten i ów kierownik gospodarstwa lub pracownik zespołu, kiedy je będzie czytał, z przekąsem powie:

„Ładni z tych ochotników współgospodarze skoro do roboty niejeden z nich się leni i trzeba go nieraz popędzać. Jacyż z nich współgospodarze, kiedy nawet drobnych spraw nie potrafią nieraz sami załatwić, lecz o wszystko bombardują kierownictwo i dyrekcję zespołu“. I na potwierdzenie tych słów gotów byłby przytoczyć całą furę nieodpartych faktów jak np. ten ze słynną dziurą w oknie stołówki we wspomnianym już Lubowie, którą to dziurę pokazywano wszystkim przedstawicielom władz, a nikomu nie starczyło na tyle dowcipu, aby ją po prostu zatkać szmatami i zabić kawałkiem deski. Z pewnością z każdego gospodarstwa można by przytoczyć po kilka podobnych przykładów niezaradności ochotników. Nie przeczę, że wśród nich obok ludzi świadomych i pełnych zapału do pracy zgłosili się i przypadkowi, którzy oprócz osobistych spraw niczego więcej nie widzą. Trudno jednak wymagać, aby do PGR-ów wyjechali w pełni dojrzały, świadomi, gotowi socjaliści. Pojechali tacy, jacy są w naszym społeczeństwie, jacy swoją pracą biorą udział w walce o nowy ład w naszym kraju, świadomi i mało rozwinięci politycznie, pracowici i leniwi, gotowi do poświęceń i szukający wygod, dobrzy i źli. Lecz prawie wszyscy przyjechali z dobrymi chęciami i zamiarami. I gdyby ci ludzie spotkali się

z właściwym stosunkiem do nich, gdyby potraktowano ich nie tylko jako siłę roboczą potrzebną do jesiennych robót, lecz jako współgospodarzy PGR-u, z którymi wspólnie trzeba będzie toczyć zaciętą walkę o podniesienie produkcji rolnej; gdyby wreszcie zamiast gromkich pokrzykiwań i ciągłego napędzania do roboty spotkali się z ciepłym zachęcającym słowem, z troskliwą opieką — z pewnością pracowaliby lepiej, bardziej wydajnie, z większym poczuciem obowiązku. Można się o tym doskonale przekonać na przykładzie gospodarstwa Smogóry tegoż zespołu

Niektórzy kierownicy gospodarstw oraz pracownicy zespołu żalili się w rozmowie ze mną, że pionierzy za dużo wymagają, że stale są niezadowoleni. Oczywiście niezadowolenie to ma różny charakter. Jedni są niezadowoleni z powodu małych zarobków — o co niejednokrotnie pretensje powinni zgłaszać do samych siebie, lecz bywa bardzo często tak, że niskie zarobki spowodowane są złą organizacją pracy, między innymi tym, że robotnika przerzuca się w ciągu jednego dnia do kilku, a nawet kilkunastu różnych zajęć.

Ale jest również wśród tych młodych ludzi niezadowolenie głębsze, wartościowsze, moim zdaniem twórcze. Jest to niezadowolenie z istniejącego stanu rzeczy w PGR. Słusznie narzeka młody Golmento, Dudek i Cezary z Radachowa na niskie zbiory zbóż. Niepokoją się, czy w przyszłym roku zbiorą przynajmniej po 15 kwintali żyta z hektara. W rozmowie ze mną solennie przyrzekli, że nawet przekroczą. Oby dotrzymali słowa. Słuszne niezadowolenie wywołuje u nich stałe psucie się maszyn i jakże często spotykany brak troski o mienie państwowe. Chwalebne jest ich oburzenie na obskurny wygląd budynków PGR-owskich, na wypadki przyorywania buraków lub innych upraw. To twórcze niezadowolenie może przerażać tylko tych ludzi, którzy nie dbają o rozwój PGR-ów. Dla ludzi pragnących dobra PGR-ów jest ono niewątpliwie pięknym świadectwem, jakie wstawiają sobie młodzi ochotnicy zaciągu. Bo rzeczywiście nikt zdrowo myślący nie może być zadowolony z obecnego stanu w zespole PGR Ośno, który gospodaruje na stosunkowo dobrej ziemi, a zbiera daleko za niskie plony.

Sądzę, że o tych sprawach dobrze byłoby porozmawiać ze wszystkimi robotnikami PGR-u i wspólnie naradzić się nad środkami polepszenia sytuacji w zespole. Należało by zapoznać robotników z planami gospodarczymi poszczególnych gospodarstw a nawet przed ułożeniem planów zasięgnąć ich rady. Mają oni wiele słusznych spostrzeżeń, uwag, śmiałych marzeń, którym należało by nadać realne kształty. Tadek Dudek od chwili przyjazdu do Radachowa marzy o sadzie PGR-owskim i bodajże mnie pierwszemu z tego się zwierzył. Golmento zastanawia się, jak doprowadzić do porządku zaniedbany park i osiągnąć z hektara przynajmniej 400 kwintali buraków, inni myśla o szerokiej mechanizacji różnych pracochłonnych robót i mają wiele przeróżnych pomysłów. Takie wspólne narady załóg PGR-ów przyczynią się niewątpliwie do podniesienia poczucia współodpowiedzialności wszystkich robotników za rozwój naszych gospodarstw socjalistycznych. Dla ochotników zaciągu miałyby te narady i takie znaczenie, że jeszcze bardziej związałyby się z życiem i pracą w PGR-ach.

Jeśli w ten sposób, jako współgospodarzy potraktuje się wszystkich robotników PGR-ów, jeśli wciągną oni zostaną do współdecydowania o losach gospodarstwa, jeśli plany PGR-ów staną się rzeczywiście ich własnymi planami, wtedy nie trzeba będzie ich nieraz popędzać do pracy metodami zgola nie socjalistycznymi — pokrzykiwaniami czy grożeniem. Pokrzykiwania i groźby nie mogą dać żadnych wyników, bezwzględnie trzeba je zastąpić mądrym, ciepłym słowem zachęty, troskliwym stosunkiem do ludzi, cierpliwym wyjaśnieniem im znaczenia ich pracy nie tylko dla danego gospodarstwa ale i dla całego narodu walczącego o rozkwit rolnictwa, jako jednej z ważnych rękoi podniesienia dobrobytu wszystkich ludzi pracy w naszym kraju. Niestety, o tej istotnej sprawie, o znaczeniu pracy nad podniesieniem produkcji rolnej, o zagadnieniach politycznych — w zespole PGR Ośno rozmawia z ludźmi jedynie organizator ZG ZMP i sekretarz organizacji partyjnej. Inni do polityki „nie mieszają się“, uważając niesłusznie, że wystarczy powiedzieć robotnikom: — to i to musicie zrobić, a jeśli nie zrobicie, no, to nie zarobicie. Takie postę-

powanie, takie niesłuszne oddzielanie zagadnień produkcyjnych od zagadnień politycznych i społecznych — to jaskrawy przykład złe pojętego kierownictwa i chęci rozwiązywania podstawowych, codziennych trudności przy pomocy metod czysto administracyjnych.

Potwierdza to również chociażby to, że prawie we wszystkich gospodarstwach nie ma życia świetlicowego. Co prawda pionierzy uprzętnęli sobie lokale na świetlice, lecz nie mają w nich najniezbędniejszego sprzętu. A dyrekcja zespołu do grudnia mroziła w banku przeznaczone na ten cel pieniądze. Również do grudnia nie było w zespole PGR Ośno pracownika kulturalno-oświatowego. (Administrowaniem nie zastąpi się braku kadr!). Organizacja ZMP także niedostatecznie zajęła się sprawą życia świetlicowego, ograniczając swoją działalność do zebrania o tematyce nie zawsze odpowiadającej potrzebom młodzieży. Dyrektor zespołu próbował usprawiedliwić brak życia świetlicowego nawałem pracy w polu oraz tym że młodzi napracowawszy się nie przyszliby do świetlicy. Przeczy temu jednak chociażby to, że młodzi z gospodarstw położonych bliżej Ośna chodzą co wieczór po 5—6 km do gminnej świetlicy w Ośnie, gdzie biorą udział w zespołach, grają w warcaby, bawią się, uczą się gry na fortepianie itp. Młodzież zaś w gospodarstwach bardziej odległych od Ośna skazana jest na przygniatającą nudę. Trudno niektórym ludziom zrozumieć tę oczywistą prawdę, że im człowiek więcej pracuje, tym lepszego i przyjemniejszego potrzebuje wypoczynku, rozrywki, zabawy.

Inną nieco sprawą lecz bardzo istotną w życiu ochotników zaciągu pionierskiego jest wybór przez nich zawodu i specjalizacji w różnych dziedzinach pracy na roli. Większość z nich, bo $\frac{3}{4}$, chce zostać albo traktorzystami albo księgowymi, kilku agronomami, a zaledwie sześciu w całym zespole wykazuje zainteresowania hodowlą.

Czemu należy przypisać ową jednokierunkowość wyboru zawodu? Wydaje się, że ci młodzi ludzie za mało znają rolnictwo, za mało mają pojęcia o różnych zawodach rolniczych. Tu w PGR-ze zetknęli się najbliższymi z zawodem traktorzysty i księgowego

i po prostu, jakby olśnieni tymi dwoma zawodami, niejednokrotnie bez przekonania mówią, że chcieliby je osiągnąć.

Sprawa ewentualnego wyboru zawodu i specjalizacji dla dziewcząt i chłopców, nie znających różnych dziedzin gospodarki rolnej, nie jest taka prosta, jak mniemają niektórzy pracownicy zespołu. Przecież ci młodzi ludzie nie słyszeli lub słyszeli bardzo mało o takich zawodach jak chlewnistrz, oborowy, dojarka, wyspecjalizowany pracownik fermy drobiu, pszczelarz i wiele innych bardzo ciekawych dziedzin pracy w rolnictwie.

Warto by przeto szerzej porozmawiać z nimi o tych zawodach, o sprawach rolnictwa, przedyskutować je na zebraniach zetem-powskich, na zajęciach świetlicowych. Trzeba im wykazać ogromne znaczenie różnych dziedzin pracy na roli dla podniesienia produkcji rolnej, ze zwróceniem szczególnej uwagi na pracę przy hodowli, od której młodzież na ogół ucieka.

Jeśli umiejętnie zapoznamy młodzież z wszystkimi dziedzinami pracy na roli, jeśli jej pokażemy ich wartość i znaczenie, wtedy nie będzie kłopotu, że wszyscy naraz chcą być księgowymi lub traktorzystami.



Raz jeszcze pragnę podkreślić, że zaciąg pionierski do PGR-ów to nie tylko zapewnienie im niezbędnych ludzi do pracy, lecz jednocześnie walka o nowe, socjalistyczne stosunki między ludźmi w PGR-ze o nieustanny wzrost produkcji rolnej, o to, żeby stały się one rzeczywiście przodującymi gospodarstwami rolnymi. A to jest możliwe tylko wtedy, jeśli załogi poczują się współodpowiedzialne za rozwój PGR-ów, jeśli wszyscy robotnicy poczują się pełnoprawnymi ich współgospodarzami. W tym kierunku powinny rozwinąć pracę wychowawczą organizacje ZMP w PGR-ach, władze PGR-ów powinny podjąć odpowiednie kroki, aby wytworzyć w PGR-ach sprzyjającą ku temu atmosferę. Wtedy można będzie mieć pewność, że PGR-y w niedługim czasie w pełni wykonają stojące przed nimi zadania zarówno w dziedzinie podniesienia produkcji rolnej, jak i silniejszego oddziaływania na wieś indywidualną i spółdzielnie produkcyjne.

O niektórych problemach pracy ZP z kołami w spółdzielniach produkcyjnych

Henryka Czech i Tadeusz Piotrowski
Instruktorzy wydziału wiejskiego ZW ZMP
w Rzeszowie

PRACUJĄC z instruktorami zarządów powiatowych i z aktywistami na terenie wsi rzeszowskiej można się spotkać na każdym kroku z niezrozumieniem specyfiki pracy naszej organizacji w gromadach uspołdzielczonych. Wskazówki zarządów powiatowych dla kół w spółdzielniach niejednokrotnie niczym nie różnią się od wskazówek przesyłanych kołom w gromadach indywidualnych. Dlatego są one nieżyłowe, oderwane od spraw, którymi żyje młodzież i niekiedy wprowadzają pracę kół w ślepy zaulek.

Wielu aktywistów uważa, że najważniejszym zadaniem koła w spółdzielni jest agitacja z wstąpieniem nowych członków, pokazywanie młodzieży, że spółdzielnia to większe zarobki, lżejsza praca (bo mechanizacja, to nawozy), wysoka kultura — czyli pokazuje się sprawy nie od razu i nie dla wszystkich spostrzegalne. Bo przecież założenie spółdzielni to dopiero początek przemian. A z początku często ani praca nie jest lżejsza, choć bardziej zmechanizowana, ani zarobki nie są większe, ani życie nie jest kulturalniejsze, dopóki spółdzielnia nie przełamie pierwszych trudności, nie zdobędzie rozmachu w pracy, nie zorganizuje się w sprawnie pracujący kolektyw. Tacy aktywiści każą młodzieży wierzyć w magiczną siłę samej zmiany charakteru gospodarki nie wskazując jednocześnie na konieczność rzetelnej, wytężonej pracy, aby te możliwości stały się rzeczywistością.

Wśród aktywu można także spotkać szereg błędnych teorii i uproszczeń, które prowadzą do zaniedbania pracy z kołami w spółdzielniach. Aparat ZP w Łańcucie uważa za najlepsze w powiecie koło ZMP w spółdzielni Dębno. Ocenia on bowiem jego pracę tylko po wynikach produkcyjnych spółdzielni, według udziału młodzieży w robocie, ilościach dniówek przez nią przepracowanych. Taka

ocena jest zawodna, bo nie bierze pod uwagę pracy wychowawczej, która nie jest w Dębnie przez koło ZMP prowadzona.

Inna znów „teoria” prowadzi do jeszcze gorszych skutków. Instancje tak długo — gorzej czy lepiej — opiekują się kołem w danej gromadzie i pomagają aktywowi, jak długo istnieje tam komitet założycielski. Gdy spółdzielnia już powstanie towarzysze uważają, że koło ma wtedy pełne możliwości rozwinięcia samodzielnej pracy i pozostawiają je własnemu losowi.

A ileż to nowych zadań staje właśnie wtedy przed kołem ZMP! Musi ono pomóc zarządowi spółdzielni w rozwiązywaniu takich trudnych spraw wewnętrznych kolektywu, jak walka o nowy, socjalistyczny stosunek do pracy, zaczynająca się zwykle od walki o „wychodzenie do roboty”, poprzez walkę o pracę „jak na swoim”, a nie jak „na folwarku”, aż do inicjowania i rozwijania pierwszych form współzawodnictwa i nowatorstwa. Musi ono wraz z aktywem partyjnym i społecznym walczyć o socjalistyczny stosunek członków do mienia spółdzielczego, zwalczać kradzieże, marnotrawstwo, niszczenie narzędzi i sprzętu; walczyć o zorganizowane formy oszczędności, o gospodarską zaradność i troskę o każdą rzecz spółdzielczą jak o własną. Musi wreszcie stać się siłą napędową życia kulturalnego i sportowego.

Błędy, o których mówiliśmy wyżej, są m. in. powodem tego, że koła ZMP w spółdzielniach nie wypełniają swych zadań. Przyjrzyjmy się przykładom. Spółdzielnia produkcyjna w Dachnowie należy do najstarszych w powiecie lubaczowskim. Jest to spółdzielnia - olbrzym. Ponad 1.200 ha areалу, ponad 110 członków i około 70 chłopców i dziewcząt we wsi, ale koło liczy tylko 22 członków. Najważniejszą sprawą dla dalszego rozwoju spółdzielni w Dachnowie jest zagadnienie jej

„odmłodzenia“. Niektórzy złośliwie nazywają ją „spółdzielnią starców“. (Jest to zresztą zjawisko o wiele szersze, wiążące się z tym, że w spółdzielniach znikomy procent młodzieży jest członkami statutowymi. W pow. lubaczowskim na 25 spółdzielni i 22 koła zetempowskie pracujące w nich, członkami statutowymi jest tylko 27 zetempowców. Mniej więcej 1 zetempowiec w jednej spółdzielni). W Dachnowie tylko jeden zetempowiec podpisał statut. Zetempowcy mówią: „Młody jestem, chcę mieć wolną rękę. Chcę iść do przemysłu, tam otrzymam miesięczną pensję, po robocie będę miał wolny czas, pójdę do kina, do teatru. A w spółdzielni wciąż robota i robota. Jedni wychodzą do niej, inni nie. Bałagan. A na domiar złego należność dają dopiero po bilansie, a w międzyczasie nie masz człowieku nawet na papierosy“. No i młodzież odchodzi do miasta. Niektórych od wstąpienia do spółdzielni odejąca rodzina a w wielu wypadkach i wróg Barbara Nowak, na przykład, pracuje w spółdzielni bardzo sumiennie, ale kiedy z nią rozmawiał przewodniczący zarządu koła, nie chciała podpisać statutu, bo... „różnie mówią, ja się boję“. Kolega Pacholek mówi to samo, choć prawie stale można go spotkać na spółdzielczych polach, no i żona jego pracuje w spółdzielni jako księgowa.

Ostatnio w Dachnowie 16 członków spółdzielni wyrzucono za bumelanctwo. Środki administracyjne jednak nie zapobiegają złu. Trzeba pracy uświadamiającej, trzeba stworzyć trzon spółdzielni — aktyw, któryby własnym przykładem pociągnął za sobą pozostałych spółdzielców. Do tego aktywu mogłaby należeć młodzież, gdyby swą przyszłość wiązała z przyszłością spółdzielni. Tymczasem koło ZMP w Dachnowie nie umie wiązać tych dwu spraw. Nie ma tam szkolenia rolniczego. Nie ma kółka nowatorów rolnictwa. A przecież w takiej spółdzielni jak Sanoczek (pow. Sanok) podobne problemy zostały już rozwiązane.

Spółdzielcy z Sanoczka niewłaściwie hodowali bydło. Złe je odżywiali i nie dbali należycie o warunki higieniczne. Razu pewnego, podczas wielkiego mrozu, pracujący w oborze spółdzielca, namówiony przez kula-

ków otworzył nocą okna i drzwi, aby przeźbić cały inwentarz. Koło ZMP omówiło ten wypadek na zebraniu i wystąpiło z wnioskiem do zarządu spółdzielni, aby zmienić dotychczasowy system dyzurów w oborze, który nie sprzyjał wytworzeniu się u spółdzielców poczucia odpowiedzialności za hodowlę i utworzyć stałą młodzieżową brygadę hodowlaną. Wniosek został przyjęty. Fakt ten przyczynił się do poważnego ożywienia pracy w kole. Odtąd zetempowcy wnikałi we wszystkie sprawy dotyczące życia i pracy w spółdzielni, zaczęli pogłębiać swą wiedzę rolniczą, a po pewnym czasie założyli poletko doświadczalne z ziemniakami zasadzonymi metodą kwadratową - gniazdowną. W ten sposób koło zgromadziło wokół siebie całą młodzież spółdzielni. Ale już od początku natrafiło ono na poważne trudności w pracy. Utworzona młodzieżowa brygada hodowlana ujawniała coraz to nowe braki w organizacji pracy, w normowaniu, w zaopatrzeniu obory. Z tymi sprawami zwracała się ona często do zarządu koła. Tu jeszcze przewodniczący spółdzielni starał się namówić członka tej brygady, by poszedł na kurs księgowych, gdyż „praca w oborze to nie dla młodzieży“. (Oto skutki „naszej“ propagandy, która ogranicza perspektywę rozwoju młodego człowieka w spółdzielni do zawodu agronoma, księgowego, nauczyciela, świetlicowego — zapominając o tak zaszczytnych tytułach jak: wysokokwalifikowany rolnik, nowator rolnictwa, młodziowiec). Sam zarząd koła nie potrafił rozwiązać wszystkich trudności. Instruktorzy ZP odpowiedzialni za gminę Sanok - Wiesz nie zainteresowali się tymi sprawami, nie udzielili kołu żadnej pomocy. Również Zarząd Wojewódzki nie docenił inicjatywy utworzenia młodzieżowej brygady hodowlanej, nie starał się jej upowszechnić, mało dbał o losy samej brygady. A więc przykład nie popartej wszechstronnie inicjatywy — nie popartej przez instancję powiatową i wojewódzką ZMP. A więc przykład świadczący o tym, że aparat nieraz nie dorasta do inicjatywy młodzieży.

Ale bywają również wypadki mówiące o tym, że koło, zarząd koła nie rozumie po-

(dokończenie na str. 61)

Nauka Miczurina i Łysenki i jej zastosowanie w praktyce

Mgr Wojciech Strzeszkowski Mgr Henryk Podedworny

PODSTAWĄ postępowej biologii stały się wielkie odkrycia Darwina, który udowodnił, że cały świat organiczny, roślinny, zwierzęta, a więc i człowiek — powstały w wyniku rozwoju trwającego miliony lat. Darwin wytłumaczył, w jaki sposób ten rozwój się odbywa. Wyjaśnił zagadnienie pochodzenia gatunków i powstawania różnych cech i właściwości organizmów.

Teoria Miczurina i Łysenki to dalsze twórcze rozwinięcie nauki Darwina. Zrodziła się ona w ostrej walce z różnego rodzaju wstecznymi, idealistycznymi kierunkami biologii z weismanizmem, mendelizmem i morganizmem.*)

Podstawę rozwoju w przyrodzie żywej, jak wiadomo, stanowi zmiana organizmów pod wpływem warunków życia i dziedziczenie nabytych przez nie cech.

Teza ta, udowodniona w praktyce, zadała śmiertelny cios teoriom burżuazyjnych biologów, szczególnie teoriom głoszonym przez Augusta Weismana, który twierdził, że dziedziczenie cech nabytych jest rzeczą niemożliwą. Tłumaczył to w ten sposób, że w organizmie znajduje się jakoby substancja dziedziczna plazmy zarodkowej**), niezależna od ciała, organizmu i warunków jego życia. Mimo zmiany tych warunków i zmian zachodzących w organizmie, substancja dziedziczna pozostaje niezmienna.

*) Nazwy te pochodzą od trzech burżuazyjnych biologów — Weismana, Mendla i Morgana.

**) Plazma zarodkowa — wewnętrzna treść komórki, w której znajduje się jądro. Przez podział plazmy zarodkowej powstaje nowa komórka.

Substancja ta nie rodzi się nigdy na nowo, lecz przechodzi z pokolenia na pokolenie. Żywe ciało według tej teorii stanowi jedynie pochwę, środowisko zawierające pokarmy dla wspomnianej nosicielki dziedziczności — „nieśmiertelnej nosicielki dziedziczności“. Ten idealistyczny punkt widzenia weismanizmu przyjęło wielu uczonych antydarwinistów. Fałszywy ten pogląd został z czasem pogłębiony jeszcze bardziej przez jego zwolenników, którzy usiłowali udowodnić, że człowiek nie może wpływać na zmianę właściwości organizmów roślinnych i zwierzęcych. Zmiany cech tych organizmów uzależnione są jedynie od specjalnej substancji dziedzicznej zwanej genami, na którą człowiek nie ma wpływu i nie może jej poznać ani wytłumaczyć.

A więc jedynie natura sama kształtuje i wytwarza nowe lepsze formy roślin i zwierząt.

Oczywiście, skoro pojawianie się nowych właściwości organizmów jest rzeczą przypadkową, to nie można mieć pretensji, aby w oparciu o naukę głoszącą podobne teorie można było poznawać prawa dziedziczności, zmienności i kierować rozwojem organizmów.

Zmiany cech i właściwości organizmów uzyskane pod wpływem warunków życia, które nagromadziła praktyka w odniesieniu do roślin i zwierząt, uznawane były za zjawiska nie dziedziczne. T. D. Łysenko mówi, że człowiek w takim razie musiałby wyczekiwać, aż np. między milionami roślin pojawi się taka, która będzie mieć jakąś cechę wartościową pod względem gospodarczym.

Bierność i bezpłodność burżuazyjnej biologii jest tu aż nadto widoczna, gdyż nie

znajduje ona zastosowania nawet w praktyce hodowlanej krajów kapitalistycznych.

Falszywe koncepcje i założenia nauki burżuazyjnej przeniesiono na społeczeństwo. Według niej ludzkie rasy, narody, klasy i inne ugrupowania społeczne różnią się pomiędzy sobą swoistymi właściwościami „substancji dziedziczności”. Stąd wyprowadzili późniejsi biologowie-rasiści teorie o wyższości biologicznej jednych ras ludzkich nad innymi.

Usiłowali oni w ten sposób uzasadnić wyższość rasy germańskiej, szczególnie w stosunku do słowian. Wiemy, jakim to miało służyć celom. Chodziło hitlerowcom o uzasadnienie konieczności podboju świata.

Obecnie w celu uzasadnienia swego dążenia do panowania nad światem posługują się tą teorią imperialiści amerykańscy.

MICZURIN — WIELKI PRZEOBRZICIEL PRZYRODY

W przeciwieństwie do mendelizmu i Morganizmu — głoszących podstawową zasadę o niepoznawalności przyczyn zmienności organizmów oraz zaprzeczenie możliwości nadania kierunku tym zmianom — Miczurin głosi: „Nie możemy czekać na dobrodziejstwa przyrody; brać je od niej — oto nasze zadanie”. To aktywne, rewolucyjne podejście najlepiej charakteryzuje metody tego wielkiego przeobraziciela przyrody, który umiał po mistrzowsku zmieniać organizmy roślinne w kierunku pożądanym przez człowieka.

Dzięki odkryciom Miczurina i jego kontynuatorów — wyhodowane zostały w ZSRR takie rośliny i zwierzęta, jakich nie było dotąd w przyrodzie. Przed Miczurin-

nem nie było takich gruszy; takich drzew z południowego klimatu jednocześnie odpornych na mróz, takich wspaniałych odmian jabłoni nie wymarzających podczas najsroższych zim itp.

W ciągu swego długiego życia Miczurin stworzył ponad 300 odmian rozmaitych roślin uprawnych.

Wielkim i zasadniczym celem życia Miczurina było przeniesienie uprawy wielu

cennych roślin — przeważnie drzew i krzewów owocowych — z południa na północ. Praktyka rolnicza przekonała Miczurina, że rośliny południowe, jak np. winną latorośl, brzoskwinie i morele można przenosić z południa na północ i doprowadzić do tego, aby się tam normalnie rozwijały i owocowały. Historia rolnictwa dawała jednak dowody, że proces ten trwał często kilkadziesiąt pokoleń.

Miczurin postanowił więc przyspieszyć rozwiązanie tego zagadnienia. W oparciu o wieloletnie badania, obserwacje i doświadczenia Miczurin stworzył naukę o kiero-

waniu rozwojem, zmiennością i życiem roślin, zgodnie z którą można przez oddziaływanie warunków życia zmieniać cechy i właściwości organizmów roślinnych, wpływać na powstawanie nowych cech i właściwości. Miczurin udowodnił wbrew twierdzeniom burżuazyjnych biologów, że zmiany nabyte przez rośliny, dzięki celowej działalności człowieka, są trwałe i dziedziczne.

Prawo dziedziczenia cech nabytych przez organizmy jest jedną z podstawowych zasad nauki Miczurina.



Iwan Władimirowicz Miczurin (1855—1935)

Wyhodowanie nowych form organizmów osiągnął Mieczurin przez krzyżowanie i wychowywanie mieszańców. Według Mieczurina krzyżowanie narusza stałość organizmu, czyni go podatnym i wrażliwym na wpływ warunków zewnętrznych. Mówimy o takich organizmach roślinnych, że posiadają rozchwianą dziedziczność. Zastosowanie do nich odpowiedniego racjonalnego wychowania prowadzi do utrwalenia u roślin zupełnie nowych, pożądanych przez nas właściwości.

Najłatwiej zmieniają się pod wpływem warunków zewnętrznych mieszańce powstałe ze skrzyżowania rodziców, którzy są do siebie najmniej podobni, albo też pochodzą z oddalonych od siebie krajów. A więc nie krzyżował Mieczurin Antonówki z Papierówką, bo obie te odmiany są pod względem botanicznym blisko spokrewnione. Doskonale zaś wyniki otrzymał np. ze skrzyżowania amerykańskiej odmiany Bellefleur z syberyjską dziką jabłonią śliwolistną. Są to rośliny zarówno botanicznie, jak i geograficznie odległe. Żadna z nich nie przywykła do warunków Mieczurińska*), toteż mieszańce są nieustalone i łatwe do pokierowania i przystosowania do nowych warunków glebowych i klimatycznych.

Mieczurin wykazał, że warunki życiowe potrafią zmienić naturę drzew jedynie tylko we wczesnym okresie życia odmiany, czyli w okresie tzw. stadialnej młodości. Potwierdzeniem tego jest jedno z doświadczeń przeprowadzonych przez Mieczurina.

*) Mieczurińsk — miasto, w którym pracował Mieczurin, nazwane od jego imienia.



Akademik Trofim Denisowicz Lysenko

Pewnego razu wziął małą siewkę jabłoni i rozdzielił ją na dwie części. Jedną posadził na urodzajnej, dobrze uprawionej glebie, drugą na zaniebanej murawie. Po kilkunastu latach obie wydały owoce. Na glebie uprawianej wyrosła szlachetna jabłoń o owocach smacznych, a na nieuprawionej murawie jabłoń dzika o owocach cierpkich i niedobrych. Mieczurin zaczął następnie pod obojną drzewami uprawiać glebę

w jednakowy sposób. Ale teraz już nie pomogło. Jedno drzewko pozostało szlachetne, drugie dzikie.

Wychowawcami roślin o rozchwianej dziedziczności mogą być nie tylko warunki zewnętrzne, jak temperatura, wilgoć, gleba i jej uprawa, ale i inne rośliny ustalone w swej dziedziczności, czego ciekawym przykładem jest metoda mentora. Np. mamy siewkę jabłoni, która da nam w przyszłości szlachetne owoce, ale nie posiada odporności na mróz. Mieczurin w koronę tej siewki wszczepia gałązkę dzikiej, odpornej na mróz jabłoni, która odgrywa tu rolę wychowawcy czyli

„mentora“. Oddziaływanie dzikiej jabłoni na siewkę trwa dwa lub trzy lata, po tym okresie można mentora wyciąć z korony.

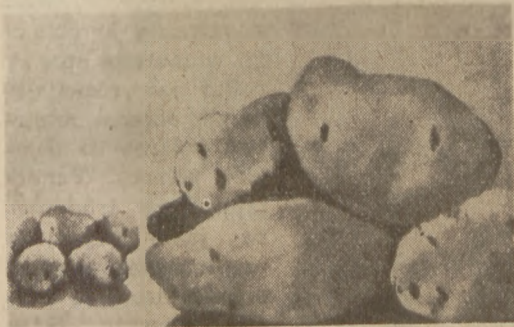
To wychowawcze oddziaływanie polega na wymianie substancji między siewką i dziczką, w wyniku czego siewka jabłoni uzyskuje właściwości podobne do cech dziczki, a więc odporność na mróz.

Swoje przebogate doświadczenie, jakie dała mu praca hodowcy nowych odmian, Mieczurin umiał uogólnić rozwinąć i wzbogacić przez materialistyczne ujęcie praw rozwoju żywej przyrody.

Dalszy rozwój i wspaniałe osiągnięcia radzieckiej biologii są nierozdzielnie związane z nazwiskiem akademika T. Łysenki, wybitnego radzieckiego biologa, genetyka i hodowcy.

Podstawową treścią określającą kierunek działalności Łysenki jest węzłowe zagadnienie nauki Miczurina „wychowywania roślin”.

„Nauka rolnicza — mówi Łysenko — musi poznać i wyjaśnić skomplikowane powiązanie praw biologicznych dotyczących rozwoju roślin i zwierząt. Jest to konieczne, aby w najlepszy sposób, przy tym z największym pożytkiem dla ludzi zapewnić potrzebne roślinom, niezbędne warunki życia i ochrony ich przed wszystkimi normal-



Akademik T. D. Łysenko wypracował sposób letniego sadzenia ziemniaków na południu. Sposób ten ma ogromne znaczenie gospodarcze. Z lewej strony — pięć bulw z plonu ziemniaka przy wiosennym sadzeniu. Z prawej — pięć bulw z plonu przy letnim sadzeniu.

nymi zarówno biologicznymi, jak i klimatycznymi kłękami.”

Agrobiologia poznaje coraz głębiej wpływ środowiska zewnętrznego na organizmy roślinne oraz wpływ procesów życiowych roślin na otoczenie po to, aby środowisko to uczynić jak najbardziej korzystnym dla tych właśnie roślin. Łysenko pogłębiając teoretyczną spuściznę Miczurina, sam wykrył szereg praw posiadających ogromne znaczenie dla dalszego rozwoju nauki oraz praktycznych osiągnięć produkcji rolnej

STADIALNY ROZWÓJ ROŚLIN

Akademik Łysenko wykazał, że rośliny jednoroczne, np. zboża, przechodzą w cią-

gu swego życia szereg charakterystycznych etapów, które nazywamy stadiami rozwojowymi, przy czym każde stadium wymaga pewnych określonych warunków zewnętrznych. Naszym zbożom w początkowym okresie potrzebny jest chłód. Np. pszenica ozima, żyto ozime w pierwszym stadium rozwoju (stadium jarowizacji) wymagają temperatury $+1^{\circ}$, $+2^{\circ}\text{C}$ i obojętnie odnoszą się do warunków oświetlenia. Stadium jarowizacji u różnych gatunków roślin i u różnych odmian tego samego gatunku np. u pszenicy trwa od 10—15 do 60—70 dni i więcej.

Po zakończeniu stadium jarowizacji roślina nabywa nowych cech. Łącznie z tym zmieniają się również wymagania roślin wobec warunków życia. Następuje drugie stadium rozwoju rośliny — stadium świetlne. Ozima pszenica potrzebuje wtedy podwyższonej temperatury (w stosunku do poprzedniego etapu) i długiego jasnego dnia.

Stadium świetlne polega na tym, że jedne rośliny do normalnego rozwoju potrzebują w ciągu określonego czasu dłuższego naświetlania, inne zaś krótszego. Rośliny południowe przystosowały się do dłuższych okresów ciemności w ciągu doby i tylko wtedy, gdy znajdują się w takich warunkach — kwitną i wydają nasiona. Do takich roślin należą np. chryzantemy. U nas chryzantemy zakwitają dopiero w jesieni, gdy dzień jest krótszy, a noc dłuższa. Pszenice natomiast uprawiane na północy, gdzie dzień latem jest długi, przechodzą stadium świetlne tylko wtedy, gdy przynajmniej w pewnym okresie ich życia są w ciągu doby oświetlone przez możliwie największą liczbę godzin. Stadia następują w ustalonej kolejności, najpierw stadium jarowizacji, a później stadium świetlne, nigdy odwrotnie. Zmiany stadialne są trwałe i nieodwracalne.

Poznanie i wykrycie przez Łysenkę stadiów rozwojowych posiada ogromne znaczenie praktyczne.

Są na przykład na Syberii ogromne polacie czarnoziemu, na których uprawa pszenicy napotykała na znaczne trudności. Gdy wysiewano pszenicę ozimą, a w czasie zimnych wichry zwiewały śnieg, pszenica wymarzała. Pszenica jara nie była wprowadzie

na to narażona, ale dojrzewa później niż pszenica ozima, a wtedy właśnie przychodzą gorące, suche wiatry, które nie pozwalają jej dojrzeć.

W oparciu o stadialny rozwój roślin Łysenko zastosował sztuczną jarowizację pszenic, która polega na tym, że niską temperaturę potrzebną zbożom na początku rozwoju, stwarza się dla nich sztucznie przed wysiewem. Zjarowizowanie pszenicy ozimej umożliwiło wysiew jej nie jesienią, lecz wiosną, w kwietniu. Sztucznie przebyty okres jarowizacji umożliwia pszenicy ozimej normalny rozwój przy zasiewie wiosennym, tak jak gdyby była zasiana jesienią. Zastosowanie również jarowizacji pszenicy jarej skracą jej okres wegetacyjny o kilka dni, co wystarcza, by dojrzała ona jeszcze przed wysuszającymi wiatrami, tzw. suchowiejami i dała znacznie wyższy plon ziarna z hektara.

W oparciu o teorię stadialnego rozwoju Łysenko wyjaśnił prawdziwe przyczyny wyradzania się ziemniaków na południu ZSRR.

Uprawa ziemniaków nie udawała się. Plony spadały gwałtownie z roku na rok. Łysenko podchodząc do sprawy od strony całego cyklu życiowego ziemniaka stwierdził, że zawiązywanie się kłębów przypadało w wysokiej stosunkowo temperaturze, której w tym stadium rozwoju ziemniak nie znosi — powoduje to drobnienie kłębów. Przesunięto więc termin sadzenia ziemniaków na południu z miesięcy wiosennych na letnie. Rezultat opóźnionego sadzenia był bardzo dobry. Plon wzrósł, wyradzanie się ziemniaków ustało. Odkrycie to umożliwiło szeroką uprawę ziemniaków w rejonach południowych.

Obecnie jarowizacja jest w Związku Radzieckim masowo stosowana w produkcji zbóż i należy dziś do niezbędnych zabiegów agrotechnicznych.

NIEKTÓRE OSIĄGNIĘCIA MICZURINOWCÓW RADZECKICH

W Związku Radzieckim omówione zasady agrobiologii zostały w całej pełni zastosowane w praktyce, przynosząc wspaniałe sukcesy socjalistycznej gospodarce rol-

nej. W wyniku rozwoju nauk agrobiologicznych uczeni radzieccy przystąpili do przeobrażania rolnictwa, wprowadzili do uprawy szereg cennych roślin nieuprawianych tam dotychczas, przesunęli uprawę zbóż i warzyw, jak również drzew owocowych daleko na północ w surowe warunki Syberii. Na Syberii, gdzie zimy są tak surowe, że nawet dzika tarnina nie może kwitnąć, rosną teraz całe wielkie sady jabłoni. Drzewa te prowadzone są w ten sposób, że ich bogato rozgałęzione korony ści-

lą się po ziemi. Takie drzewo przysypane śniegiem doskonale znosi syberyjskie mrozy.

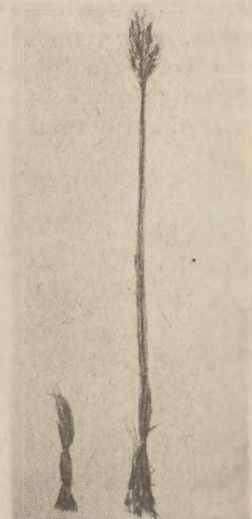
Najbardziej jednak charakterystycznym osiągnięciem agrobiologii w zakresie uprawy roślin jest rozwijające się obecnie rolnictwo polarne na dalekiej północy. Pamiętajmy, że trudności, na jakie napotykał tam człowiek przy uprawie ziemi, są bardzo poważne. Silne mrozy, bardzo krótkie lato, gleba błotnista, a przy tym pod płytką warstwą orną — ziemia wiecznie zmarznięta.

Burżuazyjni naukowcy twierdzili, że w

tych warunkach nie da się uprawiać w polu żadnych roślin, gdyż rośliny nie mogą pobierać wody z gleby o niskiej temperaturze. Agrobiologia zrodzona przez Wielką Rewolucję Październikową nie mogła zachować biernego stanowiska wobec tego zagadnienia. Na północ przybyli radzieccy uczeni i rozpoczęli prace doświadczalne.

Dziś rolnictwo i ogrodnictwo gruntowe zostało przesunięte o 3° szerokości w europejskiej i o 5° szerokości w azjatyckiej części ZSRR.

Obecnie nad Jenisejem na 70° szerokości istnieją kołchozy i sowchozy otrzymują-



Wiosenny siew pszenicy ozimej „Ukrainka”, z lewej strony z nasion niejarowizowanych, z prawej strony z nasion jarowizowanych. Rośliny pierwszego sнопka nie mogły przejść przez stadium jarowizacji i nie kłosiły się.

ce nieźle plony owsa, kapusty, marchwi i brukwi. W obwodzie Murmańskim uprawia się oprócz warzyw również ziemniaki, okopowe na paszę, owies, jęczmień, koniżynę i szereg traw. Wokół miast, takich jak: **Wierchojańsk**, leżący w najzimniejszym rejonie świata, **Salechard** — nad ujściem rzeki Ob, **Workute** — ostatnia stacja kolejowa na dalekiej północy — znajduje się dziś bardzo wiele indywidualnych ogródków warzywnych, zajmujących dziesiątki hektarów... Mieszkańcy tamtych stron mogą jeść świeże warzywa, nie wyłączając pomidorów i kalafiorów.



Cielęta w specjalnych „domkach chłodnego wychowu”.

Dzięki agrobiologii stworzono setki nowych odmian drzew i krzewów owocowych, wiele cennych odmian zbóż, ziemniaków, kukurydzy, słonecznika oleistego, rącznika itp. Dzięki agrobiologii przesunięto daleko na północ granice roślin południowych jak ryż, bawełna, herbata oraz drzew owocowych, jak brzoskwinie i morele; wprowadzono do uprawy nowe rośliny przemysłowe: włókniste, oleiste i gumodajne.

Przez skrupulatne poznawanie wymagań rośliny udało się agrobiologom zwiększyć plony kukurydzy, żyta i lucerny przez sztuczne ich zapylanie. Przekonano się bowiem, że im więcej pyłku trafia na kwiat i im pyłek ten jest bardziej rozmaity, tym więcej na kolbie kukurydzy powstaje dojrzałych ziaren i nie ma pustych lub „przestrzelonych” rzędów. Dlatego też jest rzeczą korzystną posypać kwiaty kukurydzy dodatkowo zebrany uprzednio z wielu kwiatów pyłkiem. Plon w wyniku zwiększonej pracy wzrasta od 4 do 5 q z ha.

Znaczne są również osiągnięcia agrobiologii w dziedzinie hodowli zwierząt. Dzięki agrobiologii powstały nowe, nieznane dotąd rasy zwierząt gospodarskich. Np. wyhodowana została niedawno w Związku Radzieckim rasa krów zwana kostromska. Są to wielkie zwierzęta wagi około 700 kg o wymiarach conajmniej trzykrotnie większych niż u znanych dotychczas krów, o przeciętnej wydajności mleka 6 000 l. rocznie, a od rekordzistek 16 000 l. Krowy te odznaczają się zdrowiem i siłą, mają większe płuca, żołądek itp. organa umożliwiające maksymalne wykorzystanie paszy.

Podobny przykład stanowi alatańska rasa bydła. Rasę tę otrzymano przez skrzyżowanie bydła kirgiskiego ze szlachetną rasą szwycą*). Rasa ta łączy w sobie wysoką mleczność szwyców z odpornością pierwotnej rasy kirgiskiej. Obecnie stado bydła alatańskiego liczy już kilkadziesiąt tysięcy sztuk.

W Związku Radzieckim znacznie podniesiono zdrowotność i wydajność zwierząt przez zastosowanie zimnego wychowu cieląt, okólnikowego wychowu świń, właściwej pielęgnacji i racjonalnego żywienia. Nowoczesne metody wychowu zwierząt gospodarskich przyczyniają się w znacznym stopniu do podniesienia hodowli na wyższy poziom i zwiększenia jej pogłowia.

Olbrzymi wzrost poziomu oświaty w Związku Radzieckim zbliżył naukę do szeregowych rzesz kolchoźników i pracowników sowchozów, dzięki czemu zdobycze nauki mogły być szybko wykorzystane w praktyce. Jeszcze większe znaczenie miało jednak to, że kolchoźnicy i pracownicy sowchozów zaczęli aktywnie oddziaływać na rozwój nowej socjalistycznej nauki rolniczej.

Doświadczenie praktyków, lekceważone przez dawną oficjalną naukę, stało się cenną podporą radzieckiej agrobiologii.

*) Szwycy — rasa bydła mięsno-mleczna, dająca około 4 tys. litrów mleka rocznie, o zawartości 3,8% tłuszczu, wyhodowana w Szwajcarii. W Szwajcarii nazywają tę rasę, bure bydło alpejskie“.

NIKTÓRE OSIĄGNIĘCIA MICZURINOWCÓW POLSKICH

Również i u nas coraz większego znaczenia nabiera wiązanie się naukowców z praktyką na odcinku uprawy roślin i hodowli zwierząt. Zależy nam bowiem na tym, by badania naszych naukowców szły jak najbardziej w kierunku podniesienia plonów pól spółdzielczych, PGR-owskich i chłopów gospodarujących indywidualnie.

W tym zakresie możemy poszczycić się pewnymi osiągnięciami. Agrobiologia zapuszcza w naszym kraju coraz głębsze korzenie.

Coraz częściej nasi uczeni pracujący w instytutach, laboratoriach i stacjach doświadczalnych stosują nowe miczurinowskie metody i coraz częściej słychać o ich konkretnych osiągnięciach. W oparciu o te metody pracownicy Instytutu Hodowli i Aklimatyzacji Roślin wyhodowali nową odmianę łubinu pastewnego, nie pękającego i pozbawionego goryczki. Łubin ten stanowi cenną paszę treściwą, można go wysiewać wcześniej na wiosnę, gdyż nie boi się przymrozków. W tym samym Instytucie stosując agrobiologiczne metody, wyhodowano nową odmianę żyta tzn. żyto uniwersalne, mniej wymagające, a zarazem lepiej obradające niż dotychczas uprawiane. Wyhodowano nową odmianę pszenicy „Przodownica“, wiele cennych odmian kukurydzy pastewnej jak „Przebądowska Bursztynowa“, nowe odmiany ziemniaków wczesnych jak „Unikat“. Zaaklimatyzowano u nas w kraju wiele cennych odmian roślin przemysłowych jak: dynia oleista, kapusta abisyńska, krokosz, rzodkiew oleista itp.

Polska nauka sadownicza może poszczycić się także już znacznymi osiągnięciami. Przede wszystkim za przykładem sadownictwa radzieckiego wprowadza się u nas sadzenie drzew niskopiennych. Posiadają one szereg cennych zalet, a więc: mniej marzną od wysokopiennych, wchodzą wcześniej w okres owocowania, są bardziej odporne na działanie wiatrów itp. Te zalety stanowią o tym, że sady niskopiennie są najbardziej produkcyjne.

Drugim poważnym osiągnięciem nauki i praktyki sadowniczej opartej na metodach miczurinowskich jest zmuszanie drzew do

corocznego owocowania przez chemiczne przerzedzanie kwiatów lub zawiązków w roku nadmiernego urodzaju.

Sadownicy nasi w oparciu o znajomość biologii szkodników opracowali skuteczne sposoby walki z kwiecakiem jabłkowcem, owocnicą żółtorogą, misecznikiem śliwowym, z mszycami itp. szkodnikami niszczącymi w niektóre lata całkowicie plony drzew owocowych.

W hodowli zwierząt nasza nauka notuje również poważne osiągnięcia. Wyhodowano bowiem doskonałą owcę górską, wełnistą-mleczną, przystosowaną do warunków górskich i dającą przeciętnie ponad 5 kg wełny wysokiego gatunku.

Wyhodowano nową rasę świń tzw. „puławską“ odznaczającą się szybkim przyrostem na wadze i osadzeniem dużej ilości tłuszczu oraz rasę „wielką białą polską“.

Za przykładem Związku Radzieckiego zastosowano u nas w praktyce zimny wychów cieląt, okólnikowy prosiąt, podwójne krycie macior dwoma knurami i wiele innych metod.

Wysokie plony roślin, udawanie się cennych a dotychczas w naszym kraju nie uprawianych roślin dobre rezultaty w hodowli bydła i trzody chlewnej stały się bodźcem do wzrostu zainteresowania się agrobiologią wśród praktyków. Rośnie u nas sieć miczurinowców, którzy na zjazdach, w prasie i przez radio szeroko omawiają swoje osiągnięcia w rolnictwie, uzyskane w oparciu o agrobiologiczne metody. Jednym z takich jest Władysław Kalinowski ze wsi Mrozy w powiecie Mińsk Mazowiecki, który prowadząc przez wiele lat żmudne doświadczenia uzyskał już wiele bardzo dobrych wyników. Są to piękne kawony wyhodowane w gruncie, ryż dojrzewający w suchej uprawie polowej i wiele innych.

Cenne prace prowadzi również Paweł Kołtun ze wsi Wolawce pow. Chełm Lubelski. Podjął on próbę aklimatyzowania końskiego zęba, którego nasiona sprowadzane były przed wojną z zagranicy, gdyż w Polsce koński zęb nie dojrzewał. Staranna praca oparta na wnikliwej obserwacji dała po kilku latach dobre wyniki. Obecnie Kołtun uzyskuje z ha powyżej 50 q ziarna końskiego

(dokończenie na str. 54)

Neomaltuzjanizm — ludobójcza teoria amerykańskiego imperializmu

Michał Pirko

CAŁA nadbudowa współczesnego kapitalizmu broni interesów i panowania imperialistycznej burżuazji. Wszystkie teorie filozoficzne, socjologiczne, a także wojenne i inne, wszystkie powołane przez monopole instytucje polityczne, religijne, wojskowe itp. — stawiają sobie za cel ratowanie gnijącego, nekłego wewnętrznymi sprzecznościami systemu imperialistycznego oraz usprawiedliwienie imperialistycznych wojen.

Imperialiści amerykańscy oraz ich satelici przywiązują dużą wagę do zagadnienia ideologicznego przygotowania wojny. Jawny terror, więzienia i obozy koncentracyjne, likwidacja swobód burżuazyjno-demokratycznych, prześladowania i zamachy na przywódców klasy robotniczej — to tylko jedna strona medalu w przygotowaniu odpowiedniego zaplecza do nowej pozoji wojennej. Drugą stroną medalu jest ideologiczne urobienie własnego narodu i innych narodów za pomocą bardzo różnorodnych „środków ideologicznych“.

Stany Zjednoczone, jako kraj klasycznego panowania monopolistów i trustów, stały się ośrodkiem międzynarodowej reakcji; stały się także ośrodkiem wszystkich antynaukowych koncepcji i narkotyków ideologicznych imperialistycznej burżuazji; stały się wreszcie głównym ośrodkiem obskurantyzmu w nauce, ośrodkiem walki z jedyną, opartą na obiektywnych prawach rozwoju przyrody i społeczeństwa nauką — z marksizmem-leninizmem. Stany Zjednoczone są nie tylko głównym ideologicznym ośrodkiem reakcji, lecz także głównym ośrodkiem organizacyjnym, skąd rozchodzą się wszystkie reakcyjne teorie.

Ważną pozycję w arsenale apologetów imperializmu zajmuje neomaltuzjanizm. Angielski obskurant, ksiądz Malthus, w

okresie dokonującego się przewrotu przemysłowego w Anglii na przełomie XVIII i XIX wieku, twierdził, że w myśl działającego w społeczeństwie „naturalnego prawa“ ludność rośnie w postępie geometrycznym (1.2.4.8.16.32), a środki żywności tylko w postępie arytmetycznym (1.2.3.4.5.6.), na skutek czego na kuli ziemskiej zaistniało absolutne przeludnienie. Według teorii Malthusa odpowiedzialność za głód ponoszą nie kapitaliści, lecz masy pracujące, które sobie pozwalają na taką lekkomyślność (!) jak rodzenie nadmiernej ilości dzieci. Jedynie wyjście z tej sytuacji widzi Malthus w gwałtownym zmniejszeniu przyrostu naturalnego. Choroby, głód i wojny Malthus zalicza do czynników działających szlachetnie na ludzkość, gdyż hamują one „proces przeludnienia“.

Klasycy marksizmu-leninizmu ostro i bezkompromisowo rozprawili się z ludozerczą teorią księdza Malthusa. Wykazali oni treść klasową i antyhumanitarny charakter maltuzjanizmu. Udowodnili, że nie istnieje żadne „prawo przeludnienia“ w żadnym ustroju, że „teoria“ — jakoby ludność rosła szybciej niż możliwości jej żywienia — jest zwykłą brednią antynaukową. Udowodnili, że nędza, głód i inne nieszczęścia, spadające na masy pracujące w krajach kapitalistycznych, nie są następstwem nieistniejącego, naturalnego i wiecznego „prawa przeludnienia“, lecz następstwem kapitalistycznego sposobu produkcji. Kto usiłuje wytłumaczyć przyczyny nędzy klasy robotniczej tym, że przyroda zmniejsza swe dary — ten staje się apologetą burżuazji.

Dzisiaj tę wyświechtaną teorię maltuzjanizmu kultuwują i propagują amerykańscy burżuazyjni ideologowie oraz usłużni najemnicy imperializmu amerykańskiego.

Amerykańscy burżuazyjni ideologowie, którzy z resztą nigdy nie grzeszyli oryginalnością, pochwycili malthusowską „ewangalię” o absolutnym przeludnieniu kuli ziemskiej. Usiłują oni przy pomocy fabrykowanych obliczeń dowieść, że z powodu rzekomego zmniejszenia się urodzajności gleby nie można — niezależnie od poziomu techniki — wyżywić wzrastającej liczby ludności; że najgroźniejsza obecnie na świecie siła — to niepowstrzymany wzrost liczby urodzeń, z czego wyciągają potrzebny im wniosek, że trzeba wszelkimi metodami, za wszelką cenę zmniejszyć forsownie stan ludności.

Wśród licznej zgrai zajadłych neomaltuzjanistów szczególnie ludożerczy jest amerykański „uczony” Vogt. W swej broszurze pt. „Droga ratunku” — w oparciu o dane ilustrujące rzeczywiste zmniejszenie się wydajności ziemi w świecie kapitalistycznym, na skutek panujących tam stosunków społecznych — wysuwa on wniosek, że rzekomo w myśl „wiecznego prawa” przyrody gleba jałowiej i jest coraz mniej wydajna. Przeto winę za głód i nędzę nie ponoszą wyzyskiwacze, lecz właśnie „prawo” przyrody. Mówiąc o nieszczęściu przeludnienia powiada: „sytuacja, w jakiej się ludzkość znalazła, podobna jest do tej, kiedy człowiek zmuszony jest nosić buty o dwa numery mniejsze, aniżeli potrzebuje”.

Radzi on zatem zlikwidować miliony ludzi i sprowadzić liczbę ludności świata z 2,3 miliarda do 700 milionów. W pierwszym rzędzie radzi on unicestwić miliony ludzi w Związku Radzieckim i w krajach demokracji ludowej. Ponadto ubolewa nad tym, że dużo jest zbędnych ludzi w Indiach i w innych krajach kolonialnych i zależnych. Ością w gardle są również dla niego 600-milionowe Chiny Ludowe. Z cynizmem ludobójcy powiada, że „głód w Chinach jest nie tylko wskazany, ale konieczny”, to „największą tragedią dla Chin jest zmniejszenie śmiertelności”. Tymczasem rzeczywistość wykazała, że po 5 latach władzy ludowej Chiny nie tylko zlikwidowały groźbę głodu, lecz eksportują do Indii i innych krajów ryż, ratując je od głodu.

Ideologowie imperializmu amerykańskiego Vogt, Russel i inni twierdzą dalej, że przy likwidacji nadmiaru ludności nie należy brać w rachubę ludzi rasy „wyższej” — anglosaskiej, gdyż tylko jej należy się przestrzeń życiowa. Usiłują oni również wykazać, że walka między rasą „wyższą” a rasą „niższą” jest następstwem rzekomego przeludnienia, a stąd wyniszczenie „niższej” rasy leży w interesie cywilizacji, której rzekomymi twórcami są jedynie anglosasi.

W miarę wzrostu awanturniczej polityki imperializmu amerykańskiego, ci pseudo-naukowcy coraz usilniej propagują użycie bomby atomowej, która według nich jest „odповідzią przyrody na naszą niechęć do zmniejszenia przyrostu naturalnego”. Jednocześnie nie gardzą takimi „środkami pomocniczymi” dla uśmiercenia ⅓ ludności kuli ziemskiej jak dżuma, cholera, tyfus itp.

Głównym punktem wyjścia dla współczesnych maltuzjanistów są fakty masowego głodu, występującego ze szczególną siłą w krajach kolonialnych i zależnych. W Indiach co roku umiera z głodu 700 tysięcy ludzi. W Afryce 57% murzynów umiera — przeważnie z wygłodzenia — przed 15 rokiem życia. W niektórych prowincjach Ekwadoru śmiertelność dzieci na skutek głodu przewyższa 70%. W płn. - zachodniej części Argentyny umiera 335 dzieci na każde 1000. Z tych, co przeżyją, 80% choruje z chronicznego niedojadania. Tych faktów masowego głodu stanowiących główny materiał dowodowy neomaltuzjanistów, bynajmniej nie można wyjaśnić „naturalnym prawem” absolutnego przeludnienia. Głód to zjawisko społeczne ściśle związane z panującymi stosunkami społecznymi, a powstające dlatego, że w świecie kapitalistycznym milionowe masy chłopstwa wyzute są z ziemi.

W Ameryce Łacińskiej 85% ludności wiejskiej składa się z proletariatu i półproletariatu wiejskiego oraz małorolnych chłopów — w znacznej mierze dzierżawców. W Indiach bezrolni chłopci wraz z rodzinami stanowią ⅓ ludności. W Afryce kapitalistyczni plantatorzy wywłaszczyli chłopów murzyńskich zajmując najlepsze

połacie ziemi. W Kenii do nich należy 40% ziemi uprawnej, w Płn. Rodezji — 65%. Czynsze dzierżawne wynoszą od 50% zbiorów w zwyż. Niewiele lepsza jest sytuacja chłopów we Włoszech, gdzie o ziemię walczą miliony bezrolnych; we Francji, gdzie setki tysięcy chłopów płacą rentę za dzierżawioną ziemię w wysokości 50% zbiorów; w Stanach Zjednoczonych, gdzie corocznie opuszczają swą ziemię dziesiątki tysięcy farmerów rugowanych przez gospodarstwa kapitalistyczne, przez monopole.

Systematyczny niedobór żywności jest nie tylko ściśle związany z gospodarką opartą na kapitalistycznym lub feudalnym (w krajach zacofanych) wyzysku, stosowanym przez rodzimych wyzyskiwaczy, lecz również z wyzyskiem kapitału zagranicznego. Tak np. monopole amerykańskie, żerując na zacofaniu krajów przez siebie opatrowanych, żerując na głodzie i śmierci milionów, sprzedają tym państwom po wygórowanych cenach zboże, ryż, mięso i inne produkty żywnościowe. Ciekawe pod tym względem są cyfry ilustrujące stosunki handlowe między Ameryką Łacińską a Stanami Zjednoczonymi. Ameryka Łacińska kupuje dziś w USA 6 razy więcej pszenicy niż przed wojną, płacąc za nią 19 razy drożej; kupuje 2,5 razy więcej mięsa, płacąc 6,5 razy drożej itd.

Jest rzeczą zrozumiałą, że chłopstwo wginające się pod brzemieniem ucisku rodzimych wyzyskiwaczy oraz imperialistów zagranicznych nie posiada środków zwiększenia wydajności swej gospodarki. Ziemia chłopska uprawiana prymitywnie, bez żadnych nakładów, bez uwzględnienia najelementarniejszych wymagań agrotechnicznych, zmniejsza swą wydajność — wyczerpuje się. W tym właśnie leży odpowiedź na pseudonaukowe brednie Vogta i jemu podobnych „o spadającej wydajności gleby“. To właśnie wyjaśnia dlaczego np. w Indiach w latach 1948—51 zbiory pszenicy z ha były o 24,7% mniejsze aniżeli w latach 1909—1913, dlaczego produkcja żywności na jednego mieszkańca w krajach kapitalistycznych Azji była w 1951 — 52 o 14% niższa od poziomu produkcji w latach 1934 — 1938. Setki milionów ludzi cierpią więc głód, nie dlatego że są „zbędni“, lecz

dlatego jedynie, że na skutek panujących w świecie kapitalistycznym stosunków społecznych produkcja żywności nie jest rozwinięta w całej pełni, albowiem decyduje tam zasada „wytwarzać nie taką ilość żywności, jaka jest niezbędna dla zaspokojenia potrzeb ludzkich, lecz taką, jaką można sprzedać z maksymalnym zyskiem“.

Dawno już udowodniono, że dzisiejszy poziom rozwoju nauki i techniki umożliwia według naukowo uzasadnionych norm — wyżywienie liczby ludzi znacznie przekraczającej sumę ludności naszej kuli ziemskiej. Chodzi tylko o to, by olbrzymi potencjał przemysłowy, którym rozporządza świat kapitalistyczny, przestawić z torów produkcji uzbrojenia na tory obsługi rolnictwa. Do jakich wyników można dojść, jeżeli współczesna technika i wiedza wykorzystana jest dla dobra ludzi, dla celów zwiększenia produkcji rolnej — dobitnie świadczy przykład Związku Radzieckiego.

W Związku Radzieckim istnieje obecnie ponad 9 tysięcy ośrodków maszynowo-traktorowych posiadających przeszło milion traktorów (w przeliczeniu na traktory o mocy 15 KM), 270 tysięcy kombajnów zbożowych, 450 tysięcy siewników ciągnikowych i mnóstwo innych wspaniałych maszyn rolniczych. A jak wspaniałe sprzęt techniczny posiada ponad 4700 sowchozów! Stosowana w rolnictwie przodująca, radziecka agro- i zootechnika daje wspaniałe wyniki. Tak np. kolchoz im. Kirowa w kraju Krasnodarskim uzyskał w r.ub. na obszarze 6 tysięcy ha po 23 kwintale pszenicy ozimej z hektara. W innym kolchozie zebrano po 602 kwintale kapusty z hektara. W 1953 r. wzrosło w Kraju Rad pogłowie bydła rogatego o 11,3 mln sztuk w porównaniu z 1945 r. świń — o 25,1 mln sztuk, owiec — o 53,9 mln sztuk. Stosując przodujące metody hodowli kolchoznicy osiągają wysokie przeciętne udoju, dochodzące w niektórych wypadkach do 14 tysięcy litrów rocznie od krowy. Nowe miliony kwintali zboża ludzie radzieccy uzyskują na skutek zagospodarowania wielu milionów hektarów ziem nowych i dotychczas nieuprawianych.

Wszystkie te osiągnięcia oraz osiągnię-

cia krajów demokracji ludowej w dobitny i druzgocący sposób udowadniają pseudonaukowość bredni neomaltuzjańskich, z jaskrawą siłą demaskują ich ludobójczą i klasową treść.

*

Neomaltuzjanizm jest jedną z form przygotowania kapitalistycznego zaplecza do nowej wojny. Przy pomocy tej teorii imperialiści chcą wytłumaczyć i usprawiedliwić głód i nędzę mas pracujących oraz osłabić ich walkę z wyzyskiem. Przy jej pomocy chcą pogłębić wyzysk ludów kolonialnych i zależnych oraz osłabić wzmagającą się z każdym dniem ich walkę przeciw imperialistycznemu grabieżcom i rodzimym wyzyskiwaczom. Teoria ta potrzebna jest i po to, ażeby usprawiedliwić dokonywane obecnie mordy na narodach kolonialnych i zależnych. Neomaltuzjanizm służy wreszcie imperialistom do tego, by usprawiedliwić przygotowania wojenne, gdyż wojna, według neomaltuzjanizmu jest rzekomo następstwem pogłębiającej się dysproporcji między nadmierną ilością lu-

dzi a zmniejszającym się zasobem środków spożycia.

Rozpowszechnienie maltuzjanizmu oraz innych antynaukowych teorii w Ameryce i Anglii jest dobitnym wyrazem tego, jak nisko upadła nauka i kultura w krajach kapitalistycznych, jest wyrazem marazmu całej współczesnej nauki burżuazyjnej, która służąc imperializmowi amerykańskiemu usprawiedliwia jego krwiożercze plany panowania nad światem.

Przeciwieństwem ludobójczej ideologii imperializmu w góle, a neomaltuzjanizmu w szczególności, jest socjalistyczna ideologia, ideologia świadomych budowniczych komunizmu w Związku Radzieckim i świadomych budowniczych socjalizmu w krajach demokracji ludowej. Budowniczo- wie socjalizmu i komunizmu kierują się w przeciwieństwie do imperialistów i ich ideologów, troską o człowieka, pamiętając, że podstawowym prawem socjalizmu jest maksymalne zaspokojenie stale wzrastających potrzeb materialnych i kulturalnych ludzi pracy.

Nauka Miczurina i Łysenki...

(dokończenie ze str. 50)

go zębu. Wychodowany przez niego koński ząb osadza po 4 kaczany na roślinie. Spółdzielnie produkcyjne w woj. zachodnich, którym Kołtun przesłał nasiona końskiego zębu swojej hodowli, uzyskały również dobre plony.

Miczurinowiec Pasternak ze wsi Babica (k/Rzeszowa) wychodował również cenną odmianę kukurydzy pastewnej, odznaczającą się wysoką zawartością białka i dającą wysoki plon z ha — około 70 q ziarna.

Doświadczenia o dużej wartości oraz wyniki przy rozmnażaniu drzew szlachetnych z nasion uzyskał sadownik miczurinowiec Rafał Urban z Głogówka Śląskiego, pow. Prudnik. Stosując miczurinowskie metody hodowli oraz odpowiednią uprawę, staranną selekcję pod kątem żywotności drzew, ich corocznego owocowania, odporności na choroby i szkodniki, mrozy i wiatry — uzyskał Urban wartościowy materiał do

dalszych prac zmierzających do rozpoczęcia rozmnażania drzew szlachetnych przez wysiew nasion.

Ruch miczurinowski w Polsce objął już tysiące gromad. W blisko 1100 kołach miczurinowskich przodujący chłopci, członkowie spółdzielni produkcyjnych, robotnicy PGR i indywidualni gospodarze pracują nad zwiększeniem plonów roślin oraz wydajnością zwierząt gospodarskich. Kołom miczurinowskim przychodzą z pomocą Instytuty Rolnicze, które przekazują im swój dorobek naukowy, udzielają fachowych porad i służą pomocą w postaci dostarczania cennych nasion itp. Prowadzone przez koła miczurinowskie doświadczenia są przedłużeniem pracy badawczej instytutów rolniczych w terenie.

Cokolwiek byśmy powiedzieli na temat agrobiologii to musimy pamiętać, że ogromne osiągnięcia tej młodej nauki — to dopiero początek, że otwiera ona wielkie perspektywy przed rolnictwem i hodowlą na przyszłość.

Remilitaryzacja Niemiec zachodnich stwarza nową sytuację w Europie

Bolesław Ryzacher

REMILITARYZACJA Niemiec zachodnich, usankcjonowana układami paryskimi, w znacznym stopniu skomplikuje całą sytuację w Europie i podważy możliwość uregulowania nierozwiązanych problemów europejskich, a przede wszystkim problemu niemieckiego. Ratyfikacja i wprowadzenie w życie układów paryskich o odbudowie Wehrmachtu, wzmagając niebezpieczeństwo wojny, stanowić będą zagrożenie bezpieczeństwa narodowego miłujących pokój państw Europy, a zwłaszcza państw sąsiadujących z Niemcami.

Taki jest niewątpliwý wniosek wypływający z analizy sytuacji europejskiej, jeśli założymy, że układy paryskie, podpisane w dniu 23 października 1954 roku zostaną ratyfikowane i wprowadzone w życie. Zastanówmy się, jaki zaistniałby wówczas układ sił.

W centrum Europy powstanie — w myśl układów paryskich — armia zachodnio-niemiecka. Na czele tej armii staną ci sami ludzie, którzy dowodzili armią Hitlera — poczynając od generałów, a na młodszych oficerach kończąc. W skład korpusów oficerskiego i podoficerskiego wejdą ci sami ludzie, którzy w szeregach hitlerowskiego Wehrmachtu i formacji SS poszli na podbój (i na rozbój) Europy, którzy walili krwią milionów Francję i Związek Radziecki, Polskę i Belgię, Czechosłowację i Grecję, Holandię i Jugosławię.

Armia ta ma być „ograniczona” do 520.000 żołnierzy. W marcu 1935 r. armia hitlerowskiej Trzeciej Rzeszy liczyła „tylko” 100.000 żołnierzy, do tej liczby „ograniczył” ją traktat wersalski. Już w pięć miesięcy później ta sama armia liczyła ponad 700 tysięcy żołnierzy, przeszkolonych w różnego rodzaju organizacjach paramilitarnych. Armia bońska ma mieć pięć razy „lepszy start” od armii hitlerowskiej. Istnieją już organizacje, szkolące żołnierzy linowych — do tego celu służy np. tzw. „Grenzschutz”, o którym już obecnie mowa, że ma być w najbliższym czasie poważnie rozbudowany. Formacja ta — teoretycznie mająca być czymś

w rodzaju oddziałów ochrony pogranicza — niczym nie różni się od normalnej armii. Przemawiając niedawno w Bundestagu, gen. von Manteuffel domagał się utworzenia „Landwehry” — innej organizacji militarnej, która objęłaby szkoleniem wojskowym wszystkich mężczyzn zdolnych do noszenia broni. Wreszcie, w tajnych rozmowach amerykańsko-bońskich ustalono, że armia zachodnio-niemiecka ma posiadać nie tylko 12 dywizji przewidzianych w układach paryskich, ale również 24 dywizje rezerwy. W planach przewiduje się dalszą rozbudowę tej armii do 60 dywizji.

Na konferencji prasowej, zorganizowanej w parę dni po podpisaniu układów paryskich, minister wojny rządu bońskiego, Teodor Blank oświadczył, że armia zachodnio-niemiecka będzie „najnowocześniejszą uzbrojoną armią w Europie zachodniej” i tym samym stanie się w niej „armią najsilniejszą”, posiadającą „największe rezerwy przeszkolonych żołnierzy”. W myśl układów paryskich, armia zachodnio-niemiecka ma posiadać najnowocześniejsze lotnictwo, złożone „na początek” z ok. 1300 samolotów, ma posiadać flotę wojenną. Układy paryskie „zakazują” co prawda Niemcom zachodnim produkcji tzw. broni A, B, C, tzn. broni atomowych, bakteriologicznych i chemicznych. Ale na ostatnim posiedzeniu rady paktu atlantyckiego w Paryżu postanowiono, że armie krajów „atlantyckich” mają otrzymać uzbrojenie atomowe. W myśl zaś układów paryskich, armia zachodnio-niemiecka ma należeć do „sił NATO”, tzn. paktu atlantyckiego, a więc tym samym otrzyma broń atomową. Podobnie jak inne „armie NATO”, armia adenauerowska otrzyma broń bakteriologiczną i chemiczną.

Podobnie jest z przemysłem zachodnio-niemieckim, na który oficjalnie nałożono ograniczenia, jeśli chodzi o produkcję pewnych typów uzbrojenia. Ale, jak doniosła niedawno prasa, firmy zachodnio-niemieckie prowadzą, a pierwsze prototypy samolotów przeprowadziły już loty próbne. Oczywiście nikt nie zabroni dostarcza-

nia wyprodukowanych w niemieckich zakładach na terenie hiszpańskim samolotów do Niemiec zachodnich. Podobnie przedstawiać się będzie sprawa z innymi „ograniczeniami”.

Układy paryskie przewidują rzekome „gwarancje” przeciwko odrodzeniu militarizmu niemieckiego. Jedną z najważniejszych gwarancji jest zobowiązanie Wielkiej Brytanii do stacjonowania na terytorium Europy Zachodniej aż... 4 dywizji wojsk lądowych i pewnej, bardzo ograniczonej, ilości samolotów. Zobowiązanie to byłoby naprawdę śmieszne, gdyby nie kryła się za nim tragiczna próba oszukania opinii publicznej. Jakież znaczenie mogą mieć cztery dywizje wobec co najmniej półmilionowej, po zęby uzbrojonej armii?

Krótko mówiąc, wszelkie „gwarancje” i „ograniczenia” wobec zachodnio-niemieckiej armii mają jedynie znaczenie piasku, którym zwolennicy odbudowy niemieckiego imperializmu usiłowali rzucić w oczy opinii publicznej. W istocie, ratyfikacja i wprowadzenie w życie układów paryskich oznaczają powstanie w sercu Europy niczym w praktyce nie ograniczonej odwetowej armii, która stać się ma w ręku międzynarodowej reakcji narzędziem agresji przeciwko pokój miłującym narodom Europy i narzędziem szantażu i nacisku na kraje zachodnio-europejskie. Nowy Wehrmacht ma stać się zandarmem Europy.

Przemawiając w czasie niedawnej debaty ratyfikacyjnej w bońskim parlamencie, Adenauer powiedział: „Niemiecka Republika Związkowa jest następczynią Rzeszy Niemieckiej w granicach sprzed 31 grudnia 1937 roku”. Tak więc Adenauer, już dziś oficjalnie, zgłasza pretensje do Polskich Ziem Zachodnich, do Mazur i do Kaliningradu. Jego apetyty są jednak jeszcze większe i nie ograniczają się do Europy Wschodniej. Przy innej okazji boński kanclerz oświadczył: „Europa zostanie utworzona (tzn. zostanie utworzona tzw. Unia Zachodnio-Europejska — B. R.). Kiedy to się stanie, będziemy mogli dać naszej młodzieży warunki ekspansji politycznej, gospodarczej i kulturalnej. Bez tej przestrzeni życiowej, młodzież nasza nie mogłaby zaznać szczęśliwych dni”. Czyż nie brzmi to jak cytaty z podręcznika zbrodni przeciwko ludzkości, „Mein Kampf” Hitlera? Mowa nawet o „Lebensraumie” dla Niemiec, w imię zdobycia którego Hitler wymordował dziesiątki milionów mieszkańców Europy. Boński minister wojny, Blank, postawił sprawę bodaj jeszcze jaśniej, wskazując

przyszłemu Wehrmachtowi kierunek: „Jeśli przyszła armia niemiecka, licząca 520 tysięcy ludzi, nie wystarczy, aby stawić czoła Rosjanom, to będzie ona mogła przynajmniej spełnić swe zadanie wobec strony francuskiej”.

Tak więc, odrodzony Wehrmacht, wchodzący w skład tzw. Unii Zachodnio-Europejskiej i paktu atlantyckiego, stanowi realną groźbę dla wszystkich krajów Europy. Co więcej, imperializm niemiecki ma nadzieję posłużyć się armiami innych krajów zachodnio-europejskich dla swych własnych ekspansjonistycznych i odwetowych celów. Stworzenie — oczywiście pod hegemonią Niemiec — militarnego paktu szeregu krajów europejskich, zwróconego przeciwko innym krajom Europy, jest starym marzeniem imperialistów niemieckich. Jest ucieleśnieniem hitlerowskich snów o „Neuordnung in Europa”, o „nowym porządku w Europie”, realizowanym obecnie przez kontynuatorów myśli „fuehrera”. Przemawiając w debacie ratyfikacyjnej w parlamencie francuskim, generał Aumeran powiedział: „Żąda się od nas, abyśmy zaaprobowali nie politykę francuską, ani nawet amerykańską, lecz politykę pana Dullesa. Polega ona na odrzuceniu układów z Jałty i Poczdamu i skupieniu mocarstw zachodnich wokół silnych ekonomicznie i wojskowo Niemiec zachodnich. Inspiratorem tej polityki jest podsekretarz stanu spraw zagranicznych Bonn, Hallstein”.

Tak więc jest rzeczą jasną dla każdego, że zremilitaryzowanie Niemiec zachodnich stworzy nową sytuację w Europie. Nową przede wszystkim dlatego, że powstanie bezpośrednie zagrożenie najbliższych sąsiadów Niemiec zachodnich — przede wszystkim Niemieckiej Republiki Demokratycznej, Polski i Czechosłowacji, a również zagrożenie wolności obecnych „sprzymierzeńców” republiki bońskiej: Francji, Holandii, Belgii, Danii i innych krajów Europy zachodniej.

Świadomość tego niebezpieczeństwa rośnie w krajach Europy Zachodniej. W walce przeciwko układowi paryskiemu łączą się wszystkie narodowe i patriotyczne siły narodów europejskich.

W Niemczech zachodnich — a więc w kraju, który ma stanowić kręgosłup agresywnego systemu — projekty remilitaryzacyjne napotykają na silny i stale rosnący opór społeczeństwa, wszystkich niemal jego warstw. Młodzież zachodnio-niemiecka — która według planów adenauerowsko-amerykańskich ma być główną dostawcą „mięsa armatniego” dla agresywnego bloku — stanowczo protestuje przeciwko remilita-

ryzacji. Siłę tych protestów poczuł dosłownie na własnej głowie boński minister wojny Blank, gdy niesławnie z guzami na czole uciekał chyłkiem pod osłoną policjantów z zebrania, na którym wychwalał przed reprezentantami młodzieży militarne plany rządu. Stanowisko młodzieży zachodnio-niemieckiej jest tak zdecydowane, że w czasie debaty nad tzw. pierwszym czytaniem układów paryskich prawie wszyscy mówcy zwracali na nie uwagę. Mówcy z ramienia partii adenauerowskiej grozili, że w stosunku do młodzieży zostanie zastosowana przemoc i młodzi Niemcy siłą zostaną zmuszeni do służby w armii. Niezbyt to dla tej armii i jej morale zachęcające perspektywy!

Przemawiając w debacie, przewodniczący partii socjaldemokratycznej, Ollenhauer, wyrażając stanowisko zajmowane przez znaczną część społeczeństwa zachodnio-niemieckiego, powiedział: „Dzisiaj chodzi już nie tylko o przyjęcie lub odrzucenie układów, lecz o ich zbadanie z punktu widzenia, czy są one do pogodzenia z polityką odprężenia międzynarodowego oraz z polityką zmierzającą do zjednoczenia Niemiec”. Ollenhauer oskarżył Adenauera, iż wbrew wielokrotnym uchwałom Bundestagu dał on pierwszeństwo polityce zbrojeń przed polityką zjednoczenia Niemiec. „Republice Związkowej — mówił przywódca SPD — nie powinno być obojętne, jakie konsekwencje wyciągnie Moskwa z włączenia Republiki Związkowej do NATO, jeżeli chodzi o politykę ZSRR w sprawie Niemiec. W świetle zapowiedzi radzieckiej, że po ratyfikacji układów rokowania w sprawie zjednoczenia będą bezprzedmiotowe, byłoby pomyłką zakładać, iż po ratyfikacji będzie można rokować na temat Niemiec z większymi widokami na osiągnięcie sukcesu”. Krótko mówiąc, naród niemiecki żąda: zjednoczenie Niemiec, a nie remilitaryzacja w interesie USA. Lecz Adenauer wybiera: remilitaryzacja w interesie USA i niemieckich monopolii zbrojeniowych.

Na jak wielki opór napotyka remilitaryzacja Niemiec we Francji, najlepiej może wykazała niedawna debata nad układami paryskimi w Zgromadzeniu Narodowym. W dniu 24 grudnia ub. r. Zgromadzenie odrzuciło remilitaryzację Niemiec. Wywołało to prawdziwy efekt wybuchu bomby w Waszyngtonie, Londynie i Bonn, gdzie też natychmiast podjęto akcję, zmierzającą do wywarcia na parlament francuski nacisku w kierunku zmiany podjętej decyzji. Jeszcze ty-

dzień toczyła się prawdziwie dramatyczna debata — w końcu, w dniu 30 grudnia Zgromadzenie większością zaledwie 27 głosów zatwierdziło układy paryskie i ich punkt dotyczący uzbrojenia odwetowego Wehrmachtu. Należy jednak przy tym podkreślić, że uzyskana w Zgromadzeniu większość jest większością jedynie względną, ponieważ za układami wypowiedziało się tylko 45 proc. deputowanych. Pozostali deputowani głosowali przeciwko układom lub wstrzymali się od głosu, nie mając odwagi wypowiedzieć się otwarcie przeciwko nim, a jednocześnie nie chcąc ich popierać.

Odrzucenie remilitaryzacji przez Zgromadzenie w dniu 24 grudnia, wywołało falę wystąpień, mających charakter szantażu wobec Francji. Agencja Reutera donosiła z Waszyngtonu: „Jeśli parlament francuski odrzuci układy paryskie, to sekretarz stanu Dulles weźmie pod uwagę konieczność zmiany planów strategicznych w kierunku oparcia zachodniej obrony na Anglii, krajach Beneluxu (Belgii, Holandii i Luksemburgu) i Niemczech zachodnich... W nowych planach zwiększyłaby się rola Hiszpanii i innych krajów, takich jak Włochy, położonych na krańcach Europy”. Grożono więc Francji izolacją i otoczeniem. Rząd brytyjski oświadczył oficjalnie: „Odrzucenie układów paryskich (przez parlament francuski) nie oznaczałoby powstrzymania zbrojeń niemieckich. Zagadnienie nie polega na tym, czy Niemiecka Republika Związkowa zostanie uzbrojona, lecz na tym, jak zostanie uzbrojona”. Grożono więc Francji remilitaryzacją Niemiec zachodnich wbrew Francji. Premier Mendes-France, włączając się do tego chóru gróźb, mówił w Zgromadzeniu: „Nie można w chwili obecnej zapobiec uczestniczeniu Niemiec w obronie Europy... Odrzucenie układów paryskich byłoby rozpoczęciem awantury”.

Dziesięć dni trwała debata. I wśród kilkudziesięciu mówców nie znalazł się ani jeden, który by miał odwagę wychwalać remilitaryzację Niemiec zachodnich. Argumentacja zwolenników układów paryskich obracała się wokół twierdzenia propagandy amerykańskiej, że Niemcy zachodnie „muszą” być uzbrojone i że dla Francji jest „lepiej”, aby były uzbrojone za jej zgodą, aniżeli bez niej. Jak bezsensowny jest ten argument, dowodzi choćby taka wypowiedź mieszczańskiego dziennika zachodnio-niemieckiego, „Frankfurter Rundschau”: „Grożby nadchodzące z Londynu i Waszyngtonu, że nastąpi remilita-

ryzacja Niemiec zachodnich przy współudziale lub bez udziału Francji — to słowa mające nie większą wartość, niż dym. Trudno uwierzyć, by Dulles i Eden nie zdawali sobie sprawy z tego, że w wypadku uzbrojenia Niemiec wbrew Francji znaleźliby się w grzeczawisku“.

Przy wydatnej pomocy swych anglo-amerykańskich kompanów Mendes-France przepchnął z niemalym trudem układy paryskie przez Zgromadzenie Narodowe. Lecz czy oznacza to, że udało mu się zdobyć dla sprawy remilitaryzacji bońskiej republiki choćby częściowe poparcie narodu francuskiego? Wyrażając stanowisko przeważającej części Francuzów, Biuro Polityczne Francuskiej Partii Komunistycznej pisało w opublikowanym oświadczeniu: „Naród nasz nigdy nie pogodzi się z polityką podyktowaną rządowi Mendes France'a przez imperialistów amerykańskich... Głosowanie w Zgromadzeniu Narodowym stwarza nową sytuację. Wskresza ono znane już niebezpieczeństwo grożące ze strony odwetowców i militarystów niemieckich — wczorajszych oprawców naszej ojczyzny. Stanowi ono pogwałcenie układu francusko-radzieckiego z 1944 r., w myśl którego kraj nasz zobowiązał się nigdy nie przyłączać do żadnej koalicji wymierzonej przeciwko Związkowi Radzieckiemu — naszemu wyzwolicielowi z jarzma hitlerowskiego... Walka trwa. Naród francuski nie uznaje i nigdy nie uzna zgubnych układów paryskich“.

W swej walce przeciwko odrodzeniu imperializmu niemieckiego patriotyczne siły narodów zachodnio-europejskich nie są osamotnione. Jak stwierdza deklaracja uchwalona na praskiej Konferencji Parlamentarzystów Polski, NRD i Czechosłowacji — „Miliony pokój miłujących ludzi mogą liczyć w swej walce o pokój i bezpieczeństwo w Europie na przyjaźń i aktywną solidarność Polski, Czechosłowacji i Niemieckiej Republiki Demokratycznej, jak i wszystkich innych pokój miłujących narodów“.

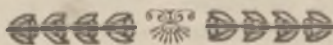
Rozwój wypadków międzynarodowych nie zastanie więc nas wszystkich — Polaków, Czechów i Słowaków, Niemców z NRD, narodów radzieckich — nieprzygotowanymi. Nie będziemy, nie wolno nam przypatrywać się z założonymi rękoma odrodzeniu się niemieckiego imperializmu,

Narody nasze nie zapomniły lekcji lat 1939—1945. Imperializm niemiecki w okresie poprzedzającym II wojnę światową i w jej pierwszym okresie — dzięki polityce tych samych sił reakcji, które dziś podejmują jego odbudowę — mógł jeden po drugim okupować kraje, które nie potrafiły się zjednoczyć w walce przeciwko wspólnemu wrogowi. Sytuacja uległa zmianie dopiero wówczas, gdy powstała potężna koalicja antyfaszystowska, która — przede wszystkim dzięki Armii Radzieckiej — rozbiła wraże siły. Dziś nie jesteśmy — jak w roku 1939 — osamotnieni. Wraz z nami jest połączny obóz pokoju, obejmując od Łaby aż do Pekinu i Szanghaju prawie 900 milionów ludzi. Narody nasze, nauczone historycznym doświadczeniem, w odpowiedzi na rozbudowę agresywnych sił niemieckiego imperializmu, związanego z imperializmem amerykańskim — gotowe są podjąć takie kroki organizacyjne i inne, które zapewnią bezpieczeństwo ich granic i umożliwią kontynuowanie naszej pokojowej pracy.

Polityka krajów obozu pokoju zmierzała i zmierza do pokojowego rozwiązania wszystkich problemów międzynarodowych na drodze rokowań. Jednakże, jak stwierdził tow. Malenkow w wywiadzie udzielonym Charlesowi E. Skutowski —

„...USA, Anglia i Francja czynią w ostatnich czasach wszystko, aby wykluczyć możliwości pozytywnego rozwiązania sprawy konferencji szefów rządów czterech mocarstw. Jak wiadomo trzy mocarstwa zachodnie usiłują w drodze separatystycznej rozstrzygnąć najdonioślejsze zagadnienia międzynarodowe, a przede wszystkim zagadnienia dotyczące Niemiec. Czyż nie jest jasne, że nie można prowadzić takiej polityki, a jednocześnie rozsiewać wśród narodów złudzenia co do konferencji czterech mocarstw“.

Aby zapewnić światu pokój, aby umożliwić realne pertraktacje międzynarodowe, mocarstwa zachodnie muszą zrezygnować ze swej polityki jednostronnego dyktatu i tworzenia ugrupowań militarnych przeciwko krajom obozu pokoju. Nasze kraje wykazują szczere pragnienie pokoju. Chodzi o to, aby również mocarstwa zachodnie gotowość tę wykazały,



Krytyka i BIBLIOGRAFIA

I Zjazd młodych historyków

Jerzy Holzer

W dniach 29 i 30 listopada oraz 1 grudnia odbył się w Warszawie I Zjazd Młodych Historyków. Zjazd zgromadził przedstawicieli studentów kół naukowych historii wszystkich uniwersytetów i wyższych szkół pedagogicznych Warszawy i Krakowa oraz koła naukowego historii gospodarczej SGPiS, młodych pracowników Wydziału Historii Partii i Archiwum Akt Nowych, młodych nauczycieli historii. W Zjeździe brali udział przedstawiciele Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego, Instytutu Historii Polskiej Akademii Nauk i pracownicy nauki.

Pierwsza, plenarna część Zjazdu poświęcona była dzieciom młodzieży w Polsce Ludowej, następnie w sekcjach Zjazd omawiał postępowe tradycje młodzieży i ruchu młodzieżowego w poszczególnych okresach. Ostatnia część Zjazdu poświęcona była omówieniu zadań młodych historyków, a w szczególności zadań kół naukowych historii na uczelniach.

Referat główny Zjazdu dążył do systematycznego ujęcia dziejów położenia i walki młodzieży w okresie dziesięciolecia Polski Ludowej. W referacie dana została próba podziału na okresy dziejów młodzieży w Polsce Ludowej, która budzić może szczególne zainteresowanie. (Przyjęty przez referaty podział na okresy ma oczywiście charakter jedynie tymczasowy, dyskusyjny).

Okres pierwszy od lipca 1944 roku do połowy 1945 r. to według referatu okres, w którym przed partią i powstającym aparatem państwowym na pierwszy plan wysuwa się zadanie wyzwolenia narodu. Z zadaniem tym ściśle wiąże się konieczność przeprowadzenia przemian o charakterze ogólnodemokratycznym: reformy rolnej. Już od pierwszych dni po powstaniu władzy ludowej rozpoczynała się konfiskata ziemi obszarnej i przekazywanie ziemi chłopom. Jednocześnie klasa robotnicza drogą rewolucyjną przejmowała na własność państwa ludowego wielkie zakłady przemysłowe.

W okresie tym sytuacja młodzieży w wyniku pokonania okupanta hitlerowskiego i zachodzących przemian społecznych zmieniła się radykalnie. Jednocześnie, przede wszystkim w związku z początkami procesu zasiedlania ziem odzyskanych, jak również z odbudową zniszczonego przez okupanta systemu oświatowego — przed młodzieżą otwierają się nowe perspektywy rozwojowe.

Przodująca organizacja młodzieży ZWM oraz inne organizacje młodzieżowe rozwijają się li-

cznie bardzo silnie. ZWM skupia poważną część młodzieży robotniczej i chłopskiej wokół władzy ludowej. W tym okresie jednak pewna część młodzieży, w tym również część młodzieży chłopskiej i robotniczej pozostaje pod organizacyjnymi i ideologicznymi wpływami reakcji. ZWM rozpoczyna walkę o oderwanie młodzieży od reakcji.

Następny okres to druga połowa roku 1945 i rok 1946. Jest to okres, w którym na porządku dziennym stoją sprawy zakończenia reformy rolnej, zasiedlania ziem odzyskanych, odbudowa zniszczonego kraju, walka o umocnienie władzy ludowej przeciwko agenturze mikołajczykowskiej i przeciw faszystowskiemu podziemi. Szybka odbudowa kraju, związane z nią podnoszenie stopy życiowej mas pracujących, dotyczyła również młodzieży. Młodzież robotnicza i chłopska wzięła udział w ogólnonarodowej akcji zasiedlania i odbudowy ziem odzyskanych, której główne nasilenie przypada właśnie na ten okres. Czynniki te określają położenie młodzieży w latach 1945—46.

Lata te są okresem rozwoju ideologicznego ruchu młodzieżowego i mas młodzieży. Następuje dalszy rozwój ZWM-u, rozwój ideologiczny i organizacyjny. Wpływy ZWM-u obejmują coraz szersze masy młodzieży pracującej i uczącej się. Jednocześnie reakcja czyni gwałtowne wysiłki utrzymania i rozszerzenia swego wpływu na młodzież. Udaje się jej opanować ważne pozycje organizacyjne w OMTUR. Również „Wici” przez pewien okres są pod wpływami mikołajczykowców. Prawica OMTUR rozwija propagandę ideologii socjaldemokratyzmu, mikołajczykowcy w „Wiciach” wpajają w młodzież reakcyjne teorie agraryzmu. Pewna część młodzieży znajduje się w tym okresie pod wpływami podziemia. Toczy się walka między demokracją ludową a reakcją, kto będzie miał wpływ na młodzież, czyją rezerwą staną się te lub inne grupy młodzieży. Podstawowa masa młodzieży już w tym okresie stoi po stronie władzy ludowej, najbardziej przodujące elementy biorą aktywny udział w jej obronie i walce z podziemiem w szeregach ORMO. Okres ten kończy się polityczną klęską reakcji w wyborach, w styczniu 1947 r. Klęska ta ma wielki wpływ na rozwój sytuacji politycznej także i w środowisku młodzieżowym.

Następny okres to nowy etap w rozwoju gospodarczym Polski Ludowej, znamionujący się przejściem do gospodarki planowej. Jest to okres realizacji pierwszego długofalowego pla-

nu gospodarczego, planu 3-letniego. W planie tym nie tylko została rozpoczęta rozbudowa niektórych jego gałęzi. W drugiej połowie okresu Planu Trzyletniego partia rozpoczęła walkę o socjalistyczną przebudowę wsi. W dziedzinie politycznej w okresie tym została zlikwidowana mikołajczykowska agentura reakcji. PPR i rewolucyjny trzon PPS, pokonując socjaldemokratyzm prawicy. PPS i prawicowo - nacjonalistyczne odchylenie w PPR, doprowadziły do zjednoczenia ruchu robotniczego w Polsce, co było faktem o olbrzymim znaczeniu dla dalszego rozwoju rewolucji ludowej.

Dla młodzieży okres ten oznacza otwarcie nowych perspektyw związanych z przyływem do przemysłu rzesz młodzieży, zwłaszcza wiejskiej, z dalszym rozwojem szkolnictwa ogólnego i zawodowego.

W dziedzinie rozwoju ruchu młodzieżowego i świadomości społecznej mas młodzieży okres ten miał znaczenie przełomowe. Rok 1947 zaznaczył się w rozwoju ruchu młodzieżowego rozgromieniem ideologicznym i organizacyjnym prawicy OMTUR i mikołajczykowców w „Wiciach”, dokonaniem przez lewicę OMTUR i ruch demokratyzacji „Wici” przy pomocy ZWM-u. Otworzyło to drogę do zjednoczenia ruchu młodzieżowego w 1948 r.

Ostatni wreszcie okres, to okres Planu 6-letniego. W okresie tym naczelnym zadaniem wysuniętym przez partię i władzę ludową jest walka o wykonanie wielkiego planu budowy podstaw socjalizmu, walka o pokój. Partia walczy o zjednoczenie mas pracujących we Froncie Narodowym dla wykonania tych zadań. Industrializacja socjalistyczna z jednej strony, walka o socjalistyczną przebudowę rolnictwa połączona z troską o rozwój indywidualnego gospodarstwa pracującego chłopstwa z drugiej strony — to główne fronty walki o socjalizm.

W latach Planu 6-letniego nastąpił przełom w sytuacji młodzieży. Nastąpił okres masowego, o niespotykanym dotąd natężeniu, przechodzenia młodzieży do pracy w przemyśle. Rozwija się twórczy wysiłek młodzieży w produkcji, jej inicjatywa, wzmożł się jej udział we współzawodnictwie pracy. Poważnie rozbudowane szkolnictwo wszystkich typów i szczebli pozwala setkom tysięcy młodzieży podnosić swe kwalifikacje. Część — niewielka dotąd jeszcze — młodzieży wiejskiej weszła do spółdzielni produkcyjnych, gdzie stanęły przed nią nowe perspektywy rozwoju.

Poza referatem głównym na Zjeździe wygłoszony został cały szereg referatów szczegółowych: O udziale młodzieży lubelskiej w społeczno - gospodarczej przebudowie wsi lubelskiej, podobny tematycznie referat o młodzieży wielkopolskiej, o udziale młodzieży w budownictwie Nowej Huty, o roli ZWM w zagospodarowywaniu Ziemi Zachodnich, o udziale młodzieży w walce z analfabetyzmem, o Uniwersyteckich Kursach Przygotowawczych w Ło-

dzi i ich roli w kształtowaniu nowej, socjalistycznej inteligencji, o przemianach społecznych i politycznych młodzieży Uniwersytetu im. Bolesława Bieruta we Wrocławiu.

Na marginesie referatów dotyczących okresu Polski Ludowej powiedzieć trzeba o błędnie nazywanym w toku dyskusji heroizacją. Błąd ten występował, co prawda w mniejszym stopniu, również w referatach poświęconych tradycjom walk młodzieży w poprzednich okresach historycznych.

Słuszną intencją autorów referatów było pokazanie bohaterstwa młodzieży, która włączała się do wielkiej walki o zwycięstwo władzy ludowej w naszym kraju. Szereg referatów zubożał jednak prawdę historyczną poruszanych zagadnień. W konsekwencji, w wyniku zamykania trudności, jakie istniały, nie ukazano w pełni wspaniałych osiągnięć walczącej młodzieży, nie pokazano trudnej drogi, w której poprzez wielki wysiłek czasami i chwilowe niepowodzenia, dochodzono do osiągnięć. I tak, na przykład, prawdę o wielkości osiągnięć młodzieży w budownictwie Nowej Huty zubożył referat przygotowany przez zespół studentów Uniwersytetu Jagiellońskiego. Autorzy bowiem zebrali dużo materiału, ale nie ukazali ogromu trudności — chociażby związanych z nie zawsze dobrą pracą przy werbunku młodzieży do Nowej Huty, obiecywaniem młodzieży „złotych gór” itp. Nie pokazali wielu chwilowych porażek, niepowodzeń, które nie pomniejszają przecież wagi osiągnięć — a przeciwnie powiększają je.

W drugiej części Zjazdu obrady odbywały się w sekcjach. Pierwsza sekcja obejmowała okres połowy XIX wieku do pierwszej wojny światowej włącznie, druga — okres międzywojenny, przy czym wszystkie referaty mieściły się w granicach lat 1929 — 1939 i dotyczyły głównie okresu walki o Front Ludowy w Polsce, wśród młodzieży — walki o Front Młodego Pokolenia.

Wśród referatów pierwszej grupy były przygotowane przez studentów Uniwersytetu Warszawskiego referaty o udziale warszawskiej młodzieży studenckiej w przygotowaniach do powstania styczniowego i współpracy polskiej i rosyjskiej młodzieży rewolucyjnej oraz obszerny i ciekawy referat o udziale młodzieży w walkach narodowo - wyzwoleniczych na Pomorzu i Warmii. Kilka głosów w dyskusji dotyczyło wydarzeń 1905 r., w szczególności strajku szkolnego 1905 r.

Na drugiej sekcji wygłoszony został między innymi obszerny referat przygotowany przez koło naukowe Uniwersytetu Łódzkiego o działalności KZMP w Łodzi w latach 1929 — 1939. Referat obszernie omówił położenie młodzieży Łodzi, dał bardzo wiele ciekawego materiału o organizacji KZMP w Łodzi, o technice pracy KZMP. Pokazał rolę KZMP w wielkich bojach klasowych toczonych przez klasę robotniczą Łodzi. Choć referat nie pozbawiony był poważnych braków — przede wszystkim zabra-

kto ukazania KZMP w rozwoju, wzrastania dojrzałości organizacji — posiada on znaczenie zarówno naukowe jak i powinien szczególnie dla łódzkiej organizacji ZMP stać się pożytecznym materiałem popularyzacyjnym, ukazującym piękne tradycje łódzkiej młodzieży.

Referat o udziale postępowej młodzieży studenckiej Warszawy w walce o Front Ludowy przygotował zespół Uniwersytetu Warszawskiego. Uniwersytet Jagielloński mówił o postępowych organizacjach działających na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Referat o ZWM w okresie okupacji przygotowała młodzież Wydziału Historii Partii. Referat ten został uzupełniony głosem w dyskusji tow. Balickiej - Kozłowskiej, która wniosła wiele nowego, nieznanego częściowo dotąd materiału, między innymi odnoszącego się do etapu powstania ZWM.

Nie należy oczywiście przeceniać dorobku Zjazdu. Dał on tylko pewne próby omówienia pewnych zagadnień historii położenia i walki młodzieży. Wiele jest jeszcze do zrobienia dla uzyskania pełnego obrazu zarówno postępowych tradycji młodzieży jak i dziejów młodzieży w okresie Polski Ludowej. Na pewno szereg zagadnień omawianych na Zjeździe wymaga jeszcze uzupełnień, bo nie wszystkie zostały ujęte w pełni słusznie. Tym niemniej Zjazd stanowi poważny wkład w ideologicznym przygotowaniu II Zjazdu ZMP. Tradycje młodzieży, jej postępowych walk, badania nad położeniem młodzieży niegdyś w porównaniu z dniem dzisiejszym, wszystko to pomoże nam w pracy wychowawczej, w uświadomieniu członkom ZMP ich dzisiejszych zadań, zadań kontynuatorów tego co najlepsze, najcenniejsze w dorobku pokoleń młodych rewolucjonistów, młodych patriotów.

O niektórych problemach pracy ZP z kołami w spółdzielniach produkcyjnych

(dokończenie ze str. 43)

trzeb młodzieży, nie dorasta do inicjatywy swoich przodujących członków. Weźmy jako przykład ponownie koło w Dachnowie.

Podczas żniw br. nie było komu obsługiwać żniwiarek. Wtedy zgłosili się zetempowcy. Pomagali im nawet ci, których rodzice nie należą do spółdzielni. Razem z traktorzystami POM-u żywiłowo wysunęli oni hasło: „Czyja żniwiarka lepiej i dłużej będzie chodzić“. Starali się jak najlepiej obsłużyć maszyny. Żniwa dzięki młodzieży szybko i sprawnie ukończono. A rodzące się współzawodnictwo, które zapaliło wszystkich do lepszej pracy, skończyło się razem z ostatnim łanem zboża, ściętym przez żniwiarki. Nie omówiono nawet tej inicjatywy na zebraniu koła, nie wyróżniono przodowników, nie nadano żywiłowemu ruchowi żadnych form organizacyjnych. Młodzież zapomniała o chwilowej „atrakcji“ i znów zaczęły się „nudy na pudy“.

Weźmy inny przykład. W spółdzielni produkcyjnej w Chryńkowie, niedaleko Dachnowa, w ubiegłym i bieżącym roku nikt nie chciał siać azotniaku, bo to ciężka, „brudna“ robota. Z przeszłej jesieni zostały w magazynie GS-u niewykorzystane przez spółdziel-

nię nawozy, których nie miał kto wysiać. Na jesieni w br. do siewu stanął kol. Józef Kata, obecny przewodniczący koła ZMP, ofiarny członek spółdzielni. Wykonał zadanie, wykorzystał nawet zaległe przydziały azotniaku, ale z tego faktu nie zrobił sprawy, która poruszyłaby świadomość młodzieży. Nie omówił na zebraniu ogólnym członków, jakie to straty dla nich i dla państwa wynikają z nieróbstwa, z braku troski o wspólną gospodarkę, o właściwą uprawę i nawożenie.

Wszystkie te przykłady świadczą o tym, że nie wszyscy nasi aktywiści uświadomili sobie do końca, iż specyfika i bohaterstwo naszych czasów polega na tym właśnie, że swą przyszłość budujemy sami, własną, uświadomioną pracą. Dlatego też w naszej pracy dość często nie wiążemy propagandy wielkich perspektyw w pracy i rozwoju w spółdzielniach produkcyjnych z koniecznością pracy w tym kierunku, by te możliwości zostały urzeczywistnione. Gdybyśmy tak zrozumieli nasze zadania, pojęlibyśmy, że każda sprawa podejmowana i rozwiązywana przez koło ZMP, czy to będzie sprawa pijaństwa, chuligaństwa, czy zły stosunek do pracy, do mienia, czy nieprzestrzeganie statutu spółdzielczego, niewłaściwy stosunek do dziewcząt, do kolegów, do kolektywu, będzie krokiem naprzód w tej walce o urzeczywistnienie wielkich możliwości istniejących w socjalistycznej przebudowie wsi.

„Dziadowska

O DREBNOŚĆ, swoistość, niepowtarzalność — oto wrażenia, jakie narzucają się przy czytaniu nowej powieści Marii Jarochowskiej „Dziadowska miłość”. Jest to powieść, stanowiąca niejako gatunek sama dla siebie. Inna, niż wiele powieści o wsi, które mieliśmy okazję czytać w ciągu dziesięciolecia.

Ta odrębność zaś, jak się wydaje, pochodzi przede wszystkim stąd, że Jarochowska próbuje przemiany, którym podlega dziś cała wieś polska, pokazać od pewnej specyficznej strony. W Osieczanach — miejscu akcji powieści — jest spółdzielnia produkcyjna, są jej zwolennicy i przeciwnicy, toczy się walka klasowa. Ale uwaga Jarochowskiej nie koncentruje się na życiu spółdzielni — przeciwnie — o tym jak wygląda praca spółdzielców, czytelnik dowiaduje się dość mało. Cały natomiast kunszt pisarski autorki i cała jej energia skierowana jest na to, aby dociec, jak te ogólne sprawy, którymi żyje cała wieś, wpływają na świadomość rozmaitych pojedynczych ludzi. Stąd bogata galeria postaci ludzkich — bohaterów powieści, z których każda reprezentuje przemysłany do końca, odrębny typ charakteru i każda na swój własny sposób uczestniczy w wielkich przemianach dnia dzisiejszego. Rewolucja nasza zastała ich rozmaicie ukształtowanych przez los, rozmaicie pojmujących świat. Zrozumienie nowego życia najczęściej przychodził im z ogromnym trudem i musi dokonać się drogą przełamywania mnościwa zakrzepłych, nawarstwionych przez dziesiątki lat uprzedzeń i przesądów. Walka nowego ze starym dokonywa się najrozmaiciej — czasem w formie ostrej, dramatycznej, jak podczas rozmowy Filipa Terlakowskiego z byłym wójtem, czasem zaś tak, jak na chrzcinach u Buraków, którzy na wszelki wypadek chcą zapewnić sobie przyjaźń i byłego posła sanacyjnego i obecnego sekretarza partyjnego. Jarochowska usilnie stara się uchwycić całe bogactwo życia ludzi. Zaskakuje czytelnika wielością i różnorodnością charakterów ludzkich, zdarzeń, sytuacji. Pragnie pokazać, jak bardzo rozmaitymi drogami przebiega się to, co nowe w życiu wsi, i jak bardzo różnymi sposobami broni się przed zagładą to, co stare. Ze szczególną wnikliwością bada formy, w jakich przejawia się walka przeciw spółdzielniom produkcyjnym. Umie przy tym wydobyć z życia nie tylko tragizm i dramatyczność, ale także wiele szczerzego humoru.

Szczególnie niektóre z opisywanych postaci są wystudiowane przez autorkę z rzadką pieczołowitością. Do takich należy gospodarny Florek starszy, któremu z takim trudem przyszło zrozumieć prostą prawdę, że kto nie jest za spółdzielnią, ten jest przeciw niej; kobieta z miasta, półwiechowskim stylem opowiadająca o okropnościach, które się dzieją w spółdzielniach produkcyjnych, na szerokim świecie; cyganka wróżąca Mrówczakowi; walkoń Mrówczak, na którym się jednak cyganka zawiodła; wreszcie dziad Wątrob, rymowaną mową zagadujący mieszkańców wsi.

Przy stoliku wziął Szczepan niezmiernie ostrożnie swój akt nadania ziemi. Wpatrzył się z uwagą w papier i długo wodził po nim oczami.

Tadeusz Florek poruszył się z niepokojem na krześle. Turkowski otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale zamknął je niezdecydowanie.

Działkowicz podniósł powieki i omijając wzrokiem innych członków Komisji popatrzył błagalnie na człowieka w granatowym płaszczu kolejarza.

Jakim sposobem tamten rozumiał prośbę — nie wiadomo. Mallnowski mieszkał dosyć daleko, za górką, na wygonie. Nie zjawił się w majątku przy spisaniu dworskiego inwentarza, nie było go także, kiedy robiono pomiary pańskich posiadłości.

Mogłoby się wydawać, że raz przepędzony z folwarku przez dziedzica nie mógł uwierzyć, że ktokolwiek byłby w mocy wygonić jasnie pana. Nie śmiał się pokazywać w pobliżu dworu nawet wtedy, gdy ludzie ze wsi własne ścieżki wydeptali już w pałacowym parku, a do budynków na obszarniczym podwórku wchodził, kiedy im się podobało.

Niełatwemu zadaniu odtwarzania rozwoju charakterów ludzkich dobrze służy język, a raczej umiejętna, swobodna gawęda, która harmonizuje doskonale z charakterystyczną kompozycją utworu: kapryśną, zmienną, chwilami pozornie beładną a w istocie bardzo przemyślaną i dyscyplinowaną. Jarochowska opowiada o ludziach z Osieczan jak wytrawny gawędziarz, który może sobie pozwolić na zakłócenie porządku chronologicznego, wybieganie naprzód, sięganie do przeszłości, zatrzymywanie się na pewnych momentach, pomijanie innych, aby do nich wrócić później, w bardziej sprzyjającej chwili.

Tak więc „Dziadowska miłość” Marii Jarochowskiej w pełni zasługuje na to, żeby ją gorąco polecić aktywistom zetempowskim. żeby znalazła się w każdej bibliotece koła ZMP.

Ślawomir Krzemień

miłość“

Pełnomocnik nie znał więc Malinowskiego, dawnego fornała. Musiał się jednak domyślić, o co tamtemu chodzi. Wziął z rąk Szczepana kartę papieru, poszukał czegoś po kieszeniach a znalazłszy nałożył na oczy okulary, owalne, małe szkiełka w drucianej oprawie. Po czym zaczął czytać akt nadania na głos, bez pośpiechu.

Głos jego niski, mocny, nie bardzo nawet odpowiadający tej przygarbionej, niebarczystej postaci, oznajmiał w zaległej ciszy czysto i donośnie, że Malinowski Szczepan stał się właścicielem czterech hektarów ziemi. Po pierwszych przeczytanych słowach dziewczynka na rękach Malinowskiej raptownie umilkła i szeroko otwartymi oczami wpatrzyła się w usta bladego człowieka.

Malinowski obejrzał się za siebie na resztę dzieci. Stały jak wryte, nie próbując łobuzować. Ojciec ciężkim ruchem ściągnął sobie z głowy pomietą czapkę.

Wtedy pełnomocnik w zniszczonym okryciu podniósł się z miejsca. Przykrótki, wydał się w pozycji stojącej jeszcze drobniejszym człowiekiem. W dłoniach, posiekanych grubymi bliznami, o nieprzyjemnej, czerwonej barwie, trzymał arkusz i odsuwając go dosyć daleko od siebie czytał zwykłym, spokojnym głosem. A jednak ludzie, skupieni w najgęstszej ciżbie u wejścia do salonu, odjęli papierosy od warg, a ten i ów zdjął nakrycie głowy.

Gdy pełnomocnik skończył czytanie. Szczepan Malinowski postąpił o krok naprzód i odezwał się ochryple, jakby z trudem:

— Upraszam łaski wielmożnego pana... może drugi raz... żeby dzieci sobie popamiętały tę chwilę na całe swoje życie, bo ona będzie w moim sercu wyryta srebrnymi literami, złotymi numerami.

Turkowski pochylił się za stolikiem ku przodowi. Zachnął się niecierpliwie:

— Późna pora. Jakby się tak z każdym miało zabawiać, marudzić, to byśmy i do rana nie dali rady skończyć, kochany szku,

Lecz pełnomocnik puścił mimo uszu słowa Turkowskiego. Tak jak przedtem, nie spiesząc się, przeczytał pismo od początku do końca głośno i dobitnie. Dopiero wtedy podsunął Malinowskiemu dokument, wskazał mu miejsce u dołu arkusza, podał obsadkę ze stalówką, którą zanurzył we flaszcze atramentu.

Chłop ujął pióro z niezręczną ostrożnością. Kark mu zbrazował i zwolna czerwień ta przepłynęła Szczepanowi przez twarz aż ponad brwi. Poprzez lichy materiał kurtki widać było, jak pod rękawem Malinowskiego napinają się mięśnie. Wbijając nieomal stalówkę w papier, Szczepan Malinowski zamiast podpisu nakreślił u dołu arkusza krzyż duży i koślawy.

Odetchnął z taką ulgą jakby nareszcie zdjął z barków ciężkie brzemie dźwigane od dawna.

Odszedłszy tyłem parę kroków od stolika, nagle zgiął się cały w pół w bardzo głębokim ukłonie. Schylony tak nisko, jak tylko potrafił, wyrażał najgłębszą wdzięczność. Wydawało się, że szeroko rozłożonymi ramionami chce w podzięcie objąć pod nogi nie tylko całą Komisję, lecz jeszcze coś dużo więcej. Obok Malinowskiego stała nieruchomo jego żona. Po jej obrzęklej, a jednak wątlej twarzy płynęły gęsto łzy, ale stała cichutko, nie szlochając. Dziecko w ramionach Szczepanki spojrzało na matkę badawczo. Brudną rączką otarło łzy z policzka kobiety i uśmiechnęło się jasno całą twarzą. Widocznie mała poczuła, że to nie cierpienie wycisnęło owe słone krople spod powiek matki, ale radość.

Po Malinowskich jeszcze wielu z osieczkańskich ludzi przechodziło przez błękitny salon. Odebrawszy swoje dokumenty nadania wracali z powrotem pod ścianę i stali tam zwartą gromadą, w ciszy. Nawet kobiety nie szeptały między sobą, nawet dzieci nie było słychać, jakby ich tutaj brakło, a zleciały się przecież wszystkie z najdalszych wygonów i przylasków.

Robiło się późno. Z ciemności wypłynął marcowy księżyc, niewielki spiczasty, podobny do opilka, prawie biały i stanął za szybą ogromnego okna. Raz po raz przelatywały po nim niespokojne, małe obłoczki luźno z jednaką szybkością wielkie chmury, gnane nie wiadomo z której i w którą stronę bezszmerynymi podmuchami wiatru.

Wręczanie aktów nadania miało się ku końcowi. Przy stoliku Turkowski kiwał się senny,

gotowy do drzemki. Tadeusz Florek notował coś w niewielkim zeszycie. Pełnomocnik reformy przeglądał po raz nie wiadomo który listę parcelantów.

Odczytując z arkusza jakieś nazwisko zapytał Florka:

— A Terlakowski Filip? Co, nie przyjdzie?

W tej chwili koło drzwi wejściowych zakotłowało się. W panującym tam półmroku rozległ się głos kobiecy, załamujący się cienko:

— Ani mi się waź, Filip! Ani mi się waź! Pan Bóg cię pokarze, że sięgasz po cudze!

W ludzkiej ciżbie Terlakowski szamotał się z żoną. Wyrwał się Józefie i ruszył ku komisi za stolikiem. Terlakowska rzuciła się za nim, dopadła, wczepiła dłońmi w ubranie. Szarpała męża z całych sił. Wyższa od Filipa, zwięzła w sobie, mocna, wydawać by się mogło, że ciśnie chłopem o posadzkę albo w każdym razie siłą go zatrzyma, odciągnie, zawróci.

Mówiła teraz złowrogo, głosem ściszonego, głucho, jakby jej już tchu brakło do krzyku i tylko ciągnąc męża zadawała mu razy groź-

bami najgorszymi, jakie umiała wymyślić w pośpiechu.

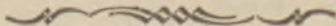
— Ja do tego kradzionego gruntu nie przyłożę ręki. Niech mnie wielka choroba pokręci, niech zgniłe dzieci ze mnie wychodzą, jeśli bym miała w czym pomagać. Weźmiesz — sam będziesz robił albo sobie przyjmiesz najemników, jak ci się zachciało zostać jaśnie panem na majątku, co twoim nie jest, a ja...

Lecz niewielki Terlakowski odepchnął żonę ruchem prawie niepostrzeżonym, a tak widać mocnym, że odpadła od niego i poślizgnąwszy się na posadzce aż przykucnęła obok jego stóp, cała jakaś potargana, rozłamszona, zmięкла.

Powiedział jej wtedy szorstko, jak do obcej, jak do wroga:

— Odejdź ode mnie, kobieto. Ja tę ziemię biorę, bo ja do tej ziemi mam prawo.

Księżyc, który w ramie pałacowego okna przesunął się na sam środek szyby, świecił teraz nieosłoniętym niczym, błękitnym blaskiem, jakby rogiem rozpruł chmury i tak je przestraszył, że wołały odtąd omijać go z daleka.



WALKA MŁODYCH

K a ż d y aktywista zetempowski czyta i prenumeruje »WALKĘ MŁODYCH«

☐ Przedpłaty na prenumeratę zleconą, pocztową przyjmują listonosze, agencje i urzędy pocztowe w terminie do dnia 10 każdego miesiąca.

☐ Wpłaty na prenumeratę zakładową, zbiorową przyjmują kolporterzy zakładowi i rozdzielnie PPK „RUCH” w terminie do dnia 20 każdego miesiąca.

☐ Regularne i terminowe otrzymywanie pisma zapewnia prenumerata okresowa — roczna, półroczna lub kwartalna.

Warunki prenumeraty:

Roczna	14,40 zł	Półroczna	7,20 zł
Kwartalna	3,60 zł	Miesięczna	1,20 zł

